ROK XXIII.
Ogólnego zbioru Tom XCII.

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

TOM IV. — ZESZYT I.

Październik.

WARSZAWA,
1898.

Druk Jana Cotty.

SPIS RZECZY.

Zeszyt zawiera arkuszy 11½.

Druk ukończono d. 24 października 1898 r.

IRONIE ŻYCIA.

Nowele z Albionu.

III.

Gentleman John.

I.

— John, mam z tobą do pomówienia. Przyjdź do mego buduaru! — rzekła po śniadaniu wdowa po pułkowniku Aylesbury do swego kamerdynera w jasno granatowym żakiecie z świecącemi guzikami, który z godnością wielkopańskiego domownika odstawiał srebrne naczynia ze stołu na pięknie rzeźbiony kredens z orzechowego drzewa.

Głos jéj zadrżał mimowoli uroczystą nutą, smagłe oblicze o ostro zarysowanych rysach powlokło się cieniem zakłopotania, jakby w prostém wezwaniu wyraziła wszystko, co miała na sercu. Spuściła oczy i, zabrawszy listy i gazety ze srebrnéj tacy, powstała szumiąc spódnicami.

Nic nie odrzekłszy, kamerdyner podniósł na nią zdziwiony wzrok, uderzony niezwykłym tonem swéj żołnierskiéj, zwykle lapidarnie prze-

mawiającéj chlebodawczyni, i patrzył się w jéj energiczną twarz, jak w tuza, a gdy wyszła z jadalni, nie rzuciwszy nań swém żywém i bystrém okiém, ujął się pod boki i, zwrócony ku zapadłym drzwiom z rozchylonemi ustami, zamyślił się. Z obłoku osłupienia wynurzył się wreszcie nieśmiały uśmiéch, kiwnął głową wesoło, przymrużył jedno oko filuternie i sprzątał daléj ze stołu z taką opieszałością, z jaką leniwa myśl jego krążyła wokoło zagadkowego zachowania się pani domu.

Ociągał się ze spełnieniem rozkazu; wszelki pośpiech bowiem sprzeciwał się jego flegmatycznéj naturze. Zresztą, jak każdy służebnik angielski, tak lękał się zapracować i zamęczyć, tak ociężał w wygodnym trybie życia, iż wszystko szło u niego w powolném, ospałém tempie, mimo niepoślednią siłę muskularną, o jakiéj mówiły kształty tego dobrze odżywianego, rosłego i zwalistego chłopa lat trzydziestu kilku. Zanim wstąpił na schody, wiodące do salonu, gabinetu i innych pokoi wielkiego domu londyńskiego, zatrzymał się w obszernym przedsionku przed kryształowém zwierciadłem. Poprawił biały krawat i pikową kamizelkę, jak przystało na szanującego się lokaja, wyszczotkował rękawy i spodnie, pogładził dłonią płasko przyczesane blond włosy, co zachodziły na niskie czoło, i uśmiéchnął się do wizerunku swéj przystojnéj osoby, o postawie pokaźnéj, niemal pańskiéj.

O swéj urodzie, którą mierzył łokciem, John Hopkins nie wątpił ani chwili. Wzrostowi i powierzchowności zawdzięczał doskonałe stanowisko we wiejskiéj siedzibie lorda Wimborne, a potém u pułkownika Aylesbury, który zmarł wkrótce po objęciu przez niego lokajskich obowiązków. Powtóre, płeć żeńska nie szczędziła mu oznak sympatyi, dlatego przyjmował je, jako rzecz naturalną, z pewném lekceważeniem traktując oddaną sobie kucharkę z pobliża, z którą łączył go poufały stosunek, lubo w czasie nieobecności jéj chlebodawców gospodarował w ich domu jak u siebie, a w dzień swych urodzin i na Gwiazdkę odbiérał od niéj kosztowne podarki. Odwdzięczał jéj się za to, biorąc ją czasem do teatru, gdy nie nawinęła się inna niewiasta, oraz udzielając jéj cennych wskazówek, dotyczących biegunów wyścigowych. Oboje bowiem grywali systematycznie w totalizatora, a John zasięgał języka u znajomych masztalerzy i wtajemniczonych w arkana turfu indywiduów, których nieprzeliczone mnóstwo wałęsa się po miejskim bruku.

Za innemi amorami John nie uganiał się, lecz niemi téż nie gardził, lubo cenił sobie wygodny stosunek z kucharką. Wyróżniał czarnowłosą Bessie, młodą pokojówkę jednéj z przyjaciółek pani pułkownikowéj. Zapoznawszy się z nią w czasie krótkiego pobytu w nadmor-

skiéj osadzie Parkstone, w hrabstwie Dorset, gdzie obie te damy posiadały wille, odświeżył znajomość w Londynie. Wprawdzie obcowanie z nieokrzesaną, nieobytą w świecie prowincyonalną gąską nie licowało ze stanowiskiem *butler*'a, lecz Bessie, krew z mlekiem dziewczyna, wpadła mu w oko głęboko. Odczuwała ona różnicę zachodzącą pomiędzy sobą a dostojnym kamerdynerem i względy jego schlebiały jéj wyraźnie. Jakoż chętnie wychodziła z nim na przechadzkę lub na widowisko, jedném słowem „była słodką względem niego", ale na tém się kończyło. Potulna, niby jagnię, w niektórych razach jednak okazywała się zuchowatą, nie pozwalając nawet pocałować się bez fanaberyi. Mimo że to „nierozsądne" postępowanie Bessie irytowało Johna, poczęła go nawiedzać myśl o ożenku. Nie zdradzał się z tém wszakże przed służbą i ostatecznie wzgląd na ludzi, w których pojęciu spadłby nisko, odstraszał go od stanowczego kroku. Zresztą, chcąc późniéj nabyć oberżę, życzył sobie za żonę wzbogaconéj, eleganckiéj kelnerki, wogóle panny posażnéj. Mógł się przecież podobać? Ot, sama pani Aylesbury dała mu do poznania, iż uważa go za przystojnego mężczyznę!

Było to pewnego ranka, gdy pięćdziesięciokilkoletnia wdowa odbywała zwykły przegląd swych mnogich psów, wiszących na łańcuchach przy budach, któremi okolone było całe, wyasfaltowane podwórze. Już to kochała się w nich ona! Broń Boże, aby któremu z nich stała się krzywda, a jeśli ten lub ów inwalid zaniemógł ciężko, powstawał w domu taki rwetes i harmider, że John nie mógł prawie wypić szklanki piwa w spokoju. Wiele psów ratowała pani Aylesbury od niechybnéj zagłady, nabywając z *home*'u dla zbłąkanych przez właścicieli nieodebrane i skutkiem tego zagrożone śmiercią sieroty, których pozbywała się, jak i gdzie się dało, by znaléść przytułek u siebie dla nowego legionu znajdów. Każdy, wchodzący w jakimbądź charakterze w styczność z jéj domem, prędzéj czy późniéj musiał przyjąć od niéj jednego z faworytów. Doskonale wiedzieli o tém kramarze z sąsiedztwa, powolni jéj życzeniom pod grozą utraty klientki, aczkolwiek zdarzało się, że owe podarowane psy gdzieś się zawieruszały i przepadały bez śladu. Nad zgrają psów czuwał osobny posługacz, spędzający dni albo na przeprowadzaniu ich na przechadzkę, albo na drzémce przy kuchennym kominie. Karmienie ich odbywało się prawie zawsze w obecności pani i Johna, który, jako generalissimus w tém państwie, zdawał szczegółowe raporta najwyższéj władzy o stanie ich zdrowia. Z biegiem czasu doszedł on do takiego obznajmienia się z psiemi dolegliwościami, iż wielokrotnie zastępował weterynarza z dobrym skutkiem. A nabyta w tym kierunku erudycya przejmowała go niemałą dumą.

Tego dnia młody, kłapouchy seter, wielce zbiédzony, a pod okiem Johna wyleczony z robaków i dobrze odpasiony, powitał panią Aylesbury radosném szczekaniem. Skomlał, łasił się, targał za łańcuch i wyskakiwał pełen dobrego humoru, który udzielił się jego pani. Dotknęła się ręką jego zimnego nosa i, spoglądając z zadowoleniem na lśniącą, ceglastą jego sierć, mruknęła:

— Przyszedł do siebie. Dobrze! John, przerobiłeś tego zdechlaka na ładne zwierzę. Chodź, dam ci za to suwerena.

Mimo swój wiek, objawiający się srebrzystemi plamami powyżéj uszu, pomaszerowała prosta, zamaszysta i sprężysta w ruchach do pokoju, a John kroczył poważnie za nią z obliczem okraszoném zadowoleniem z pochwały i nagrody, co w sezonie wyścigowym przyszła mu na rękę.

Wręczywszy mu pieniądze, pani Aylesbury popatrzyła się łaskawie na wygoloną jego twarz bez wyrazu, o zdrowéj karnacyi i poklepała go dość silnie po policzku, zacinając przytém zęby.

— Dzielny chłop, ani słowa!... Ruszaj teraz, a nie zaniedbuj kulawego buldoga.

Oczy jéj zatrzymały się na nim długo, objęły krytycznie całą jego postać i przeprowadziły go do drzwi.

Odtąd przyglądała mu się często, uważnie, z widoczną przyjemnością. Wkrótce zaszczyciła go znowu takim lwim karesem i byłaby może wdała się w pogawędkę, gdyby nie zaskoczył jéj wizytą ojciec Muphry, Jezuita, żyjący trochę na uboczu od swego zakonu w ubogiéj mieścinie portowéj Poole. Lubo z rodu anglikańskiego, pani Aylesbury od lat kilku uczęszczała do katolickich kościołów, sprawami katolicyzmu zajmowała się gorąco, nie szczędząc także hojnych datków na kościołek w nędznéj siedzibie rybaków i marynarzy, do którego zajeżdżała podczas swéj bytności w przyległém do Poole Parkstone. Ojciec Muphry był zawsze miłym gościem jako człowiek, o skromnéj powierzchowności wprawdzie, ale inteligentny, rozmowny, z ogładą towarzyską i niepospolicie muzykalny. W młodości był nauczycielem muzyki, lecz zakochany bez wzajemności w jednéj z swych uczennic, porzucił swój zawód, aby szukać ukojenia i pokoju dla zranionego serca na łonie kościoła. Nić idealno-erotyczna, wplątana w pasmo spokojnego i przykładnego żywota, dodawała mu pomiędzy arystokratycznemi rodzinami w Parkstone tyle powabu, ile świetna gra na fortepianie budziła podziwu.

Po długiéj rozmowie z nim w cztery oczy, pani Aylesbury zatrzymała go na obiad, w czasie którego ojciec Muphry strzelał z pod siwych

brwi bladém, mądrém okiem w stronę kamerdynera, co jednakże uszło uwadze Johna.

Ten względem kleru i kościoła był usposobiony obojętnie, nie zaprzątał sobie tém głowy nigdy i jedynie na prowincyi, gdy można było oczekiwać pięknych śpiewów chóralnych, uczęszczał do kaplicy anglikańskiéj dla zabicia czasu i spełnienia powinności spoczywającéj na dystyngowanym lokaju.

Nie przypuszczał, aby odwiedziny ojca Muphry stały z jego osobą w jakiéjbądź styczności. Natomiast wielokrotnie rozpamiętywał sobie głośny objaw łaski, jaka spłynęła na jego policzek z silnéj dłoni pani Aylesbury, i zmierzając do jéj buduaru, przypuszczał, że spotka go ten sam zaszczyt po raz trzeci, a może nawet suweren dostanie mu się w nagrodę za troskliwość, okazywaną jéj faworytom.

W pokoju wysłanym plecionką trzcinową, pożyłkowaną zielonkawemi pasmami, umeblowanym lekkiemi sprzętami bambusowemi i przystrojonym bogato wytwornemi tkaninami indyjskiemi, makatami, mosiężnemi medalionami i akwarelami widoków morskich, przechadzała się tam i napowrót Mrs. Constance Aylesbury z nożem z kości słoniowéj do rozcinania papiéru w ręku, machając nim niekiedy w powietrzu niby maczugą. Jéj wysoka, ciemna sylwetka odrzynała się wyraziście od blado-żółtego tła gustownie urządzonego buduaru.

Gdy kamerdyner przestąpił próg, zajęła miejsce przy biureczku upstrzoném kosztownemi cackami, w szczególności figurkami psów, i przeładowaném fotografiami syna, piastującego wysoki urząd w Szangaju, zamężnéj córki, lady Erskine, i miss Evelyn, młodszéj córki, która, doszedłszy do pełnoletności i swego działu majątkowego, puściła wodze swéj podróżomanii i, nie harmonizując z matką, najczęściéj rozbijała namiot w Wenecyi z dwoma podstarzałemi, niezamężnemi kuzynkami. Na jasnym tapecie zaś czernił się bronzowy medalion dzielnego pułkownika grenadyerów gwardyi.

— John, siadaj tutaj! — rzekła dama rozkazującym tonem, bez cienia zakłopotania, jakie znalazło do niéj przystęp poprzednio, wskazując służącemu krzesło tuż naprzeciw siebie.

Na to oczy kamerdynera rozwarły się szeroko. Zdało mu się, że się przesłyszał, bo nic podobnego nie wydarzyło mu się w życiu. On, płatny domownik, miał zająć krzesło przy majętnéj damie, skoligaconéj wysoko! Po chwili wahania, przestępując z niemądrą miną z nogi na nogę, przycupnął na brzegu krzesła z skulonemi pod siebie nogami, z torsem wyprężonym, jakby postawą chciał wyrazić, że chociaż rozkaz spełnił i siedzi, pragnie stać i prawie stoi.

Iskra wesołości zatliła się w ciemnych, przenikliwych źrenicach żołnierskiéj wdowy, która poniżyła się w opinii Johna, wąskie jéj wargi rozwarły się do śmiechu, odsłaniając rzędy zdrowych zębów, a twarz z dwoma brózdami, idącemi od nozdrzy ku kątom ust, dawniéj może nieszpetna, teraz nieświéża, zmięta i czerwonawa, przybrała wyraz znamionujący głębokie ukontetowanie.

— Pomyślałeś ty kiedy o ożenku, John?—zagadnęła obcesowo.

W zakłopotaniu John przecierał dłonią kark i mrugał szybko powiekami.

— Zapewne ożenię się, chociaż...

— Ja ci powiem, co ty zrobisz, John. Poślubisz... mnie.

Skonfundowany, John drgnął, zerknął na nią i znowu zwiesił głowę. Czyliż on dostał się w świat zaczarowany? W głowie jego powstał zamęt, myśli hulały, niby wichrem pędzone, a on nie mógł pochwycić z nich żadnéj, nie mógł ogarnąć umysłem oświadczenia, ani zrealizować jego doniosłości. I siedział bez słów, bez czucia, nawpół pijany, i drapał się po kolanach, powtarzając sobie w myśli machinalnie: „John... poślubisz... mnie!"

Napróżno, czekając odpowiedzi, pani Aylesbury podważyła mu brodę nożem, mówiąc:

— Patrz się na mnie, John! Słyszałeś, co mówiłam. Ojciec Muphry pobłogosławi nasz związek, poczém wyprowadzę się do hrabstwa Dorset. *John you lucky dog*, otóż spotkało cię wielkie i niezasłużone szczęście! Wyjdziesz na dżentelmana!

Na dźwięk tego magicznego słowa John poruszył się, jakby elektrycznym prądem tknięty.

— Czeka cię wygodne życie — ciągnęła pani Konstancya. — W testamencie nie zapomnę o tobie. Tymczasem jednak nie myślę wcale schodzić z tego świata.

Ścięty z nóg, jakby ubezwładniony, John nie odzyskał jeszcze głosu. Słowo „dżentelman" grało mu koło uszu, niby fanfara trąbki myśliwskiéj, fala radości podniosła się w nim i ogarnęła zmysły, lecz nie mógł wykrztusić ani sylaby, bo gdy wzruszenie zakradło się do prymitywnéj, surowéj jego natury, przybiérało potężne rozmiary i rozpiérało mu piersi... A gdy wreszcie miał odpowiedź na ustach, uprzytamniał sobie, kogo ma przed sobą, i milkł, niemal przerażony.

Atoli rozpromieniona twarz mówiła dość pani Aylesbury, która bez zwłoki siadła na jego kolanach i oplotłszy mu szyję, wycałowała go serdecznie.

Wywarło to nań wpływ ożywczy. Oddał jéj jeden i drugi uścisk, nie troszcząc się o to w téj chwili, czy młodą i ładną, czy też szpetną

i starą całuje kobiétę, bo jak żołnierz w boju, szałem ogarnięty, rzucił się ślepo naprzód, nie pytając, kogo miecz jego usiecze.

— Słuchaj, John! — ciągnęła pani Aylesbury. — Służbę odprawię, na jéj miejsce zaś przyjmę późniéj inny personał ze względu na ciebie. Tymczasem trzymaj język za zębami; wszystko, co mówiłam, musi pozostać tajemnicą aż do ślubu. No, John, jesteś zadowolony?

Głośny, wesoły śmiech jéj wtórzył pytaniu.

— Teraz idź, a nie daj nic poznać po sobie!

— Dobrze — wyszeptał i wyszedł jak pijany.

Oprzytomniał dopiéro w izbie jadalnéj dla służby, gdzie stangret palił fajkę, czytając pisemko brukowe. Tu, rzuciwszy się w krzesło, odetchnął głęboko, jakby znużony nadmiarem wrażeń, i z przyzwyczajenia sięgnął po swą fajkę, lecz nie zatliwszy jéj, zawołał:

— Fred, pójdziemy pod „Białego Łabędzia". Poczęstuję cię piwem i cygarem. Nie, funduję ci *pint* szampańskiego wina... abyś nie wątpił, że masz do czynienia z dżentelmanem.

Stangret nie dał się prosić i gawęda w traktyerni przeciągnęła się dopóty, aż pokojówka w zastępstwie swego ulubieńca forysia, wsunąwszy głowę do przedziału szynkowego, przeznaczonego „wyłącznie dla dżentelmanów", nie zawiadomiła stangreta, iż pani kazała zaprzęgać.

Do kamerdynera zwróciła się z wyrzutem, że nie pilnuje domu, na co on odparł jéj opryskliwie i wykpał ją w dodatku.

Po wyjeździe pani na miasto, udał się na podwórze, wykrzyczał posługacza z powodu kulawego buldoga, poczém rozparł się w honorowém krześle w kuchni. Zapaliwszy cygaro, żartował z kucharką, drwił z pokojówki z butną miną, ignorując jéj pomocnicę, a na schadzkę z kochanką nie stawił się wcale. Gdy język go swędził, upominał się w duchu: „John, nie masz pisnąć ani słówka!", na pocieszenie odmieniając przez wszystkie przypadki najpiękniejszy w języku angielskim rzeczownik: *gentleman*.

II.

Na stromém wzgórzu, na ławce, spoglądającéj na ciche wody zatoki morskiéj, spoczywał Mr. John Hopkins w granatowém ubraniu, z marynarską czapką na jasnéj, kulistéj głowie, paląc z rozmysłem krótką fajeczkę, a przy jego nodze leżał na murawie popielaty mopsik z pomarszczoną, czarno zabarwioną mordą, z wywieszonym, zaślinio-

nym językiem. Tłusty, rozlany, widocznie zmęczony i dychawiczny, ziajał szybko i chrapliwie.

Palenie tytoniu stanowiło najważniejszą i bodaj najmilszą czynność pana Hopkinsa, i zwłaszcza w jasny, pogodny dzień majowy, siedząc na wolném powietrzu wśród malowniczéj okolicy, gdzie czuł się swobodnym, z prawdziwą rozkoszą cmokał drewnianą fajeczkę z bursztynowym trzonkiem, ukołysany w *dolce far niente* ciszą i wielkim pokojem, rozlanym w przestworach ożywczéj atmosfery.

U stóp jego czerwonawo-fioletowy kobierzec gęstego wrzosu wyściełał spadziste wzgórze, przetykany żółtém kwieciem janowca, pękami ostrzycy, paproci i ostromlecza, porosły miejscami krzewami jeżyny, i spadał aż na jego zbocza, gdzie jasno-żółte piaski wiły się wstęgą wzdłuż brzegu sennéj, błękitnéj zatoki. Po morza odpływie przybrzeżne piaski zapuszczały długie kliny i błotniste zagony w stojące wody, tu i owdzie jeno pokarbowane delikatnie podmuchem zefiru, a tak płytkie, że w wielu miejscach zieleniły się oliwkowe plamy przegniłych traw, po których brodziły mewy. Skrzydła ptastwa bieliły się zdala, odbijając wdzięcznie od ciemnych zarośli i blado-błękitnéj toni. Daléj na głębinach, ciemniejszych w tonie, sterczał szereg czarnych pali, wytykających szlak dla statków, co zawijały do portu Poole. Przeciwległy brzeg dużéj, okrągłéj zatoki zaznaczał się w dali szarym grzbietem ugorowych wzgórz, rozwieszonych wysoko na niebios błękicie. Na środku wód, nacentkowanych żaglami i czółnami, panowała górzysta wyspa owalnego kształtu, pokryta skostniałym lasem dębów, buków i drzew iglastych, a przez ponury ich płaszcz przeświecały zrzadka szmatki uśmiechniętéj murawy wiosennéj. I piętrzyła się dumnie, przysłaniając część zamorza, jakby nie chcąc ukorzyć się przed wyniosłym lądem stałym. Na skraju jéj przeglądało się w wodzie kilka otynkowanych domostw o płaskich dachach i spozierało w stronę wąskiego międzymorza, którego piaskowe zaspy, tu i owdzie wrzosowiskami porosłe, zakréślały sierp wkoło południowéj części zatoki. Za murem tych białawych wydm biegła szarfa morza — nie tego morza przystani wciśniętego trwożliwie w opiekuńcze ramiona ziemi, lecz śmiało stawiającego czoło wichrom, o cudnym, głębokim, grzywami fal pobielonym szafirze — i podpinała jasne sklepienie niebieskie. Z cieśniny odcinającéj język lądu od zamorza wynurzały się kształtne jachty, do białych ptaków podobne, i czarne czółna rybaków, wracające z połowu homarów, któremi słynie ta okolica. Lecz próżno szukałoby oko imponujących rozmiarami okrętów na pogodnéj, miliardami błysków drgającéj płaszczyźnie. Mielizny i bagniska obniżyły znaczenie doniosłego ongi portu tak, iż wypoczywają w nim tylko barki

i spacerowe parowczyki i wyjątkowo zaszczyca go krótką wizytą szalupa, lub torpedowiec marynarki wojennéj. Jakoż miasto Poole spoczywa na północnym krańcu zatoki jakieś martwe i z zielonego wzgórza w Parkstone zarysowuje się niewyraźnie, spowite w obłok dymu fabrycznego oraz wód matowe opary, naszpilkowane kominami i wieżami kościołów.

Z tym krajobrazem John zbratał się w ciągu ośmiu miesięcy, spędzonych w willi swéj dostojnéj małżonki. Żywiołowo odczuwając malowniczość krajobrazu, wyciągał się cały na piersi przyrody i żył życiem roślin.

Po za nim leżało Parkstone-on-sea, osada rozsypana bezładnie po wzgórzach i parowach, jedno wielkie legowisko will, co skryte jedna przed drugą w bukiety krzewów i ogrodów, schroniły się w to zacisze przed zgiełkiem światowym. Na szczycie góry, tuż po za zwirówką, dzielącą pana Hopkins od kolczastego żywopłotu, nad którym stróżował rząd akacyi, bzów i jarzębiny, królowała obszerna willa Sans souci z facyatką, ulubiona siedziba pułkownika Aylesbury, i podnosiła głowę z głębi ogrodu nad wierzchołki drzew, jasna, gdzieniegdzie pokryta łuską bluszczu i róż dzikich, spoglądając z góry na inne, świetne wille, co usłały sobie gniazda poniżéj w dolinach. Cała osada oskrzydlała ją półkolem, na którego krańcu stały, niby żołnierze na warcie, grupy starych sosen o wachlarzowych wierzchołkach, ciemne, poważne i służbiste. Pas murszowatéj ziemi, pola zbożowe, gumna, fermy i wreszcie nieprzenikniony bór iglasty zamykały przestronną sielską panoramę.

Na zwirówce było pusto. Przemknął się dwukolny wózek piekarza, niekiedy dawał się słyszéć chrzęst welocypedu, zresztą żaden szelest nie zakłócał spoczynku wyzłoconéj majowém słońcem natury. Nic téż nie odrywało pana Hopkinsa od fajki, aż dopiéro ocknął go głos łagodny i uprzejmy:

— Jak się pan miewa, Mr. Hopkins? Piękny czas.

Niepostrzeżenie podszedł ku niemu *Father* Muphry z Poole, w czarnym kapeluszu filcowym, z laską w ręku, i przysiadł się do niego na ławkę.

— *Hallo!* — powitał go ex-kamerdyner, uradowany ze spotkania.—Dokąd droga? Do nas?

— Żałuję bardzo, że nie mogę dzisiaj wstąpić i zapytać o zdrowie pani Hopkins. Mam nadzieję, że miewa się ona dobrze. Śpieszę na herbatę do lady Brassey, która, jak panu wiadomo, żywo zajmuje się naszą szkółką.

— A tak! — rzucił zbywająco John swemu przyjacielowi, jedynemu jakiego posiadał w t. zw. towarzystwie. Przed ślubem spędził

pewien czas w skromném probostwie w Poole, gdyż Jezuita tłómaczył mu zasady wiary i przyjął go na łono swego kościoła. Te kilka tygodni zaliczał John do najprzyjemniejszych peryodów swego życia, bo ojciec Muphry umiał w sposób taktowny podsycać w nim poczucie dumy z niespodzianego wywyższenia w hierarchii społecznéj i postępowaniem pełném szacunku zdał się wyznawać, iż sam na niższym stoi szczeblu. I John, który apatycznie zgodził się na odszczepieństwo, wpisał się z radością w kongregacyę kościoła, do którego zaliczali się tak wielcy panowie i magnaci, jak margrabia Ripon i książę Norfolk.

— Wracając od lady Brassey, niechaj ojciec wstąpi do nas na partyę bilardu, co?—rzekł John, klepiąc Jezuitę po kolanie.

— Skorzystam z zaproszenia innym razem, bo dzisiejszy wieczór przyjdzie mi spędzić w willi Bungallow. Jak stoi sprawa *home*'u dla starych i schorzałych psów?

— Pani Hopkins zajmuje się tém gorąco. Zdaje mi się, że poszła pomówić w téj materyi z pannami Hollers, naszemi sąsiadkami.

— Bardza chwalebnie, że przykłada pan rękę do tego dzieła — wyszeptał z uznaniem proboszcz.

Wprawdzie John nie poczuwał się do zasługi, ale słowa te pogładziły mile jego próżność i począł z powagą, w liczbie mnogiéj:

— Postanowiliśmy wznieść ten zakład pod Londynem. Już od dawna wysełamy do dwóch podobnych przytułków wiele z zakupionych znajdów, za których utrzymanie płacimy od półkorony do korony na tydzień, stosownie do ich wielkości. Wskutek braku pomieszczenia przyjmujemy do siebie nie więcéj nad trzydzieści do czterdziestu szlachetniejszych okazów.

Nie było to dla ojca Muphry nowiną. Wysłuchał wszakże Johna z zajęciem, poczém wstając, rzekł:

— Lady Brassey będzie zachwycona, gdy ją wtajemniczę w działalność państwa. Mam z nią do pomówienia w sprawie bazaru, jaki zamierzamy urządzić na rzecz naszéj szkółki w sierpniu, gdy zjedzie do Parkstone kilku wybitnych parafian. Z pewnością nie zabraknie w naszym gronie pana i pani Hopkins.

— Przyjedziemy, nie ulega wątpliwości! — zawołał John, lubo nie był pewnym, czy żona zabierze go z sobą. A miał wielką ochotę spędzić chociaż kwadrans w salonie z ludźmi krwi niebieskiéj, którzy z innéj wydawali mu się ulepieni gliny. Powtóre w Parkstone nudy były straszliwe.

— Możeby kilka z naszych psów wystawić w bazarze? — dorzucił, dumny ze szczęśliwéj myśli. Lecz Jezuita przybrał na to powątpiewającą minę.

— No, oczekuję ojca wkrótce na partyjkę bilardu! — rzekł przy pożegnaniu i po odejściu Jezuity westchnął, bo żal mu było rozstawać się z miłym towarzyszem.

Z kim miał przestawać? Nie podobna, aby dżentelman zwracał uwagę na służbę, dawnych znajomych, a tymczasem z domami pańskiemi pani Hopkins nie utrzymywała teraz stałych stosunków. Jeśli zaś wychodziła z wizytą, jéj małżonek pozostawał w domu i pilnował psów.

Wypaliwszy fajkę, wyczyścił ją sumiennie, naładował świéżą i znowu cmokał, przyglądając się to dychawicznemu mopsowi, to jachtowi, szybującemu do brzegu, gdy posłyszał za sobą kroki i ujrzał wysoką, kościstą damę, odzianą w gustowną czarną suknię, idącą szybko pod górę z parasolką w ręku.

— Panny Hollers — poczęła pani Hopkins — zamierzają oddać do naszego przytuliska swego pokojowczyka, cierpiącego na nosaciznę, chociaż przypuszczam, że w ostatniéj chwili nie będą mogły się rozstać ze swym wstrętnym Spot'em. Stare panniska! — wzdrygnęła ramionami, a gdy siadłszy na ławce, wzrok jéj padł na strudzonego psa, twarz jéj, zwykle czerwona, poczerwieniała jeszcze więcéj, i zawołała:

— Ty zabijesz to stworzenie! Jak mogłeś wlec z sobą na spacer i jeszcze pod taką górę tego chorego nieboraka?! Patrz na oczy jego krwią nabiegłe! Słyszysz to chrapanie?!

— Co mnie będziesz uczyła! — obruszył się pan Hopkins, dotknięty wymówką. — Nie mam wiedziéć, co dobre dla psa? Mało ich to ich leczyłem, co? Dawniéj umiałem się z niemi obchodzić, a teraz miałem zapomniéć? *No fear!*

Przez niejasne „dawniéj" John określał delikatnie przedślubny, kamerdynerski okres życia.

— Na miłość Boską, nie posługuj się tak gminnemi zwrotami! Gdy „*r*" wymówisz, twój żargon z Hampshire w uszy mnie kole! Czyliż nigdy nie zrobię z ciebie dżentelmana? I czegoż to dokazałeś? Głupstwo i kwita! Moppy dychawiczny, jak był! Zabijesz mi psa!

— To doglądaj go sama! — wybuchł John, ponsowy na twarzy. — Zdechnie za tydzień, założę się. Wolę brać z sobą tego wesołego *pointer*'a.

— Śliczna sprawa! — krzyknęła pani Konstancya. — Zamiast prowadzać go cały czas na rzemyku, aby pies nauczył się pilnować no-

gi, spuściłeś go wczoraj, i pies przeganiał konie i krowy po błoniach, jak szalony.

— Dobrze, że się psisko przeleciało—bąknął pokornie John, poczuwając się do winy.

Na to pani Hopkins sarknęła i wzruszywszy ramionami, oddaliła się z pogardą.

Jak nawałnice, przychodziły częste wybuchy jéj złego humoru niespodzianie, i wonczas wylewały się wszystkie domowe kwasy na głowę Johna. Gdyby „dawniéj" zrobiono mu podobną scenę, *butler* byłby wypowiedział służbę w téj chwili. Tymczasem, jako małżonek i dżentelman, musiał znosić wszystko, odgryzając się jedynie, gdy dotknięto go w czułą strunę, w godność dżentelmana.

Któż bowiem mógł o tém wątpić, że był prawdziwym dżentelmanem? Nie pracował przecież na utrzymanie, żył jak pan, ubiérając się do obiadu we frak lub w „smoking". Krawiec, adresując do niego rachunek, pisał wyraźnie przy jego nazwisku: *Esquire.* Powtóre, w kościele siadał w pobliżu lady Brassey, która obecnie notowała sobie w pamięci zasługi jego, Johna Hopkins, na niwie hodowli i dobrobytu psów. A ożeniony był z damą z wysokiego stanu, która bądźcobądź posiadała wykwintne maniery, gdy chciała. Czyliż tak wysoko urodzona kobiéta pokochałaby nie-dżentelmana?

Można nie uznawać zwierzchnictwa papieża, negować jego nieomylność, lecz heretyk nawet musiał przyznać, że John Hopkins to prawdziwy dżentelman.

Wśród takich dumań ex-kamerdyner palił trzecią fajkę, poczém udał się na podwieczorek, przypominając sobie, że *savoir-vivre* zabrania surowo pozostawiać łyżeczkę w filiżance herbaty, za co niedawno wykrzyczała go żona. Mimo to wszakże, że nie skąpiła mu ostrych przycinków, przemilczała o spostrzeżeniu, fermentującém w głębi jéj umysłu, że lubo, jako kamerdyner, John robił wrażenie dżentelmana, jako dżentelman, dziwnie przypominał jéj kamerdynera.

Podwieczorek upłynął w harmonii, bo pani Konstancya wobec służby toczyła wojnę tylko półgębkiem, powtóre, wyszumiała przy spotkaniu męża na ławce i to znacznie jéj ulżyło na wątróbce.

Ale John niebawem powstał od stołu.

— Dokąd się wybiérasz?—spytała go małżonka.

— Przejadę się łódką—odrzekł zbywająco.

Zmilczała, wszelako z balkonu ponad facyatką, przed którą uderzał na podjazdowym trawniku wspaniały kląb bujnych rododendronów z fioletowém i ponsowém kwieciem, śledziła za mężem, który puścił się w kierunku prymitywnego, drewnianego pomostu, służącego rodzi-

nom zamieszkującym pobliskie wille. U końca jego spoczywał rój czółen.

Gdy łódka, unosząca Johna, zakołysała się, pani Hopkins nie spuściła go jeszcze z oka, ciekawa, w którą pokieruje się stronę. Wiosłując z pośpiechem, aż woda pluskała, zmierzał on na skraj międzymorza, gdzie wznosiły się czworaki, zamieszkałe przez majtków, rządowych strażników wybrzeża. Ponad czerwonym dachem sterczał w głębi komin, zdradzający inne domostwo — dostatnią gospodę „Pod przystanią", gdzie okolicznościowo zatrzymywali się właściciele jachtów, a latem przebywało kilka familii dla kąpieli morskich.

Do *Haven Hôtel* śpieszył pan Hopkins na pogawędkę z gospodarzem, panem Middleton, nie zdradzając się przed swą połowicą, że w serdecznéj był z nim komitywie. Bo p. Middleton przed kilku laty czyścił buty w jednym z hoteli w Poole. Jakim sposobem obrósł w pierze, było tajemnicą, dość że, poślubiwszy przystojną kelnerkę, wziął w dzierżawę hotelik i na tém pustkowiu oboje — jak stugębna głosiła fama—przepijali do siebie... zyski.

Zimową porą, gdy dom zajezdny stał pustką, John grywał z nimi w *nepa*, ulubioną grę w karty służących, debatował o szansach biegunów wyścigowych, lub trawił godziny na opowiadaniu tłustych dykteryjek, odziedziczonych w spuściźnie po minionych czasach i troskliwie przechowanych w futerale umysłowym. I nieraz bolał w głębi serca, że musi spoglądać na zégarek, by nie zapóźnić się na obiad, że nie może przynajmniéj raz na tydzień, jak dawniéj, rozporządzać dowolnie całym wieczorem.

Gdy nastała wiosna, jachty poczęły zarzucać kotwicę przy cieśninie, a więc obce pojawiały się twarze, wnosząc z sobą coś z miejskiego ruchu, oraz świéżych facecyi i dowcipów zapasy. Tutaj przeto miał ex-kamerdyner przynajmniéj z kim porozmawiać, przed kim podnosić swe socyalne stanowisko i sławić łaskawy los, co niby za dotknięciem różczki czarodziejskiéj przemienił go w najprawdziwszego dżentelmana.

Jakoż zamiast okalać pieszo część zatoki i przebywać piaszczystą dróżynę, wijącą się po międzymorzu, śpieszył na czółnie do swéj przystani.

Wpadł do traktyerni z rozjaśnionėm obliczem; wśród wyziewów piwa i wódek było mu jakoś raźniéj na sercu.

— Co nowego, Mrs. Jones? — odezwał się do strojnéj szynkarki.

— Kilka osób zapowiedziało swe przybycie na Zielone Świątki— odrzekła, wycierając szklanki i witając go przyjaznėm skinieniem głowy. — Widzę, że nie przyniósł mi pan obiecanego bukietu róż.

— Tam do dyabła, zapomniałem — tłómaczył się, bo z obawy przed argusowemi oczyma żony nie ośmielił się zerwać kwiatów.

— Mr. Hopkins! Jak się mamy? — zawołał w téj chwili gospodarz, wchodząc do obszernéj i schludnéj izby.

Przywitali się silnym uściskiem dłoni, poczém bez wstępu pan Hopkins poczęstował go likierem.

— Mam wesołego gościa w jadalni. Może przejdziemy? — rzekł hotelista, który „wesołymi" nazywał ludzi pozostawiających więcéj nad szylinga w jego kasie.

W towarzystwie pana Middleton, jego żony, dość ładnéj kobiéty acz z twarzą od trunku nabrzękłą, oraz aptekarza z Poole, zasiadł John ponownie do herbaty i koniaku. Przy gawędzie czas mu schodził szparko, lecz miał on lęk na sercu, aby nie doszło do uszu piekarza z Poole, przywożącego codziennie do Parkstone prócz świeżego chleba najświeższe lokalnego znaczenia wiadomości, iż Hopkins Esquire z willi Sans-souci pił wódkę z aptekarzem w nadmorskiéj gospodzie.

Gdy wybiło wpół do siódméj, zabiérał się do wyjścia, t. j. zgryzł kilka ziarnek palonéj kawy dla usunięcia z ust kompromitującego zapachu koniaku. Lecz nagle otworzyły się drzwi i stanął w nich lokaj w długim palcie, w cylindrze z rozetką i wygłosił z urzędową miną:

— Mrs. Hopkins życzy sobie, aby wielmożny pan wsiadł z nią do powozu.

Wielce strapiony, John pożegnał się pośpiesznie i wyszedł jak zmyty.

Gdy powóz ruszył, prując cicho głęboki piasek dróżyny, pani Hopkins odchrząknąwszy, poczęła:

— Co się znaczy, John, owo przesiadywanie w ordynarnéj knajpie?!... Słyszałam, że przybyła do niéj młoda kelnerka z Londynu. Nie ręczyłabym za to, czy to ona nie stanowi magnesu, który przyciąga cię do tego szynku. Tego tylko brakuje, abyś mi się wdał w romanse z jaką zapowietrzoną pannicą!

Źrenice jéj przeszyły go aż do wnętrzności. Przypuszczenie troskliwéj małżonki nie miało żadnéj realnéj podstawy; jedynie pragnienie towarzystwa przywodziło go do „Przystani". Zanim zdobył się na wyjaśnienie, pani Hopkins ubiła sprawę wymowną uwagą:

— Nie powinieneś zapominać o twém stanowisku...

Na to nie było repliki. W istocie nie godziło się gościć w gospodzie z aptekarzem. Wejść na kilka minut, pogawędzić łaskawie z kelnerką—to przystoi dżentelmanowi.

Przyznawał żonie słuszność, lecz przed rozbudzonym jego duchem zarysował się obraz państwa Middleton i wyobraził sobie, jakie on to

prowadziłby miłe życie, będąc właścicielem takiego hoteliku, przy boku młodéj niewiasty, chociażby z licami od koniaku zarumienionemi. I rozłożony na poduszkach *brougham*'u, westchnął ciężko, długo i żałośnie.

A lokaj, siedzący sztywnie na kożle, mruczał coś nieznacznie do stangreta i uśmiechał się z politowaniem, jakby myśląc sobie: „biédne Dżonisko!...”

III.

Nakrywano do śniadania. Tymczasem Mr. Hopkins w jasno popielatym, flanelowym ubiorze i żółtych trzewikach stał z rękoma w kieszeniach przed otwartém oknem jadalni i, przyglądając się parze czyżyków, biegających wesoło po gałęzi kasztanu, oczekiwał przybycia pań.

Prócz jego żony miała zasiąść do stołu jéj córka, miss Evelyn, która po czterech latach pobytu zagranicą zjechała na sezon londyński. Odwiedziwszy siostrę w Szkocyi, wypadało jéj pokłonić się także matce, chociaż podróż do Parkstone nie uśmiéchała jéj się bynajmniéj. Bo niestosowny związek pani Aylesbury z kamerdynerem rozluźnił jeszcze więcéj węzły rodzinne. Wiadomość o powtórném małżeństwie matki przyjęły dzieci pułkownika z ubolewaniem, lecz ograniczyły się na listach pełnych wymówek i zaklęć, w gruncie rzeczy nie oczekując, aby cośkolwiek mogło odwiéść arbitralną damę od matrymonialnych zamiarów. „*There is no fool like an old fool*” — mówiły sobie córki w cichości i odtąd, jeśli wspominały o niéj, nazywały panią Hopkins „matką”, nie chcąc wymieniać wstrętnego nazwiska.

Zawitawszy do willi Sans-souci późno z wieczora, panna Ewelina udała się niezwłocznie na spoczynek, jakby zwlekając ze spotkaniem z ex-kamerdynerem. I nie śpieszyła na śniadanie.

Gdy służąca wyszła z pokoju jadalnego i John pozostał sam, podszedł do stołu, przystrojonego różowemi kwiatami i zielenią, lustrując krytycznie nakrycie. Uderzyło go, że srebrny nóż do ryb nie leżał na właściwém miejscu, a jedna z serwet była niedbale zwinięta w rurkę. Począł się przeto krzątać wkoło stołu.

Na to weszła młoda, dobrego wzrostu osoba w białym, flanelowym kostyumie i trzewikach z płótna żaglowego, żywa w ruchach, wysmukła szatynka o czystéj, różowéj płci, delikatnych ustach i ciemnych, badawczych oczach swéj matki, które zmierzyły pana Hopkins od stóp

do głów. A gdy spostrzegła, że zwija serwetę, cierpki uśmiech wykrzywił jéj wargi.

Zdybany na gorącym uczynku, John zmieszał się i pokraśniał.

— Przypuszczam... mister... Hop... kins — wycedziła oschłym tonem panna Ewelina, niby zapominając, że widziała go przed śmiercią ojca w liberyi, i wyciągnęła jaknajdaléj od siebie rękę na powitanie.

On skłonił się sztywnie, z godnością kamerdynera.

— Ciepły ranek — bąknął, na co zamiast zdawkowego „*yes*" odebrał zbywającą odpowiedź:

— Nie byłam jeszcze na dworze.

— Zapewne przyjechała pani do Anglii na wyścigi?

— Bynajmniéj — rzuciła lakonicznie, lubo zamiłowanie pana Hopkins do sportu mogło zrehabilitować go poniekąd w jéj oczach.

Podjęła czasopismo i nie przestała oglądać ilustracyi, dopóki nie pojawiła się pani domu. Podczas śniadania zaś nie zaczepiła go ani razu, a gdy poprosiła go o podanie soli, jéj przeciągłe, pogardą brzmiące „Mister... Hop... kins" żgało niby żądło osy.

— Mógłbyś pojechać *dog-cart*'em po ojca Muphry i przywieść go do nas — rzekła pani Hopkins. — Dzień tak ładny, iż urządzimy *picnic* w lesie nad morzem.

Naturalnie John nie ociągał się ze spełnieniem życzenia równającego się rozkazowi, czując się u siebie tak zbytecznym, jak piąte koło u woza.

Po śniadaniu panna Ewelina musiała towarzyszyć matce do sadu i zwiedzać wszystkie psie budy, rozstawione rzędami pomiędzy nieurodzajnemi drzewami czereśniowemi i otaczające kręgami rozsochaty kasztan. Na końcu przeglądu tak była przesyconą widokiem psów, że odwracała się z podwójnym wstrętem od dychawicznego mopsa, który wlókł się za niemi ze zwieszonym łbem, prawie pełzał pod ciężarem tłuszczu.

Potém matka z córką siadły w trzcinowych fotelach na balkonie.

— Czy mama nie nudzi się cały rok w téj martwéj miejscowości?

— Bynajmniéj, mam dużo zajęcia: rachunki, psy, ochronki, bazary, stajnia, ogród, John...

— Ale, jak mama mogła połączyć się z... tym człowiekiem — wyszeptała nieśmiało panna Ewelina.

— Nie wtrącaj do tego twego żółtego dzioba. Gdy będziesz miała lat pięćdziesiąt, a Bóg nie poskąpi ci zdrowia i rozsądku, inaczéj

będziesz rezonowała. Miéj się na baczności, byś nie zrobiła większego odemnie „głupstwa”! — odcięła się pani Hopkins i po chwili dodała z przekonaniem: — Mężczyzna to mężczyzna, *my child.* Ty o tém nic nie wiész. Głupia jesteś!

Na tém urwała się rozmowa o tym przedmiocie. Pani Hopkins wkrótce oddaliła się, by wydać rozporządzenia co do pikniku, a panna Ewelina siadła do fortepianu. I tak zastał ją John z ojcem Muphrym.

Z południa niedobrane grono roztasowało się na małéj polance, położonéj wysoko na nadmorskiém urwisku, wpośród potężnych sosen, podszytych gęsto paprocią i rododendronami w pełnym rozkwicie. Przez wręb widniał z boku głęboki wąwóz, łożysko wrzosu, janowca, anemonów, sasanek i kosatek, przecięte nikłym strumykiem, który ściekał bez szmeru po żółtych kamykach i tonął marnie w piaskach, o krok od pienistych fal morskich. Słodka woń sosen rozpływała się w powietrzu, wytwarzając atmosferę duszącą i zgęstniałą, bo do téj kryjówki, niby koszyk opasanéj zieloną i kwiecistą plecionką, nie zakradał się prawie wcale powiew wiatru od morza, co błękitniało u stóp urwiska, szumiąc żałośnie.

Panna Ewelina, zrzuciwszy z głowy słomkowy kapelusz, wyciągnęła się jak długa na futrzanym kocu, z rękoma pod głową, i rozmawiała z jezuitą, który spozierał w jéj twarz ciekawie, gdy tymczasem pani Hopkins wyjmowała z koszyków prowianty z pomocą lokaja.

— Podaj obrus, Edward! — zwrócił się pan Hopkins do służącego, chcąc przyłożyć rękę do urządzenia pikniku. Lecz żona szepnęła doń opryskliwie.

— Nie mieszaj się do tego, John!

Odsunięty od towarzystwa, usiadł pod drzewem, czyścił fajeczkę i głaskał popielatego duńskiego ogara, co łeb czarno nakrapiany ułożył na jego kołanie. Potém przyglądał się sukni i trzewikom panny Eweliny, przypominając sobie, że kiedyś przechodził przez tę polankę z czarnobrewą Bessie, aż wzrok jego, nie sięgający daleko, spoczął na cichym, bezsilnym strumyku...

Aby wtrącić się do rozmowy, ozwał się w stosownéj chwili do jezuity:

— Czy zauważył ojciec, jak panna Ewelina świetnie gra na fortepianie, jak zgrabnie przekłada jedną rękę przez drugą?

Młoda panna parsknęła bezlitośnie śmiechem, a on mniemał, że może uda mu się zgrabnym komplementem zaskarbić jéj łaski. Niemniéj pani Hopkins wydało się śmieszném, iż poczciwy John uważa przekładanie rąk za najwyższą sztukę w grze fortepianowéj. Jedynie blada twarz ojca Muphrego nie odźwierciadlała żadnego uczucia.

— Nie ulega wątpliwości—odrzekł spokojnym tonem,—że panna Ewelina doprowadziła do wielkiéj doskonałości wrodzony talent, wyhodowany wśród wpływów muzyki włoskiéj.

Ten zwrot naprowadził rozmowę na muzykę i Włochy, ale John nie ośmielił się więcéj brać w niéj udziału. Zgryziony, stracił nawet apetyt i poprzestał na sucharze, sérze i winie. A myśl jego powędrowała prosto do „Przystani" i pytał się, czy powrócił już do niéj z wycieczki młody piwowar z Hampshire, właściciel jachtu, który zarzucił kotwicę w cieśninie. Był to człowiek rubaszny, ale dobry koleżka i... dżentelman. Na wspomnienie spędzonych z nim chwil, porwała Johna wielka ochota zajrzéć do gospody. Gdy przeto znalazł się sam na sam z żoną na uboczu, lubo wybiegi były dawniéj obce jego prostéj naturze, rzekł:

— Przyrzekłem przejechać się jachtem ze znajomym, wysoko postawionym dżentelmanem, który bawi w hotelu Przystani.

— Dobrze — odparła pani Hopkins łaskawie, patrząc na swego Johna z takiém zadowoleniem, jakiém przejmował ją widok tęgiego, popielatego psa duńskiego. — Gdy wyruszymy stąd, idź! Może ten pan wziąłby którego z mych psów?... Powróć na czas na obiad! — dodała, myśląc sobie, że jéj córka, nie znająca się na wartości mężczyzn, nie gniéwałaby się, gdyby John świécił nieobecnością przy obiedzie.

— Droga Ewelino — zwróciła się do córki — muszę uniewinnić pana Hopkins, że nie będzie nam towarzyszył z powrotem. Ma się spotkać z pewnym głośnym sportsmanem londyńskim.

Zanim John puścił się lasem ku piasczystym zaspom międzymomorza, szepnęła mu na ucho:

— Upominam cię, abyś nie flirtował z tą kelnerką!

— Zaledwie pan Hopkins uszedł kilka kroków, posłyszał za sobą wołanie ojca Muphry, który zrównawszy się z nim, rzekł:

— Chcąc przejść się, pozwolę sobie odprowadzić pana na półdrogi, poczém powrócę do dam.

W toku gawędy ojciec Muphry mówił, jakby do siebie:

— Lat temu wiele przechadzałem się w podobnym, pięknym lesie, lecz ludzie zakrwawili mi serce tak, iż nie zaznałem pokoju na łonie natury. Dopiéro u ołtarza odnalazłem szczęście i odtąd czerpię radość dla méj duszy ze zdroju wiary, z pracy dla kościoła.

Pan Hopkins zbiérał po drodze szyszki i z potrzeby ruchu ciskał je w gęstwinę rododendronów, każąc je aportować psu, na niezrozumiałe wyznanie jezuity nic nie mając do powiedzenia.

Przeszli spory kawał lasu, gdy ksiądz spytał, kiedy wyjeżdża panna Ewelina, a gdy dowiedział się, że miało to nastąpić za dwie doby, pomyślał chwilę i rzekł:

— Może pan przybędzie do mnie tego dnia na skromny obiad?

— Z przyjemnością. Szkoda, że ojciec nie ma u siebie bilardu.

— Ale zagramy w wista. Postaram się o miłego partnera.

— Jakże z owym bazarem, o którym ojciec wspominał?

— Przyjdzie do skutku wkrótce. Jednakże nie mały mam kłopot, bo koniecznie trzeba będzie przebudować i powiększyć naszą skromną świątynię Pańską. Chcielibyśmy prace rozpocząć na wiosnę, bo zastęp wiernych wzrasta, a wobec kościołów anglikańskich przedstawia się ona tak ubogo! Któż przypuszczałby, iż słuchają w niéj mszy świętéj tak dostojne osobistości, jak lady Brassey lub żona pańska, nie wspominając o wielu dżentelmanach. Niestety, dobrodzieje naszego kościoła nie rozporządzają taką fortuną, jak książę Norfolk, który prawie sam jeden funduje katedrę katolicką nad Tamizą! Pan to wielki i bogobojny! Co za boleść pomyśléć, że w domowém kółku nawiedzony takiém dopuszczeniem Boskiém, — westchnął i ciągnął — o ile skwapliwiéj powinni czynić dobrze synowie kościoła, których Opatrzność zawiodła wysoko kwiecistą drogą?... Imiona łaskawych fundatorów będą wyryte na marmurowéj płycie wewnątrz kościoła i we wdzięcznych sercach kongregacyi.

— O!... Niechaj ojciec pomówi o tém z panią Hopkins.

— Posłucham pańskiéj rady i zwrócę się do niéj w téj sprawie po wyjeździe panny Eweliny, bo teraz tak zajęta swą miłą, dawno niewidzianą córką. Nie wątpię, że nam nie odmówi pomocy. Wszelako sądzę, że pan sam wymowniejszym może byłby rzecznikiem w odpowiedniéj chwili.

— *Well*... — wycedził John powątpiewająco, lecz nabył przekonania, że musi on miéć pewien wpływ na żonę, bo ojciec Muphry dobrze wiedział, co mówił.

— Będę czuł się szczęśliwym, widząc imię Johna Hopkins Esquire wyryte obok nazwisk wysoko urodzonych naszych dobrodziejów... No, pomówimy o tém przy sposobności.

Wkrótce jezuita pożegnał go i zboczył ku Parkstone.

Słowa jego podziałały, jak balsam, na przygnębiony umysł pana Hopkins i otworzyły przed nim nowy horyzont. Jeśli dotychczas zajmował wobec żony stanowisko podrzędne, niemal służalcze, jak to go teraz uderzyło, mogło się to zmienić. Nie miał wprawdzie wyobrażenia, jakiéj należałoby się chwycić taktyki, bo on zanadto przywykł widziéć w niéj swą panią i w swéj prostéj machinie umysłowéj nie posia-

dał ani źdźbła dowcipu, lecz ojciec Muphry mógł mu wskazać drogę.

W miarę, jak zbliżał się do „Przystani”, rozchmurzone jego oblicze, oblane żywym blaskiem słońca, jaśniało nadzieją pozyskania znaczenia i swobody w domu oraz spotkania „głośnego sportsmana londyńskiego”, czyli piwowara z Hampshire.

Droga ciągnęła się brzegiem zatoki, a potém wiła ślimakowato środkiem międzymorza na falistym terenie białych, ruchomych piasków, które wpobliżu zajezdnego domu piętrzyły się w dość wysokie wały. Pod bokiem jednego z tychże zieleniła się mała kotlina, niby oaza na pustyni, i tutaj ujrzał pan Hopkins dwukolny wózek, odprzężonego kucyka skubiącego trawę, daléj piastunkę z niemowlęciem i dostatnio ubraną kobiétę, przyrządzającą herbatę na maszynie w cieniu samotnego drzewa.

Minąwszy tę grupę, składającą się na wdzięczny, barwny obrazek, John przedostał się przez zaspy na brzeg morski, aby skrócić sobie drogę do gospody, zwracającéj czoło ku rozmarzonym w cieple słoneczném wodom kanału angielskiego. Lecz gdy stanął na twardym szlaku, przykuł go do miejsca widok młodéj kobiéty, brunetki, w słomianym kapeluszu, w blado-niebieskim staniku muślinowym, która z podkasanemi spódniczkami powyżéj kolan brodziła w chłodnéj, orzeźwiającéj wodzie, z głową pochyloną, może unikając ostrych kamyków, może przestrzegając, by zdradliwa fala nie obryzgała jéj sukni. Jéj śnieżne, pięknie utoczone nogi przecinały zwolna kryształ wód, a John, nie poruszając się, podziwiał kształtną, dość silną figurę, bujne sploty włosów i zgrabne nóżki.

Nareszcie chrzęst łap ogara w zwirze zbudził jéj czujność i odwróciła głowę, ze zdziwieniem mierząc okiem nieznajomego.

Promienie ich źrenic w jedno zlały się pasmo, ale nim jeszcze spoczęły na nim te czarno oprawne, szafirowe, jakby irlandzkie oczy, John poznał w niéj — Bessie, swą dawną malinową Bessie, pulchną, tęższą w biuście, opromienioną urokiem młodości, z karmazynem i słodyczą na ustach, najładniejszą ze wszystkich kobiét.

Niemy, nieruchomy, patrzał się w łagodną jéj twarz, pełen zdumienia, zachwytu i radości, zmieszanéj z głuchém uczuciem żalu, nie mogąc pojąć, jak się to stało, że jéj nie zaślubił.

I Bessie rozpoznała w popielato ubranym dżentelmanie swego niewiernego „młodego człowieka”, lecz odwróciła się niezwłocznie, pluskając się we wodzie.

On zastanowił się; strzeliła mu myśl do głowy, że nie wypada mu zbliżać się do pokojówki, wszelako parł go naprzód jakiś miły prąd z mocą żywiołu i zmierzając ku niéj, począł wołać: — Bessie!...

Jakby nie słysząc, stąpała daléj. Dopiéro gdy niezrażony zbliżył się do niéj, spojrzała prosto w twarz jego, w zimném, stalowém wejrzeniu wyrażając gniéw zawiedzionego serca.

— Jak się masz, Bessie *dear?*

— Dobrze—odparła oschle—ale nie „*dear*".

— Czyś przybyła z twą panią do Parkstone?

— Porzuciłam to miejsce, bo siostra mnie wzięła do siebie—mówiła jakby z łaski.

— Czy to twoja siostra gotuje herbatę w kotlinie?

— Tak jest.

— Także ładna kobiéta. Prawda, że ona wyszła za mąż za maszynistę i mieszka w Wimborne?

Dziewczyna skinęła głową.

— Bessie *dear*, przyślę wam zaraz obwarzanek do herbaty z hotelu pod „Przystanią", a na przyszły tydzień odwiedzę was w Wimborne i wezmę cię na spacer mym *dog-cart'*em.

— Nie! — szepnęła cicho ale stanowczo, i tryumf zadowolonéj próżności kobiecéj odmalował się na jéj licach ironicznym uśmiechem.

— Czemu nie?—spytał i czekał odpowiedzi.

— Bo jestem zaręczona—wycedziła od niechcenia.

Uderzyło go coś w piersi.

— Z kim?—pytał po chwili milczenia.

— No — odparła Bessie z przekąsem — nie możemy wszyscy wchodzić w związki z lordami i wielkiemi paniami, ale dyrektor cegielni jest dla mnie zaprawdę dość dobrym...

John chciał coś mówić, o coś prosić, ale poplątały mu się myśli. Stał zgryziony, przybity, bezradny, dopóki Bessie nie rzuciła mu pożegnalnego: „*good-bye!*" i nie skinęła wyniośle głową.

Oddalił się ociężałym krokiem, nie spozierając po za siebie na dziewczynę, która podtrzymując piąstkami suknię, podreptała zaraz opowiedziéć siostrze o niespodzianém spotkaniu swém z dawnym wielbicielem.

Tymczasem dżentelman kroczył gdzieś przed siebie, tocząc martwém okiem, co nic wokoło nie widziało i widziéć nie chciało. Bieliły się przed niém ponętne nogi dziewczyny, czerwieniły się usta jak maki; zresztą na świecie nie było nic godnego widzenia. I nerw, co zadrgał w nim żywo, rozbudził uśpioną falę życia, ukołysał się do snu, pozostawiając pierś pustą, machinę-człowieka.

IV.

W cieniu ponuréj, od morskich wyziewów zszarzanéj ściany hotelu „Przystani” rozgościli się przy stole piwowar, nazwiskiem Barker, i Mr. Middleton w towarzystwie mnogich, próżnych butelek piwa i flakonu z wódką. Młody, przystojny żeglarz, z rozpiętą kamizelką, wsparłszy się łokciami na ceracie, prawil coś hoteliście, który w odpowiedzi belkotał językiem, z rumieńcami na bladéj twarzy, z błędnym wzrokiem, raz po raz przesuwając dłonią swe blond włosy.

Obadwaj powitali pana Hopkins radośnie, piwowar odrazu nazwał go „przyjacielem” i począł mu nalewać w szklankę *whiskey.*

Lubo wstrzemięźliwy z natury, John wszedłszy między wrony, musiał krakać jak one. Zresztą w takiém był usposobieniu, że byłby pił atrament, aby tylko czémś się zająć, słyszéć gwar wkoło siebie i uśmierzyć toczący go ból w duszy.

Wkrótce z gospodarzem niepodobna było się dogadać, bo mocne cygaro hawańskie dobiło go do reszty. Lecz piwowar, zupełnie przytomny, ust nie zamykał, a wpływ trunku objawiał się jedynie przez pragnienie wyspowiadania się ze spraw osobistych. Jakoż począł opowiadać „przyjacielowi”, jakim sposobem doszedł do fortuny, nie troszcząc się o pana Middleton, który z początku przerywał mu jąkaniem, a potém wtórzył serdeczném chrapaniem.

Wysłuchawszy długiéj historyi, John zaciągnął piwowara do bilardowego pokoju. Chrapiącego hotelistę zaś pozostawili w rękach anioła opiekuńczego, który zjawił się w postaci jego godnéj małżonki z czerwonym nosem i ze szlachetnym wysiłkiem zawiódł go na nocne leże.

— Chciałbym zwiedzić pańską willę, Mr. Hopkins — rzekł Mr. Barker w toku gry. Podobno dominuje nad całą okolicą.

— W najlepszém położona miejscu — bąknął John, wyciągnięty na dużym bilardzie, domyślając się dokąd zmierza Mr. Barker.

— Chętnie ugościłbym pana u siebie, lecz tak się fatalnie złożyło, że mamy w domu niekoniecznie przyjemnego gościa.

— Mniejsza o to, nie wpraszam się — rzekł urażony i niekontent Mr. Barker.

— Ale może jutro zrana wstąpi pan obejrzéć naszą psiarnię, a wieczorem stawi się na obiad do hotelu pod „Trzema gwiazdami” w Poole? — zapronował John, zebrawszy się na odwagę.

— *Well*, niech i tak będzie!—odparł wsparty na bilardowym kiju piwowar. — Gdy przybędzie pan do Hampshire, jako dżentelman, odwdzięczę się panu obiadem u siebie.

John połknął pigułkę. Podczas gdy Mr. Barker mozolił się nad wpędzeniem bilardowéj kuli do siatki, zatopił się w myślach i po chwili zagadnął:

— Co pan rozumié przez określenie: dżentelman?

Zakłopotany pytaniem, jakiego nikt mu dotąd nie stawił, Mr. Barker drapał się po czuprynie, aż wreszcie wygłosił z miną, obwieszczającą, że łamigłówkę szczęśliwie rozwiązał:

— Dżentelmanem jest każdy rzeczywisty czy pozorny mężczyzna, mający kilka szylingów w kieszeni i noszący cylinder. Ale prawdziwym dżentelmanem... na to wiele więcéj potrzeba. Stanowisko ani ukształcenie samo nie wystarcza. Prawdziwym dżentelmanem trzeba się urodzić, albo przynajmniéj umiéć wmówić w ludzi, że się nim jest rzeczywiście.

Głęboki cień padł na lica pana Hopkins. Według téj definicyi był on dawniéj po za służbą tak dobrze dżentelmanem, jak każdy inny, a w prawdziwego dżentelmana nie mógł przeobrazić się nigdy. Nie potrafił on nawet przystroić się w pozory. I nad tém zabolał srodze.

W ciągu gry weszło do izby trzech mężczyzn, z cygarami w ustach i szklankami piwa w rękach. Zająwszy siedzenia na czarnéj kanapie pod ścianą, śledzili przebieg gry. Jeden z nich, w dość długim granatowym surducie, z żółtemi cholewami opinającemi u dołu spodnie, widocznie masztalerz, cisnął na wstępie panu Hopkins wyzywające spojrzenie, rozsiadłszy się, nie przestawał zérkać na niego z ukosa, a gdy gracz zdał się go nie zauważyć, odchrząknął raz i drugi i zawołał doniośle: — John!

Mr. Hopkins, odwrócony tyłem do groom'a, wdał się w rozmowę ze swym partnerem, jakby nic nie słyszał i do znajomości się nie przyznawał.

— John! — powtórzył tenże hardo, gdy głosy przycichły. — Nie znasz mnie to? Pamięć cię zawodzi! Już nie pamiętasz, jak to grywaliśmy w *nepa* w stajni lorda Wimborne?!...

John poczerwieniał jak burak, przygryzł wargę i fala wściekłości uderzyła mu do głowy. Widywał on go często w Parkstone, gdzie niezawodnie Harry był teraz w obowiązkach, ale naturalnie unikał i nie rozpoznawał. W pierwszéj chwili byłby najchętniéj pochwycił go za gardło i cisnął o mur, jak szczeniaka, lecz opanował się i, patrząc osłupiałym wzrokiem na stół bilardowy, milczał. Jedynie ciężki,

przyśpieszony jego oddech było słychać w izbie, niby miech kowalski.

— A to sławnie pan zagrał! — zwrócił się do partnera, który po krótkiéj przerwie podjął grę na nowo.

Ze źrenic masztalerza tryskały błyskawice głębokiéj zawiści, na twarzy jego paliły się ognie i, gdy cisza zapanowała, ozwał się do swego towarzysza i sąsiada:

— Nie żeń się z wielką damą, bo ogłuchniesz na oba uszy, jak mój przyjaciel John Hopkins, co niegdyś pożyczał odemnie po kilka szylingów...

Jakby w pokoju robiło się za gorąco, John odetchnął całą piersią. Podniósł oczy na zaczepiającego i, przeszywając go dumném spojrzeniem, wykrztusił urywanym głosem:

— Harry, mówię ci po raz pierwszy i ostatni, zamknij gębę i wynoś swe kości co tchu... błaźnie!

Groom zaśmiał się zcicha.

— Jeśli masz ochotę spróbować się na kułaki, to chodź przed dom. Zobaczymy, kto błazen.

To rzekłszy, zabrał się zaraz do zdejmowania surduta, ale John powstrzymał go, cedząc dobitnie:

— Nie zrzucaj surduta, bo jak cię stąd wyrzucę, to żona twoja musiałaby go tu szukać. Dżentelman nie bije się z groom'em.

Na dźwięk podniesionych głosów ogar, śpiący w kącie, uniósł łeb i rozglądał się po izbie, niby pytając, co się święci, tak zaciekawiony sceną, jak pan Barker, który siadł na kanapie w oczekiwaniu walnéj batalii.

Tymczasem stajenny zachichotał znowu i, zapinając surdut, począł krzykliwie:

— Dżentelman! *Pah!* Co to mi za wielki pan, którego ojciec owce pasał w Hampshire! Biedaczysko, nie mające ani złamanego, własnego szeląga w kieszeni, i tchórz...

— Milcz! — ryknął John i rzucił się gwałtownie ku niemu, ale masztalerz skoczył zwinnie w bok i przystanął z przeciwnéj strony bilardu.

Przez moment stali tak, kipiąc szalonym gniewem, przedzieleni dużym bilardem, niby dwa dzikie zwierzęta, gotujące się do skoku. I w izbie zadymionéj i gorącéj tylko brzęczenie owadów przerywało ciszę.

Po namyśle ex-kamerdyner, nie chcąc kusić się o pochwycenie napastnika w pędzie, zajął stanowisko przy drzwiach, by zapanować

nad wyjściem. Groom wykonał ruch odpowiedni tak, iż znowu dzielił ich bilard i, pewny siebie, naigrawał się:

— Dżentelmanowi żona nie wydziela koprowiny na piwo i tabakę! Niedługo przywiążą cię na łańcuchu do psiéj budy, byś jeszcze lepiéj pilnował babskich spódników. Przedtém byłeś panem kamerdynerem, ale spadłeś na płatną z łaski szlafmycę téj pani! Dżentelman, cha! cha!

Ściskając kurczowo krawędź bilardu, John z krwią zabiegłemi oczyma, ważył w myśli szanse. Skoczyć na bilard i przytrzymać go za czuprynę? Ale Harry czmychnąłby pod stół i dopadł do drzwi. Miał go na odległość jednego i pół ramienia, lecz jak dostać go w swe ręce?

Wtém ogar podniósł się, wyciągnął łeb, jakby węsząc, poruszył się i warknął zcicha, złowrogo.

Na to masztalerz pobladł. Szalę zwycięstwa pies przeważał stanowczo na stronę Johna, wszelako ex-kamerdyner przeląkł się sprzymierzeńca, co mógł pokąsać i zadusić na śmierć stajennego.

Podniosły się téż głosy:

— Wypędzić psa!.. *It isn't fair!...*

— Do nogi, Dżek — zawołał John na ogara, a gdy tenże, ociągając, zbliżył się, poklepał go po łbie i szybko wypchnął za drzwi.

Ochłonąwszy ze strachu, masztalerz szukał świéżych przytyków.

— No, jakże dżentelman John?! — cisnął mu, odczuwając jego bezradność. — Czekam dość długo, dość téj zabawy! Dzięki Bogu, rozpoznałeś mnie nareszcie, teraz poznasz mnie lepiéj! Ty jedynie do starych bab masz szczęście! Pamiętasz tę francuską służącą w Wimborne, tę bez zębów?! No, John, tyś istotnie wielki pan, chociaż psy twéj damy na ciebie...

Tu pod wpływem strasznéj furyi podniosła się ręka Johna, w któréj dotąd trzymał kij bilardowy, i bezradny, cisnął go w twarz groom'a. Zaskoczony znienacka, masztalerz cofnął się, uderzony, odwrócił bokiem do bilardu, a gdy kij padł pod ścianę, schylił się po broń. Lecz John chwilę tę wyzyskał. W skok rzucił się za nim i u drzwi przytrzymał. I potężna pięść jego gruchnęła w ucho masztalerza.

Zaszamotali się, aż sprzęty w izbie zadygotały, odpowiadając echem. Jedno i drugie ramię zapaśnika migało w powietrzu, potém bilard zaskrzypiał i poruszył się, przygnieciony bokiem masztalerza, rzuconego z odmachem.

I dłoń Johna spoczęła na karku przeciwnika, który zaparł się rękoma i nogami o bilard. Nastała pauza i ciche mocowanie się, wreszcie John, sapiąc, jedném kopnięciem kolana podważył go i wysadził

z pozycyi. Jeszcze chwila, potém groom wyleciał z pokoju jak z procy, a drzwi zatrzaśnięte zatrzęsły się w zawiasach, jękły, i tynk opadał z muru z szelestem.

Na tém skończyła się bójka. Atoli nikt nie zwrócił uwagi na skomlenie i drapanie ogara do drzwi, który teraz rzucił się na powalonego w korytarzu groom'a i począł wściekle szarpać go kłami.

Towarzysze zwyciężonego, John sam i piwowar skoczyli na ratunek, ale gdy wydobyto masztalerza z pod pazurów ogara, leżał wpół nieżywy, omdlały, we krwi zbroczony, okropnie pokąsany, ze żebrem złamaném w zapasach, z odzieniem w szmaty zdartém — straszny obraz.

Bądź co bądź, rany, jakie odniósł, zapowiadały akcyę sądową.

O epilog téj sprawy pan Hopkins nie kłopotał się. Nie litował się téż nad masztalerzem ani nie wyrzucał sobie, iż wdał się w bójkę, bo zapasy i pomsta przyniosły mu ulgę.

Wieczór spędził w „Przystani", nie chcąc ze swém podbitém okiem ukazać przy stole w Parkstone. Jak przywitałaby go żona i owa miluchna panna Ewelina?

Wracając do domu o księżycu, jeszcze ociągał się z powrotem, lękając się nieodzownego śledztwa ze strony pani Hopkins. Jakoż spoczął na wrzosowisku, w pobliżu miejsca, gdzie spotkał Bessie, znękany i posępny.

Wydało mu się teraz, że nie dość pomścił się za zniewagę, nie dość wywarł swój gniew i gorycz, co w ciągu dnia i długich miesięcy nagromadziła się na jego sercu kropla po kropli. Aby ją całą wydrzéć z duszy, musiałby bodaj wojować z całym światem, katować i zabijać.

Lekceważące obejście się z nim panny Eweliny, odpychające słowa żony, spotkanie z nadobną Bessie, jéj odwet, pogląd pana Barkera, bezczelność masztalerza, który bryznął mu w twarz słowa gorzkie jak piołun, słowa prawdy — wszystko to stargało i rozstroiło struny jego cichéj duszy. Pił dużo tego wieczora, ale wódka, miasto wygładzić jéj wzburzoną powierzchnię, wydobyła na jaw ukryte bolączki, spoczywające w głębi duszy, zaledwie nawpół zrealizowane, niejasne. Teraz powyłaziły one, niby szczury z nor, i gryzły go.

Opadł mu z przed oczu welon iluzyi, marzenia o stanowisku i swéj wielkości, serdecznie i długo hodowane, gdzieś się rozwiały. I jak bezdomny włóczęga, siedział na pustkowiu bez otuchy, bez celu, bez jutra.

Na wodach zatoki migotały blaski latarni na palach, wiodące do cichéj przystani, ale nie tędy prowadziła go droga, bo na szarym szlaku jego życia nie świeciły się światła.

Ze wzgórza w Parkstone mrugała gwiazdka od strony willi, ale nie ku niemu, bo on tam był zbytecznym. Lepiéj na odludnych wydmach, zdala od owego domowego ogniska! Bo czyliż ciągnęła go do siebie ta gderliwa, kapryśna, zwiędła stara kobiéta? Niechaj grymasi, że nie stawił się na wieczór! „Niechaj się powiesi!” Wraz z tą słodziuchną córeczką!

Ale przecież był on tam panem. Tak, zaiste panem, nad którym lituje się służba, a którym żona, niby wiechciem, pomiata. Ha, ten łajdak Harry mówił prawdę! Służącym był do psów doglądania i wygrzewania nóg swéj pani! Gorzéj niż służącym, bo dozgonnym skrępowany węzłem, osadzony w kleszczach ceremonii, na domiar ograniczany, pilnowany, odcięty od ludzi—istny niewolnik.

Po za domem zaś był zerem. Ludzie z „towarzystwa” nie znali go i oglądać nie chcieli, warstwa niższa odwracała się od niego z szyderstwem na ustach, w płytkiéj zazdrości rzucając mu w twarz obelgi. I on sam wyodrębnił się trochę, odsunął się od pospólstwa, nie zbliżywszy się rzeczywiście do koła, w które los popchnął go złośliwy. Osamotniony, zawisł gdzieś pomiędzy obu biegunami! Gdyby kiedy była mu przyszła chęć zbratać się znowu ze służbą, byliby mu oni na każdym kroku nogę podstawiali, lub odtrącali od siebie, jak wyrzutka. Nawet Bessie poszła na zawsze bez łaskawego wejrzenia, bez dobrego słowa, co rany goi.

Cóż zatém zyskał na tém świetném małżeństwie? Był on rzeczywiście dżentelmanem, czy nie?

Machnął ręką i patrzał na morze, na księżyc, płynący wśród gwiazd i drogi mlecznéj na lazurowych wyżynach, patrzał na cienie, pełzające po piaskach niby duchy lękliwe, na wstęgę księżycowego blasku, rzuconą na fale, i na swego ogara, który, leżąc przy jego boku, lizał mu niekiedy rękę ogromnym ozorem.

I czuł, że wszystko prócz tego psa wiernego było mu na świecie dziwnie obojętném.

Potém szedł ku domowi, bo gdzież miał pójść i co robić? Zapomniał nosić liberyę, a nie nauczył się wdziewać ją innym na grzbiety. Lecz idąc w jarzmo, głuchy ból czuł w piersi i w téj niemocy, rozgoryczeniu, w tym ducha upadku wyrzekł do siebie słowa, jakie nigdy przez usta jego nie przeszły:

— Niech dyabli wezmą to przeklęte dżentelmeństwo!...

. . . .

Po kilku tygodniach, gdy masztalerz powstał z łóżka, John odebrał list od *solicitor*'a, który w imieniu groom'a żądał sowitego odszko-

dowania za rany odniesione w bójce i od kłów ogara. Pani Hopkins pretensye masztalerza zaspokoiła, ale wieść o sprawie téj przechodziła z ust do ust, z jednéj miejscowéj gazety do drugiéj, aż kto żyw wiedział, że „Mr. Hopkins, podrażniony uwagą dawnego kolegi, masztalerza, który wzbraniał się uznać w nim dżentelmana, z pomocą swego potężnego ogara tak srodze go poturbował, iż stajenny o mało nie przypłacił tego życiem."

Ogar odgrywał we wszystkich wersyach, co w promieniu mil dziesięciu kursowały, w podtrzymywanych przez szynkarzy i stare panny pisemkach tak wielką rolę, iż nawet dzielna pięść Johna nie wzbudziła podziwu ziomków. Zajęcie się potyczką takie przybrało rozmiary, że wielu obywateli okolicznych odbywało pielgrzymki lub wyprawy morskie do hotelu „Przystani", aby jaknajściślejsze i najdokładniejsze zebrać informacye na miejscu. Opowiadanie zaś nieobecnego przy bójce pana Middleton komentowano różnie, zawsze jednak w duchu dla Johna nieprzychylnym. Bo sympatya opinii publicznéj, któréj głos tak żywo brzmiał w uszach pana Hopkins, przechyliła się na stronę masztalerza, a wskazywano palcem parweniusza zadzierającego głowę, pijaczynę nie wychodzącego z *bar*'u „Przystani", ex-kamerdynera nie umiejącego zastosować się do swego położenia socyalnego, niegodziwca kompromitującego czcigodną, z pięknego rodu małżonkę, brutalnego zawadyakę szczującego bliźnich ogarami. I przyczepił się doń uszczypliwy przydomek, który zaryglował przed nim wszystkie dotąd zamknięte domy i szedł za nim wiernie, jak ogar, po ścieżce żywota: „gentleman John!"

Maciej Wierzbiński.



Trzeci tom

„KAPITAŁU”.[1]

I. Uwagi wstępne.

Pojawienie się III-go tomu „Kapitału” Marxa było dla wielu ekonomistów rozczarowaniem: Loria uważa go wprost za samobójstwo całéj teoryi, która niedawno jeszcze mogła rościć pretensye do stanowiska panującéj w nauce. Osobiście jesteśmy także niezadowoleni z téj, tak długo oczekiwanéj, części słynnego dzieła i sądzimy, iż należy wyrzec się nadziei, któręśmy długi czas podzielali, iż wartość sprowadzić się da do jednego czynnika, do pracy, chociażby pojętéj w sposób jak najbardziéj rozległy. W dalszym ciągu okażemy, na czém to nasze przeświadczenie się opiéra, tymczasem zaś, w niniejszych uwagach wstępnych, postaramy się przypomniéć czytelnikom zasadnicze terminy i określenia używane przez Marxa, by nie miéć trudności w wykładzie i krytyce poglądów, zawartych w III tomie „Kapitału”.

Jak wiadomo, pierwsze dwa tomy tego dzieła stanowiły analizę całkiem abstrakcyjną wytwarzania i obiegu towarów, w trzecim autor przechodzi do rozbioru zjawisk konkretnych.

---

[1]) *„Kapitał“, soczynienie Karła Marksa. Pierewod s niemieckawo. S.-Pietierburg*, 1896, tom III.

Tak np. w pierwszym tomie Marx wykazuje pochodzenie nadwartości, ale nie zajmuje się bynajmniéj kwestyą, w jaki sposób nadwartość ta podzielona zostaje pomiędzy rozmaite klasy społeczne. Tą właśnie sprawą zajmuje się tom trzeci. Ale rozpocznijmy od określeń.

Analiza Marxa ogranicza się tylko produkcyą towarów, która się odbywa przy rozwiniętym podziale pracy, gdy każdy wytwórca produkuje nie dla siebie, lecz dla innych, gdy wysyła swe towary na rynek, którego potrzeb nie zna zgóry, gdy pracuje nie na obstalunek, lecz dla nieznanego kupca. Koszula, którą chłopka szyje dla własnego użytku, nie jest towarem, ale ta, którą magazyn fabrykuje dla nieznanych klientów, jest nim. Towar stanowią więc nie naturalne właściwości przedmiotu, lecz stosunki społeczne jego produkcyi. W naszych czasach prawie wszystkie przedmioty przeznaczone są do sprzedaży, są towarami. W czasach pierwotnych i w starożytności były niemi tylko wyjątkowo.

Ponieważ towar jest zwykle niepotrzebny dla użytku osobistego wytwórcy, więc wymiana jest warunkiem koniecznym produkcyi towarowéj. Na jakich zasadach wymiana ta się odbywa?

Obejmuje ona tylko wytwory pracy ludzkiéj. Przedmioty, nie zawierające jéj, jak powietrze, woda i t. p., należą do wszystkich i brane są darmo. Również materyę i jéj przymioty naturalne daje *gratis* człowiekowi przyroda — zdaniem Marxa.

To więc, co ludzie porównywają przy wymianie, jest, według niego, praca. Sądzi on, iż wszelka praca skomplikowana sprowadzona być może do pewnéj ilości pracy prostéj. Tak np. jeden dzień pracy uczonego może wymagać tyleż wysiłku, co dziesięć dni pracy zwykłego wyrobnika. Weźmy dwa towary jakiekolwiek: koszulę i parę butów. Jeżeli szewc szyje tę ostatnią w ciągu sześciu godzin, a szwaczka używa tyluż godzin dla uszycia koszuli i jeżeli praca w obydwu tych rzemiosłach wymaga jednakowego przygotowania, wysiłku i zręczności — obadwa wytwory mieć będą jednakową wartość. Jeżeli natomiast praca szewca jest dwa razy zmudniejsza, wymaga dwa razy dłuższego przygotowania, lub dwa razy większego natężenia, to para butów wymieniać się będzie na dwie koszule. Toż samo dzieje się ze wszelkiemi towarami wogóle.

Wszelkie rodzaje pracy, zawarte w nich, sprowadzane są nieświadomie do pracy zwykłéj, średniéj, którą rozpatrywać można, jako pewien wydatek mięśni, nerwów, krwi etc. Towary wymieniają się w stosunku do ilości téj pracy średniéj, która niezbędna jest dla ich wytworzenia.

Ale, by wymiana mogła się odbywać w ten sposób, dwa inne warunki muszą być uskutecznione: 1) wszyscy wytwórcy muszą posiadać narzędzia i maszyny używane powszechnie w danéj epoce; 2) nie powinno być wytworzono towarów więcéj, niż dla społeczeństwa w danéj chwili potrzeba. Jeżeli na uszycie pary butów, przy średniéj wprawie i panujących w danêm społeczeństwie narzędziach, potrzeba sześciu godzin pracy, to szewc początkujący, nie posiadający należytéj wprawy, lub ubogi, pozbawiony należytych narzędzi, może pracować dla ich uszycia nawet 12 godzin, ale nikt mu nie zapłaci za nie więcéj, niż gdyby pracował tylko pół dnia. A zatém, przy zamianie bierzemy pod uwagę nie czas osobisty, rzeczywiście użyty przez wytwórcę, lecz czas społecznie niezbędny.

Powtóre, jeżeli społeczeństwo potrzebuje dwu milionów par butów, a wytworzono przez pomyłkę, czy dla innego powodu, cztery miliony, to szewcy otrzymają za każde dwie pary butów tylko tyle innych towarów, ileby otrzymali za jedną parę, gdyby wytworzyli dwa miliony par.

Wszystkie te warunki wchodzą w pojęcie pracy społecznie niezbędnéj, która, zdaniem Marxa, stanowi istotę wartości. Ponieważ praca mierzy się czasem, więc w określeniu wartości zamiast praca społecznie niezbędna możemy powiedzieć czas społecznie niezbędny.

Zobaczmy, jaki wpływ wywierają na nią zmiany w wydajności pracy. Wydajność ta mierzy się ilością produktów wytworzonych w jednostkę czasu. Jeżeli, dzięki zastosowaniu nowych maszyn, parę butów można wytworzyć w ciągu trzech godzin zamiast sześciu, a ilość pracy potrzebnéj dla uszycia koszuli pozostała niezmienna, to za parę butów szewc otrzyma już jedną tylko koszulę, przypuściwszy, iż dawniéj otrzymywał dwie. Wartość znajduje się więc w stosunku odwrotnym do wydajności pracy.

Przyszliśmy z Marxem do wniosku, iż wartość towarów określa się czasem społecznie niezbędnym dla ich wytworzenia. A jednak nikt nie mówi: „para butów = 3 godzinom pracy". To jednak bynajmniéj nie zmienia rzeczy: jakkolwiek nikt nie mówi głowa cukru = tylu a tylu jednostkom siły przyciągania ziemi, jednak wszyscy mają to właśnie na myśli, mówiąc np. iż głowa cukru waży dwa pudy. Faktycznie ludzie wyrażali zawsze wartość zamienną towarów za pomocą wartości (pracy!) innych towarów, przyjętych za jednostkę wymiaru. Jak w powyższym przykładzie: głowa cukru = dwu pudom, żelazo wciela w sobie siłę ciężkości i reprezentuje ją swém ciałem, tak samo istnieje zazwyczaj jeden towar, który jest wcieleniem wartości (pracy społecznie niezbędnéj). Towarem tym, pieniądzem, jest obecnie złoto. Materyą

swą przedstawia on czas społecznie niezbędny dla wytworzenia wszystkich towarów.

Tyle o wartości zamiennéj towarów. Co się zaś tyczy ich wartości użytkowéj, ich właściwości naturalnych, przyjemności lub wygody, które nam sprawiają, to, zdaniem Marxa, ona bynajmniéj na wartość zamienną nie wpływa. Natura daje nam wrzekomo materyę i wszystkie jéj własności darmo, a człowiek je przetwarza na wszelkie możliwe sposoby. Wartość zamienną otrzymują one tylko od dodanéj w ten sposób pracy. Tymczasem, dzięki pewnego rodzaju halucynacyi, którą Marx nazywa fetyszyzmem, wydaje się, jakobyśmy wymieniali przedmioty w stosunku do ich użyteczności. Ale ma to być wrzekomo tylko pozorem. W ten sposób stosunki społeczne, stosunki między ludźmi, przyjęły w oczach ekonomistów charakter materyalny stosunków pomiędzy rzeczami.

Ten punkt widzenia społeczny i historyczny wprowadzony zostaje przez Marxa także do pojęcia kapitału. I on nie jest rzeczą, lecz stosunkiem, „kategoryą społeczną” względną i czasową: to nie każda praca nagromadzona i nie wszelkie wogóle narzędzia pracy, są kapitałem. Środki wytwarzania stają się kapitałem tylko wówczas, gdy stają się narzędziami eksploatacyi, co wymaga, by społeczeństwo składało się z klasy pracowników wolnych, ale pozbawionych narzędzi pracy, i z klasy, która posiada te narzędzia, jako własność monopoliczną.

Marx rozróżnia w każdym kapitale dwie części: stałą i zmienną. Pierwsza obejmuje maszyny, materyały surowe, fabrykę—wszystko to się zużywa w produkcyi, ale oddaje tylko w miarę zużycia odpowiednią część swéj wartości wytworowi ostatecznemu. Kapitał stały pozostaje więc niezmiennym pod względem swéj wielkości w produkcyi, jakkolwiek może się zmieniać co do formy: np. wełna staje się suknem. Inaczéj się dzieje z tą częścią kapitału, która użytą zostaje dla najęcia siły roboczéj. Ta ostatnia, kupiona na czas według jéj wartości, wytwarza więcéj, niż kosztuje, gdyż jéj wartość użytkowa, którą fabrykant otrzymuje darmo — on płaci tylko za środki utrzymania siły roboczéj — staje się sama, według Marxa, źródłem wartości wymiennéj. Całe to rozumowanie, dość sztuczne, opiéra się na różnicy pomiędzy pracą a siłą roboczą. Kupując wino, kapitalista płaci tylko za pracę społecznie niezbędną dla jego wyprodukowania, ale nie płaci wrzekomo nic za właściwości naturalne wina. Toż samo się dzieje z „siłą roboczą” — nie płaci on nic za jéj wartość użytkową, za jéj własności, między któremi znajduje się „praca”. Otóż „siła robocza” jest jedynym towarem, którego wartość użytkowa jest jednocześnie źródłem wartości wymiennéj. Wytwarza ona więcéj, niż kosztuje, zmienia

wartość kapitału podczas procesu produkcyi, i dlatego Marx nazywa ją częścią zmienną kapitału.

Ilość pracy, która w ten sposób pozostaje nieopłaconą, Marx nazywa nadwartością, a stosunek téj ostatniéj do kapitału zmiennego stopą nadwartości, natomiast stosunek nadwartości do całego kapitału — stopą dochodu.

II. Średnia stopa dochodu.

Dla przykładu weźmy kapitał 10,000 rs.; niechaj część stała równa będzie 6,000 rs., a zmienna — 4,000 rs., zaś suma nadwartości — 3,000 rs. W takim razie stopa nadwartości $= \frac{3000}{4000}$, t. j. 75%, a stopa dochodu $= \frac{3000}{10000}$, czyli 30%. Dochód fabrykanta jest, zdaniem Marxa, tylko częścią pracy robotnika, częścią wartości, którą on wkłada w towar. Weźmy dwa kapitały *A* i *B* po 10,000 rs. każdy. *A* używa za 4,000 rs. pracy, *B* — za 6,000 rs. Przypuśćmy, iż nadwartość stanowi 10% płacy roboczéj, w takim razie jeden kapitał da 400 rs. dochodu, drugi — 600 rs. Sumy te, wzięte w stosunku do 10,000 rs. ogólnego kapitału, dadzą, jako stopę zysku dla *A* — 4%, dla *B* — 6%. Otóż w rzeczywistości wszystkie kapitały, jakąkolwiek jest suma pracy, któréj używają, przynoszą tęż samą stopę dochodu. Doświadczenie poucza nas o tém.

Tu więc zawiéra się sprzeczność, o którą powinno się rozbić prawo wartości Marxa. Istniała ona już u Ricarda, który ją wskazał, ale nie był w stanie rozstrzygnąć. Wskazał ją także Engel w przedmowie do II-go tomu „Kapitału", zapraszając ekonomistów do jéj rozstzygnięcia. Zobaczmy, w jaki sposób Marx sam stara się rozwiązać tę zagadkę w III t. swego dzieła.

Nazywa on „konstytucyą organiczną" (*organische Zusammensetzung*) kapitału stosunek jego dwu części składowych. To różnica w téj konstytucyi wywołała w wypadku powyższym nierówność w stopie dochodu ($A = 6000 + 4{,}000$, natomiast $B = 4000 + 6000$

Należy jednak zauważyć, iż często przy jednakowéj konstytucyi organicznéj (np. gdy *A* i *B* zawierają po 6,000 rs. kapitału stałego i po 4,000 rs. kapitału zmiennego) dwa różne kapitały mogą swoją drogą dawać różne stopy zysku. Dzieje się to, jeżeli wydajność i natężenie pracy są rozmaite w obudwu gałęziach przemysłu, albo też gdy płaca robotnicza jest niejednakowa, gdy używają niejednakowéj ilości pracy

prostéj i złożonéj, pracy kobiét i dzieci, lub wreszcie, gdy długość dnia roboczego nie jest jednakowa.

Można więc powiedziéć odwrotnie, iż różnice w konstytucyi organicznéj kapitałów mogą się wyrównywać przez wskazane powyżéj różnice — natężenia, długości pracy, rozmiarów płacy roboczéj i t. d., by wywołać jednakową stopę zysku dla wszystkich kapitałów.

Ten sam skutek — wyrównanie stopy dochodu — może wreszcie być spowodowany przez inną jeszcze okoliczność, przez różnicę w długości okresów obiegu kapitałów.

Weźmy np. dwa kapitały o jednakowéj budowie organicznéj (*A* i *B* po 6,000 rs. kap. st. i po 4,000 rs. kap. zmien.), niechaj obadwa dają jednakową nadwartość, równą płacy roboczéj, t. j. 4,000 rs., ale przypuśćmy, iż *A* obiega dwa razy do roku, *B* — trzy razy. W takim razie *A* dostarczać będzie: $4000 \times 2 = 8{,}000$ rs. nadwartości,
B „ „ $4000 \times 3 = 12{,}000$ rs. „
By znaléść stopę dochodu, należy, jak zwykle, wziąć te sumy nadwartości w stosunku do 10,000 rs. ogólnego kapitału. Stopa ta będzie więc wynosić dla *A* — 80%, dla *B* — 120%.

Można powiedziéć odwrotnie: iż różnice w budowie organicznéj kapitałów mogą się wyrównywać przez różnice w szybkości ich obiegu i spowodować jednakową stopę dochodu. Ten sam rezultat może być wywołany, jak to powyżéj widzieliśmy, przez odpowiednie kombinacye innych czynników (wydajność, natężenie, długość pracy i t. d.).

Należy jednak się zapytać, czy wszystkie te kompensacye, możliwe w teoryi, mają téż miejsce i w rzeczywistości tak, by wywołać wszędzie, we wszystkich gałęziach przemysłu, jednakową stopę dochodu. Gdyby one pozostawione były tylko dobréj woli jednostek, mogłyby miéć miejsce tylko jako skutek trafu szczęśliwego, i stopa dochodu nigdy prawie nie byłaby jednakową we wszystkich sferach produkcyi. Istnieje jednak przyczyna ogólna, która zmusza wszystkich kapitalistów do uciekania się do tych kompensacyi, a mianowicie: ogólna i jednakowa stopa dochodu nie jest niewiadomą, którą oni muszą dopiéro określić, lecz faktem z góry danym, do którego oni powinni się zastosować.

By zobaczyć, w jaki sposób to się odbywa, wyobraźmy sobie fabrykanta, który włożył trzy kapitały o różnéj budowie organicznéj do trzech rozmaitych gałęzi przemysłu. Przypuśćmy dla prostoty, iż stopa nadwartości wszędzie równą jest 100% (t. j. że suma nadwartości równa się kapitałowi zmiennemu), iż cały kapitał stały wchodzi odrazu w skład wytworu rocznego i że niema róznic w okresach obiegowych.

Niechaj jeden z tych kapitałów *A* zawiéra 75 jednostek kapitału stałego i 20 kapitału zmiennego; ponieważ stopa nadwartości równa się 100%, wytwarza on sumę nadwartości równą kapitałowi zmiennemu, t. j. 20 jednostek. Drugi kapitał *B* niechaj zawiéra 50 jedn. kap. st., 30 jedn. kap. zmien., więc i 30 jedn. nadwartości, wreszcie trzeci: 25 jedn. k. stał., 40 jedn. kap. zmien., więc i 40 jedn. nadwartości.

Ponieważ wartość towarów zawiéra kapitał stały + kapitał zmienny + nadwartość, będzie ona równą dla wytworów kapitału *A*: 75 + 20 + 20 = 115; dla wytworów kap. *B*: 50 + 30 + 30 = 110; dla wytworów kapitału *C*: 25 + 40 + 40 = 105.

Suma nadwartości dostarczona przez wszystkie trzy kapitały równa się *en masse* = 20 + 30 + 40 = 90 jednostek.

Zauważmy teraz, iż cena, podług któréj kapitalista sprzedaje swe wytwory, jest mu obojętna, byleby otrzymał swoje 90 jednostek nadwartości. Może więc, jeżeli to mu jest bardziéj wygodném dla sprzedaży rozłożyć tę masę nadwartości w jednakowy sposób na wytwory wszystkich trzech gałęzi przemysłu, t. j. zamiast wprowadzić do produktów kapitału *A* — 20 jednostek, *B* — 30 jed., *C* — 40 jed., wziąć średnią arytmetyczną $\left(\frac{20 + 30 + 40}{3} = 30\right)$ trzydziestu jednostek, którą wszędzie doliczać będzie do wydatków. Nic w jego interesach od tego się nie zmieni.

Dodając ten dochód średni trzydziestu jednostek do kapitału stałego, który zużyty został, i do kapitału zmiennego, otrzymujemy cenę sprzedaży, czyli wytwarzania.

Wszystko to można przedstawić w sposób bardzo prosty następującą tablicą:

Kap.	Wartość st. zmien. nadw.	Ceny sprzedaży st. zmien. doch.	Różnica pomiędzy ceną a wartością
A	75 + 20 + 20 = 115	75 + 20 + 30 = 125	+ 10
B	50 + 30 + 30 = 110	50 + 30 + 30 = 110	0
C	25 + 40 + 40 = 105	25 + 40 + 30 = 95	— 10
	330		

Byleby otrzymał w obudwu wypadkach 330 jednostek wartości i 90 jednostek nadwartości, sposób sprzedaży towarów jest obojętny fabrykantowi: czy ona odbywać się będzie według ich wartości, czy też według kosztów wytwarzania. Wybiéra ten ostatni sposób, gdyż rzeczywistość tego wymaga.

Wyobraźmy sobie obecnie, iż cała klasa kapitalistów stanowi jedną osobę moralną, postępować będzie tak samo. Wszystkie sumy

nadwartości, otrzymywane w daném społeczeństwie (według stóp nader rozmaitych, które mogą być niejednakowe w różnych gałęziach przemysłu), są dodawane jedne do drugich i wzięte w stosunku do sumy ogólnéj istniejącego kapitału. W ten sposób otrzymaną zostaje średnia stopa dochodu, która jest prawem daném: wszyscy oddzielni kapitaliści muszą się doń zastosować.

Suma dochodu otrzymywana przez całą klasę kapitalistów jest więc równa sumie nadwartości, którą zbiéra, a ogólna masa towarów wytworzonych podlega prawu wartości, ale każdy towar oddzielnie wzięty wymienia się nie według ilości pracy społecznie niezbędnéj, lecz według kosztów wytwarzania, t. j. niektóre towary powyżéj, niektóre poniżéj wartości. Tak np. kapitał *C* — z powyższego przykładu — który ma większą część zmienną i wytwarza więcéj nadwartości, sprzedaje swe towary o 10 jednostek poniżéj ich wartości społecznéj, kapitał *A*, który jest w położeniu odwrotném, sprzedaje towary o 10 jednostek ponad ich wartość, i tylko kapitał *B*, który trafem wytwarza nadwartość równą dochodowi, może sprzedawać je według wartości.

Wogóle ceny wytwarzania w rzadkich tylko wypadkach są identyczne z wartością towarów, gdyż średnia stopa dochodu wyprowadzona zostaje ze sfer wytwórczych, mających kapitały o budowie organicznéj nader rozmaitéj i wytwarzających sumy nadwartości nierówne. Jakkolwiek formacya stopy ogólnéj dochodu odbywa się niezależnie i bez wiedzy kapitalisty, jest mu ona znana w każdym okresie. Znając tę stopę, kapitalista dodaje do niéj ilość kapitału stałego i zmiennego, którą zużył w wytwarzaniu, i w ten sposób otrzymuje cenę wytwarzania, czyli sprzedaży, nie troszcząc się bynajmniéj o to, czy wyprodukował większą lub mniejszą sumę nadwartości — témbardziéj, iż sam nigdy tego nie wié. Nie może więc upiérać się przy sprzedawaniu towarów według ich wartości.

„Wraz z przekształceniem wartości w cenę wytwarzania — powiada Marx — sama podstawa określania wartości (t. j. praca) przestaje być widoczną.” Ale ona nie przestaje — zdaniem autora — istnieć, a mianowicie konkurencya kapitałów prowadzi ku temu, by ceny wytwarzania zbliżały się jaknajbardziéj do wartości. Odbywa się to w sposób następujący: Przedsiębiorca jest często w stanie sprzedawać swe towary powyżéj ich wartości — tabliczka powyższa pokazuje, iż dzieje się to wówczas, gdy kapitał (*A*) zawiéra więcéj części stałych a mniéj zmiennych. I odwrotnie w przeciwnym wypadku (kap. *C*) Ale w pierwszym razie otrzymuje konkurentów, kapitały napływają do téj gałęzi przemysłu i ceny sprzedaży dążą do spadku aż do wartości,

w razie przeciwnym kapitalista musi sam przez się przestać wytwarzać, chyba że potrafi pokryć straty szybkością obrotu swego kapitału, lub innemi czynnikami, o których mówiliśmy.

To właśnie konkurencya kapitałów sprawia, iż rozmaite warunki (jak natężenie pracy, jéj długość, okresy obiegu i t. p.) kompensują się wzajemnie i że wszystkie kapitały zastosowują się do warunku naprzód danego powszechnéj, średniéj stopy dochodu.

W taki to sposób prawo wartości dąży do urzeczywistnienia się, i ceny sprzedaży zbliżają się do wartości.

Ogólnie jednak są one różne: każdy towar sprzedaje się poniżéj lub powyżéj swéj wartości. To tylko w społeczeństwach pierwotnych, gdzie wymianę produktów prowadziły nie jednostki, lecz gminy całe, podstawą i miarą wymiany był czas społecznie niezbędny — powiada Marx. Prawo to ma także siłę dla czasów niewolnictwa, kolonatu, lub organizacyi korporacyjnéj rzemiosł; gdyż we wszystkich tych sferach środki wytwarzania mogły tylko z trudnością być przenoszone z jednéj gałęzi przemysłu do drugiéj, a różne sfery produkcyjne znajdowały się względem siebie w stosunkach podobnych do stosunków gmin pierwotnych. Z drugiéj strony, we wszystkich tych wypadkach wysiłek bezpośredni, niezbędny dla wytworzenia przedmiotu we wszystkich tych wypadkach, znany był producentom, gdyż narzędzia pracy, nader proste, nie grały jeszcze znacznéj roli w formacyi wartości, w porównaniu z żywą pracą. Natomiast, gdy narzędzia te (kapitał stały) zdobyły rolę przeważającą, gdy kapitał i praca z łatwością przenoszą się z jednéj sfery do drugiéj — jak to się dzieje w kapitalizmie, wymiana odbywa się nie na zasadzie czasu społecznie niezbędnego, lecz na zasadzie kosztów wytwarzania.

Z drugiéj jednak strony, nie chcąc zadawać kłamu teoryi wyłożonéj w pierwszym tomie „Kapitału", Marx stara się, jak widzieliśmy, pokazać, iż cały system kompensacyi dąży pod wpływem wolnego współzawodnictwa do tego, by i w naszych czasach koszta wytwarzania były równe wartości.

Otóż zachodzi pytanie, czy te niezbędne kompensacye mogą zawsze się wykonywać? Jeżeli np. jeden kapitał zawiéra część stałą dwa razy większą niż drugi, czy jest zawsze rzeczą możliwą, by obiegał dwa razy szybciéj, lub by stał się dwa razy wydajniejszy, wprowadzając nową maszynę, — a tylko przy tych warunkach stopa dochodu w obudwu mogłaby być jednakową. A jeżeli warunki ekonomiczne nie pozwalają téj szybkości obiegu, lub jeżeli maszyna ta jeszcze nie istnieje, w takim razie równość wartości i kosztów wytwarzania nie urzeczywistni się. Dlatego téż Marx nie nastaje na to, by ona miała miejsce dla każ-

dego towaru zosobna, lecz wystarcza mu, jeżeli się uskutecznia dla wszystkich towarów wziętych *en masse*. Odpowiedź jednak ta nie może być uważana za wystarczającą, gdyż wartość jest tylko stosunkiem wymiennym dwu towarów, i dlatego „wartość ogólna wszystkich towarów" jest, naukowo mówiąc, wyrażeniem nader hazardownem.

Wogóle na tym punkcie istnieje niezgodność między I a III-im tomem kapitału, i Marx tak samo nie jest w stanie sprawdzić należycie równości między kosztami wytwarzania towaru a pracą, jak nie był w stanie uczynić tego Ricardo. Bo też zadanie to wydaje się być stanowczo niewykonalném i to nas przekonywa, iż nie sposób sprowadzić wartości jedynie do pracy, jak to obydwaj ci autorowie czynili. Wprawdzie Marx zakréśla „pracy" podstawy daleko obszerniejsze, niż Ricardo, ale i one są jeszcze nazbyt wąskie.

Istotnie, nie sposób sprowadzić wszystkich rodzajów pracy do wspólnego mianownika, którym byłaby praca ogólno ludzka: są w pracy różnice i odcienie indywidualne tak głębokie — we wszystkiém co się tyczy talentu, geniuszu, — iż sprowadzenie to do jedności jest prostą chimerą. Z drugiéj strony nie wolno czynić abstrakcyi względem różnic w ilości i jakości materyi, które są nader rozmaite i niewątpliwie wpływają na wartość. I w końcu nie sposób przenieść ustanowienia wartości do fabryki, czyniąc ją równą tylko pracy, gdy ona w istocie ustanawia się na rynku i zależy od mnóstwa innych okoliczności, między innemi od handlu, które Marx zmuszony był zupełnie pominąć. Wychodząc z wąskiego założenia, iż wartość zależy tylko od pracy przemysłowéj, Marx fatalnie zmuszony był uważać wszystko, co się dzieje po za fabryką, a mianowicie cały obieg za nieprodukcyjny. Otóż pogląd ten jest tylko przeżytkiem starego przesądu fizyokratów o pracy bezpłodnéj. I jeżeli w dzieciństwie kapitalizmu pogląd ten mógł jeszcze do pewnego stopnia być usprawiedliwiony, trudno przypuścić, by on nim był jeszcze obecnie: trudno przypuścić, by rozwój społeczny wytworzył organ pierwszorzędnéj doniosłości, organ obiegu, zajmujący miliony osób, którego praca byłaby nieprodukcyjna. Cóżbyśmy np. powiedzieli o fizyologu, któryby twierdził, iż w organizmie ludzkim tylko praca mięśni i nerwów jest produkcyjna, natomiast praca serca i systemu krwionośnego nią nie jest? Wyrzuciwszy za nawias cały obieg i inne okoliczności, powyżéj wspomniane, nic dziwnego, iż Marx, zwęziwszy w ten sposób pojęcie wartości, nie jest w stanie udowodnić następnie, iż jest równa kosztom wytwarzania, a przynajmniéj musi ją „ciągnąć za włosy", by to udowodnić.

Należy więc wyrzec się raz na zawsze idei, iż wartość zależy tylko od pracy, jakkolwiek w ten sposób ekonomia polityczna byłaby nad-

zwyczaj uproszczona: wartość zależy nietylko od warunków fabrycznych, ale także od wszelkich innych, przyrodzonych i rynkowych. Całość tych warunków znajduje swój wyraz w cenie. Wartość jest zjawiskiem nadzwyczaj skomplikowaném, jest wyrazem wszystkich czynników systemu ekonomicznego i nie sposób redukować jéj do jednego tylko czynnika, do pracy.

Jeżeli jednak na tym punkcie trzeci tom „Kapitału" rozprasza złudzenia, które dawniéj pod tym względem miéć było można, to dzieło Marxa zachowuje jednak pomimo to wielkie znaczenie naukowe: on pierwszy zanalizował w sposób znakomity wszystkie antagonizmy wewnętrzne produkcyi spółczesnéj, antagonizmy wywołane przez charakter monopoliczny kapitału. Autor rozbiera ten przedmiot w trzecim oddziale, do którego obecnie przechodzimy. Rozpoczniemy od wykładu obeiktywnego sprawy, do którego następnie dodamy kilka uwag.

III.

Prawo spadku stopy dochodowéj.

Rozwój produkcyi kapitalistycznéj prowadzi do wzrostu ciągłego części stałéj (maszyny i t. d.) i do zmniejszania stosunkowego części zmiennéj—jednocześnie suma ogólna kapitału zwiększa się. Ten ruch musi wyrażać się w spadku bezustannym stopy dochodu, nawet jeżeli stopień wyzysku pracy się nie zmniejsza. Przypuśćmy np. iż z biegiem czasu nadwartość i kapitał zmienny pozostają nieruchome i równe między sobą i że tylko kapitał wzrasta:

1) kap. st. = 50 k. zm. = 100 stopa dochodu $= \frac{100}{150} = 66^2/_3\%$

2) „ = 100 „ = 100 „ $= \frac{100}{200} = 50\%$

3) „ = 200 „ = 100 „ $= \frac{100}{300} = 33^1/_3\%$

4) „ = 300 „ = 100 „ $= \frac{100}{400} = 25\%$

5) „ = 400 „ = 100 „ $= \frac{100}{500} = 20\%$

W ten właśnie sposób zmienia się budowa organiczna kapitału z biegiem czasu. W rzeczywistości kapitał zmienny także wzrasta, ale w sposób daleko powolniejszy, niż stały: gdy drugi np. o 100%, pierwszy tylko o 10%. Dlatego właśnie rezultat powyżéj wskazany spadku stopy dochodowéj pozostaje prawie niezmienny. Zauważmy,

iż Marx nazywa kapitały, zawierające więcéj czynników stałych niż zmiennych, kapitałami o budowie organicznéj wyższéj od średniéj, w któréj te części są równe sobie. W odwrotnym wypadku mamy budowę organiczną niższą. Nazwy te zawarunkowane są przez to, iż wzrost kapitału stałego wskazuje większą wydajność pracy.

„W wyżéj przytoczonym przykładzie hypotetycznym — powiada Marx—wyraża się rzeczywista dążność produkcyi kapitalistycznéj. Ta ostatnia prowadzi do budowy coraz wyższéj kapitału ogólnego (do zwiększenia stosunkowego części stałéj). Bezpośrednim skutkiem tego jest to, iż suma nadwartości, przy stopniu wyzysku niezmiennym a nawet wzrastającym, wyraża się w stopie średniéj dochodu coraz spadającéj". Nie należy więc, jak to czynią ekonomiści liberalni, sądzić, iż spadek stopy procentowéj odbywa się na korzyść robotnika. Ekonomia liberalna nie była w stanie objaśnić spadku stopy dochodowéj i tylko używała go, jako broni, bądź dla apologii kapitału wobec pracy, bądź téż dla napaści na posiadaczów ziemskich, gdyż renta ma tendencyę, wprost odwrotną, wzrastania wraz z postępem społecznym. Wraz ze zmniejszeniem się stosunkowém kapitału zmiennego, zmniejsza się téż i suma nadwartości, która, jak to widzieliśmy, pochodzi zawsze, według Marxa, tylko od części zmiennéj. Stąd wniosek, iż kapitał ogólny musi wciąż wzrastać, by kapitalista mógł otrzymywać wciąż tęż samą sumę nadwartości. „Jeżeli część zmienna kapitału stanowi tylko ($^1/_6$) kapitału ogólnego, a poprzednio stanowiła połowę, to kapitał ogólny musi się potroić, by zajmować poprzednią ilość robotników, a musi się stać sześć razy większym, by dać zajęcie podwójnéj liczbie robotników".

Otóż kapitał nie może wzrastać tak szybko, a przynajmniéj nie wzrasta o tyle, by mógł przy powyższych warunkach zajmować cały przyrost ludności. Dlatego wzrost bezustanny wydajności pracy musi fatalnie prowadzić do wytworzenia ludności zbytecznéj, nie zajętéj.

Wniosek powyższy jest bardzo ważny dla krytyki teoryi Malthusa, która porównywa dwie rzeczy: wzrost ludności i bogactwa, czyli kapitału ogólnego. Otóż ten ostatni nie jest w całéj swéj sumie dostępny dla ludności, lecz tylko jego część zmienna. Należy więc porównywać ruch téj ostatniéj z ruchem ludności. Skoro przeto kapitał zmienny ma dążność do zmniejszenia się stosunkowego, w miarę rozwoju społeczeństw, ludność w danéj chwili zajęta, gdyby nawet nie wzrastała, musi wytwarzać z biegiem czasu część niezajętą, zbyteczną. Ale ten nadmiar ludności jest tylko względny, gdyż bogactwo ogólne kraju wzrasta bez ustanku i byłoby zupełnie wystarczające dla zajęcia wszystkich. To właśnie się dzieje obecnie we Francyi. W rzeczywistości

nauka nie zna jeszcze prawa absolutnego, które rządzi wzrostem ludności i bogactw. Dwie te kategorye są zawsze zawarte w pewnych formach społecznych, które kierują ich stosunkiem. Z tego powodu każda wielka epoka historyczna posiada swe odrębne prawo ludnościowe. Prawo to wyraża się w naszych czasach względnym nadmiarem ludności, ale innėm zupełnie było ono w starożytności lub wiekach średnich.

Marx zastosowuje prawo spadku stopy dochodowėj do objaśnienia innych jeszcze zjawisk. „Gdy wydajność pracy wzrasta — powiada — spada cena każdego oddzielnego towaru, ten bowiem zawiera coraz mniėj pracy opłacanėj i nieopłacanėj. Jeżeli np. taż sama ilość pracy wytwarza liczbę potrójną produktów, każdy produkt zawiera tylko $1/3$ pracy poprzedniėj. A ponieważ dochód kapitalisty stanowi tylko część pracy zawartėj w towarze, ilość dochodu otrzymywanego z każdego towaru musi spadać". Kapitalista może sobie wyobrażać, iż zmniejszając cenę wytworu, zmniejsza z własnėj woli część odpowiednią swego dochodu i że jest wynagradzany zwiększeniem masy sprzedawanych towarów. W rzeczywistości jednak on tylko kroczy za spadkiem ceny wywołanym przez wzrost wydajności pracy. Sądzi, iż sam prowadzi sprawę, a to ona go prowadzi. Wydaje mu się, iż sprzedaje więcėj dlatego, że zmniejszył cenę, w istocie zaś musi sprzedawać więcėj, jeżeli chce otrzymywać poprzednią sumę dochodu. Gdyby wartość towarów nie była spadła dzięki wzrostowi wydajności pracy, kapitalista aniby myślał zniżać ceny. Są to wszystko złudzenia, wywołane nieznajomością praw wewnętrznych gospodarki narodowėj. Złudzenia te podziela i Roscher, który twierdzi, iż spadek stopy dochodowėj „jest bardziėj rozumny i ludzki." „Wszystko to, powiada Marx, opiera się na zupełnėm niepojmowaniu średniėj stopy powszechnėj dochodu i na idei powierzchownėj, iż ceny są określane dodaniem mniėj więcėj dowolnėm byle jakiego dochodu do wartości realnėj towaru".

Marx przechodzi następnie do zbadania sprzeczności wewnętrznych, wywołanych w gospodarce przez prawo spadku stopy dochodowėj. Nadwartość stanowi cel bezpośredni produkcyi kapitalistycznėj, nie wystarcza jednak wytworzyć towary zawierające nadwartość. Należy jeszcze sprzedać je. Jeżeli sprzedaż niema miejsca, albo tėż jeżeli się odbywa po cenach niższych od wartości, nadwartość, stanowiąca część tėj ostatniėj, została wytworzoną (w fabryce!), ale nie zrealizowaną (na rynku!). Warunki eksploatacyi i realizacyi nie są identyczne i owszem są w sprzeczności wewnętrznėj pomiędzy sobą. Pierwsza wzrasta równocześnie z wytwórczością kapitału, druga natomiast zależy od spożycia, a raczėj od środków nabywczych ludności, które są

prawie nieruchome, a w każdym razie nie wzrastają tak szybko, jak wytwórczość pracy.

Ponieważ celem wytwarzania współczesnego jest nie zaspokojenie potrzeb ludności, lecz zdobycie pewnego dochodu, więc peryodycznie musi zjawiać się dysharmonia pomiędzy wytwarzaniem a spożyciem, w postaci przesileń. Dlatego też może mieć miejsce tak dziwaczne napozór zjawisko, iż w tym samym kraju znajdujemy nadmiar kapitału obok nadmiaru ludności. Jeżeli pewna ilość robotników nie znajduje zajęcia, to nie dla braku kapitału, lecz i owszem dlatego, iż kapitał istnieje w sumie nadmiernéj i dlatego nie mógłby otrzymać średniéj stopy dochodu, gdyby dał zajęcie tym robotnikom. A jeżeli kapitał wysłany zostaje za granicę, to nie dlatego, iż nie mógłby być użyty wewnątrz kraju, lecz dlatego, iż tu na miejscu nie otrzymywałby średniéj stopy dochodu.

To ta średnia stopa dochodu, a bynajmniéj nie potrzeby ludzi, decyduje o rozszerzeniu lub zwężeniu produkcyi. Wytwarzanie ustaje nie wówczas, gdy potrzeby ludności są zaspokojone, lecz wówczas, gdy stopa średnia dochodu tego wymaga. „Stopa ta—powiada Marx—jest głównym motorem produkcyi kapitalistycznéj — wytwarza się tylko to, co ona pozwala wytwarzać. I dlatego właśnie ekonomiści angielscy czują taki strach wobec jéj spadku. Jedynie możliwość tego spadku mocno niepokoiła Ricardo i to właśnie dowodzi, jak głębokiém było jego pojmowanie warunków produkcyi spółczesnéj. To co zwykle zarzucają Ricardo—iż zajmuje się nie „ludźmi", lecz rozwojem sił wytwórczych, jakiekolwiek są ich ofiary — to jest właśnie rzeczą najważniejszą w jego dziełach. Rozwój sił wytwórczych pracy społecznéj jest zadaniem historyczném i usprawiedliwieniem kapitalizmu, gdyż w ten właśnie sposób wytworzone zostają warunki materyalne dla wyższéj formy społecznéj. Otóż Ricardo słusznie się obawiał, iż stopa średnia zysku, ten główny bodziec produkcyi jest zagrożony, a z nim razem i rozwój sił wytwórczych". Cała ta analiza sprzeczności wewnętrznych kapitalizmu jest słuszną w gruncie, jakkolwiek teorya nadwartości Marxa wraz z teoryą wartości jest nadzwyczaj chwiejną. Nadwartość, jak wiadomo, pochodzi, według Marxa, z różnicy pomiędzy wartością użytkową siły roboczéj a jéj wartością zamienną. Kapitalista opłaca wrzekomo tylko tę ostatnią, za pierwszą zaś nic nie płaci, tymczasem ona w danym wypadku jest źródłem pracy: ta wartość użytkowa odrzuca nadwartość. Sądzimy, iż daleko naturalniejsze wyjaśnienie nadwartości znaleźć można w charakterze monopolicznym kapitału, który nie znajduje się w równych warunkach z pracą na rynku: pierwszy może czekać, druga nie; pierwszy może być umieszczony

w papierach państowych, druga — nie i t. d. Wszystkie te nierówności nadają pierwszemu charakter monopolu, który odrzuca pewną nadwartość. Ta ostatnia może więc być uzasadnioną niezależnie od teoryi wartości Marxa. Ale w takim razie dochód kapitalisty zależeć będzie nietylko od tego monopolu, ale i od masy innych warunków; należy jednak przyznać, iż monopol ten jest główném jego źródłem. Oczywista rzecz, że skoro różne kapitały używają różnych ilości pracy, różnica, którą Marx wprowadza pomiędzy kapitałem zmiennym a stałym, ma wielkie znaczenie. Zmiany w budowie organicznéj kapitału stanowią jedną z głównych przyczyn spadku stopy średniéj dochodu, dzięki wzrostowi części stałéj w porównaniu ze zmienną. Ponieważ kapitał ma charakter własności monopolicznéj, można też śmiało rozpatrywać klasę kapitalistów, jako towarzystwo akcyjne, które dzieli całą sumę wspólnego dochodu między uczestników, proporcyonalnie do ich doniosłości.

W ten sposób ustanawia się średnia stopa dochodu, i należy przyznać, iż Marx znakomicie analizuje jéj rolę i wpływ jéj spadku w gospodarce społecznéj. Nikt jeszcze nie dał poglądu tak głębokiego na jéj tajemnice i sprzeczności wewnętrzne, na kryzysy, na wytwarzanie ludności zbytecznéj, która może istniéć obok kapitału zbytecznego i t. d. Wszystko to może być przyjęte niezależnie od téj przepaści, którą Marx ustanawia między wartością zamienną a użytkową—ta ostatnia w rzeczy samej wpływa na tamtą; a także niezależnie od téj różnicy, którą on upatruje pomiędzy kapitałem stałym a zmiennym: obadwa dają dochód, tylko różnego charakteru i różnych rozmiarów.

IV.

Kapitał handlowy.

W IV oddziale Marx mówi o kapitale handlowym, który występuje w dwojakiéj postaci: towarów i pieniędzy. Dotychczas mówiliśmy tylko o kapitale przemysłowym w obudwu tych formach. W początkach kapitalizmu kapitał handlowy i przemysłowy stanowiły jedną całość, ale w społeczeństwach dobrze rozwiniętych oddzielają się jeden od drugiego, a jednak ich związek wewnętrzny pozostaje nienaruszony. „Kapitał handlowy w towarach—powiada autor — nie jest niczém inném, jak kapitałem przemysłowym w towarach, który ma przebyć fazę przekształcenia w pieniądze... Tylko że funkcya ta, zamiast być zajęciem dodatkowém przemysłowców, staje się zajęciem specyalném odrę-

bnego rodzaju kapitalistów, kupców, ona się różniczkuje, jako przedsięwzięcie niezależne, z osobnym nakładem kapitału."

Gdyby kupno i sprzedaż, zamiast być sprawą kupca niezależnego, były zajęciem subiekta u kapitalisty przemysłowego, związek rzeczywisty, istniejący między kapitałem handlowym i przemysłowym, byłby oczywisty. W istocie nie są to zdaniem Marxa dwa kapitały różne, lecz ten sam kapitał, znajdujący się w dwóch odrębnych fazach swego istnienia. „Kapitał handlowy jest tylko kapitałem wogóle, znajdującym się w sferze obiegu. Ale w procesie obiegu żadna wartość nie zostaje wytworzoną, ani téż żadna nadwartość. Jest tylko zmiana formy téj saméj masy wartości. Jeżeli nadwartość realizuje się w sprzedaży, to dlatego, iż ona już znajdowała się w towarach (gdyż nadwartość ta już poprzednio w fabryce wytworzona została). Kapitał handlowy nie tworzy więc ani wartości ani nadwartości, ale tylko pomaga do ich realizacyi.

A jednak kapitał handlowy daje średnią stopę dochodu narówni z kapitałem przemysłowym, bo gdyby ten ostatni dawał większy dochód, część kapitału handlowego natychmiast przeniosłaby się do przemysłu i odwotnie w wypadku odwrotnym. Ale ponieważ kapitał handlowy nie tworzy — według Marxa — ani wartości ani nadwartości, to oczywista, iż ta część nadwartości, z któréj on sam korzysta, jest tylko częścią ogólnéj nadwartości, wytworzonéj przez kapitał przemysłowy.

Dla objaśnienia téj kwestyi, Marx bierze przykład następujący: niechaj będzie kapitał przemysłowy złożony z 900 jednostek, z których 720 kapitału stałego i 80 kapitału zmiennego; niechaj stopa nadwartości = 100%. W takim razie masa nadwartości wytworzonéj = 180 jednostkom, a stopa dochodu $= \frac{180}{900} = 20\%$. Ale jeżeli obok tego istnieje jeszcze kapitał handlowy, równy 100 jednostkom, to i on brać będzie udział w téj masie nadwartości, i stopa dochodu równa będzie w takim razie $= \frac{180}{1000} = 18\%$, kapitał przemysłowy, składający się podawnemu z 900 jednostek, otrzyma tylko 162 jednostki nadwartości, pozostałe zaś 18 oddane będą kapitałowi handlowemu. Cena sprzedaży towarów równa jest częściom kapitału stałego i zmiennego, które są w nich zawarte *plus* dochód przemysłowy *plus* dochód handlowy. Dla towarów wytworzonych z kapitałem z powyższego przykładu cena ta równa się $= 900 + 162 + 18 = 1{,}080$. Ale kupiec płaci fabrykantowi tylko część téj sumy, a mianowicie $900 + 162 = 1{,}062$, inaczéj mówiąc, kupuje towary od fabrykanta poniżéj ich wartości społecznéj i realizuje ją sam dopiero w sprzedaży.

Dochód przemysłowy i dochód handlowy stanowią tylko części nadwartości wytworzonéj przez robotnika w fabryce.

Z powyższego wypada, iż dochód przemysłowy jest tém mniejszy, im kapitał handlowy jest większy w stosunku do kapitału przemysłowego i odwrotnie. Gdyby np. w powyższym przykładzie kapitał handlowy równym był nie 100 jednostkom, lecz 180, mielibyśmy przy téj saméj sumie nadwartości (180 jedn.), wziętéj w stosunku do kapitału całkowitego (900 przem. + 180 handl.) = 1,080, stopę średnią dochodu równą nie 18%, lecz tylko $16^2/_3$%.

„W jaki sposób należy rozpatrywać—zapytuje Marx—robotników zajętych w handlu?”. Odpowiedź brzmi, jak następuje: „Pomiędzy tymi pracownikami a robotnikami zajętymi przez kapitał przemysłowy istnieje taż sama różnica, jaką widzieliśmy między kapitałem handlowym, a przemysłowym. Ponieważ kupiec, jako zwykły agent obiegu, nie wytwarza ani wartości, ani nadwartości, subiekci handlowi nie mogą także wytwarzać dlań bezpośrednio nadwartości.” Inaczéj mówiąc, pracownicy handlowi nie tworzą nowéj wartości, pomagają tylko do realizacyi téj, która pomimo nich była już zawarta w towarach. A zatém z punktu widzenia społeczeństwa—powiada Marx—praca ich jest nieprodukcyjna, ale z punktu widzenia kupca jest ona produkcyjna, albowiem jest źródłem dochodu.

Taki jest pogląd Marxa na handel i na kapitał handlowy; mówiliśmy już, iż pogląd ten wydaje nam się być całkiem paradoksalny: niema żadnego powodu uważać dochód handlowy za część tylko przemysłowego; jest to dochód niezależny i tyleż uprawniony, co i tamten, obadwa opierają się po części na wyzysku, po części na konjunkturach, po części na oszczędności i t. d. Bądźcobądź Marx nie daje żadnego poważnego dowodu swego rozumowania: fakt przytaczany przezeń, iż drobny producent nie przypisuje sobie dochodu podwójnego, przemysłowego i handlowego, nie jest dowodem. Podział pracy społecznéj nie jest błahostką, którą możnaby obalić taką fantazyą, i z tego, że drobny producent, to zjawisko przestarzałe i ginące w konkurencyi, kontentuje się lada jakim dochodem, nie można czynić podstawy teoryi, mającéj być zastosowaną do społeczeństwa olbrzymio zróżniczkowanego.

W gruncie rzeczy Marx popchniętym został fatalnie do wyprowadzenia wszystkich tych hazardownych wniosków z swéj teoryi wartości: ponieważ wartość wytwarza się tylko w fabryce, wszystko co się poza nią obywa, np. cała praca i wydatki zużyte w obiegu, są nieprodukcyjne. Zresztą Marx przyznaje — w II tomie swego dzieła, że niektóre wydatki na cyrkulacyę mogą być produkcyjne, a mianowicie te, które są jakby dalszym ciągiem samego wytwarzania, np. zapasy robione

widokach produkcyi późniejszéj, transport towarów z miejsca wytwarzania na miejsca spożycia.

Otóż produkt musi często szukać spożywcy bardzo daleko i czekać nań bardzo długo, a według Marxa byłoby produkcyjném co najdaléj dostarczanie bezpośrednie towaru spożywcy. Otóż gdyby istniało jakieś biuro statystyczne, któreby naprzód określało, w jaki sposób towary powinny być podzielone pomiędzy spożywców, i gdyby według tego planu można było dać każdemu według jego potrzeb, moglibyśmy z łatwością naprzód określić, jaka część obiegu jest produkcyjna, a jaka nie. Niestety, nic podobnego nie istnieje, i cały obieg jest tylko pośrednim sposobem rozwiązania powyższego zadania, drogą prób i powolnych przystosowań.

Jest to więc funkcya produkcyjna, wykonywana przez organ społeczny, specyalnie w tym celu zróżniczkowany, który odpowiada systemowi krwionośnemu w organizmach. Z drugiéj strony nie ulega wątpliwości, że niektóre objawy obiegu, a głównie spekulacyi, są nietylko nieprodukcyjne, ale szkodliwe, t. j. powinno istnieć pewne przystosowanie pomiędzy wytwarzaniem a obiegiem, a wszystko co przechodzi tę proporcyę należytą jest zbyteczne; ale to jest zupełnie inna sprawa.

Oddział IV zawiera jeszcze trochę danych historycznych o kapitale handlowym, które są wartości nieocenionéj. Kapitał handlowy zjawia się w historyi daleko wcześniéj, niż przemysłowy i niż produkcya kapitalistyczna. Istotnie, pojawienie się téj ostatniéj wymaga pewnéj koncentracyi zapasów pieniężnych, handlu hurtowego i t. d. Jedynym warunkiem istnienia kapitału handlowego jest obieg pieniężny — dlatego téż istniał on już w odległéj starożytności—tymczasem kapitał przemysłowy wymaga zupełnie innych warunków, które wystąpiły daleko późniéj.

Im mniéj rozwinięta jest produkcya, témbardziéj bogactwa pieniężne skupiają się w ręku kupców, gdyż oni załatwiają wszystkie akty kupna i sprzedaży. Ale w miarę tego, jak produkcya kapitalistyczna się rozwija, kapitał handlowy traci swe położenie przeważające i staje się coraz bardziéj zależny od kapitału przemysłowego.

Historya pokazuje, iż tam gdzie kapitał handlowy gra rolę przeważającą, wszystkie stosunki społeczne są przestarzałe i spóźnione w rozwoju. To kapitał przemysłowy dokonywa w nich przewrotu i pcha po drodze postępu. Dzieje się to często w tym samym kraju, gdzie miasta handlowe przedstawiają dotychczas analogię daleko większą z dawnemi porządkami, niż miasta przemysłowe.

Tak samo widzimy, iż w historyi Anglii nowożytnéj stan kupiecki i miasta handlowe grały rolę reakcyjną w polityce i wstępowały w zwią-

zek z arystokracyą ziemską przeciw kapitałowi przemysłowemu. W tym samym porządku myśli Marx zarzuca Mommsenowi, iż nie rozumie roli kapitału przemysłowego, który miesza z handlowym, jedynym jaki istniał w Rzymie starożytnym. Ze wszystkiego tego można wyprowadzić wniosek, iż rozwój niezależny kapitału handlowego znajduje się w stosunku odwrotnym do ogólnego rozwoju ekonomicznego społeczeństw. Widać to z historyi handlu Wenecyi, Genui, Holandyi, które ciągnęły olbrzymie zyski z pośrednictwa w wymianie produktów pomiędzy ludami ekonomicznie nierozwiniętemi i przez wyzyskiwanie krajów produkujących. Lecz w miarę tego, jak rozwój ekonomiczny tych krajów posuwa się naprzód, rola tego handlu pośredniczącego się zmniejsza. W powyższym wypadku kapitał handlowy występował w swéj formie czystéj i niezależnéj, nie mając nic wspólnego z samą produkcyą; z czasem wszakże, z rozwojem produkcyi kapitalistycznéj, staje się on zupełnie zależny od kapitału przemysłowego.

„Ludy handlowe starożytności — powiada Marx — istniały, jak bogi Epikura w przestrzeniach wolnych międzyświatowych, albo raczéj jak Żydzi w porach społeczeństwa polskiego. Handel pierwszych ludów i miast handlowych, niezależnych, który się szeroko rozwinął, opierał się, jako zwykły handel pośredniczący, na barbarzyństwie ludów produkujących, między którymi występował." Handel wywiera swój wpływ naturalny na te ludy, poddaje coraz bardziéj produkcyę panowaniu wartości wymiennéj, czyniąc środki utrzymania zależnemi raczéj od sprzedaży, niż od spożycia bezpośredniego. W ten sposób wywołuje on rozkład dawnych stosunków, zwiększa obieg pieniężny i z biegiem czasu obejmuje nietylko nadmiary produkcyi nad spożyciem, lecz całą wogóle produkcyę.

O ile kapitał handlowy występuje w wymianie produktów pomiędzy gminami mało rozwiniętemi, dochód jego przybiera formę kradzieży i rozboju i rzeczywiście w znacznym stopniu pochodzi z tych źródeł. „Wszędzie — powiada Marx — gdzie kapitał handlowy ma przewagę, jest on związany z całym systemem chytrości i oszustw, a jego rozwój u ludów kupieckich starożytności i czasów nowożytnych występował w parze z rozbojem, gwałtem, kradzieżą niewolników, podbojem kolonii; tak było w Kartaginie i Rzymie; późniéj w Wenecyi, Portugalii i Holandyi etc." Dochód handlowy pochodził także z całego systemu oszustw względem gmin pierwotnych, postadaczy niewolników, feodałów średniowiecznych i państw Wschodu, którym handel zabierał nadmiar produktów.

Nie będziemy się tu zastanawiać nad analizą pieniędzy i kredytu, którą podaje Marx w tém miejscu, a przejdziemy do następnego od-

działu, który zawiéra rozbiór podziału dochodu na jego części składowe. Rozpoczniemy od wykładu obiektywnego.

V.

Procent, zysk i renta.

W oddziale V Marx zajmuje się „kapitałem dającym procent" i podziałem dochodu na procent i na zysk przedsiębiorcy.

Pierwszą formą kapitału dającego procenta jest historycznie kapitał lichwiarski, występujący głównie w okresach wyprzedzających gospodarkę kapitalistyczną. Odpowiada on zwykle drobnéj produkcyi chłopskiéj i rzemieślniczéj. Dostarcza on tym drobnym wytwórcom środków niezbędnych dla opłaty podatków, z drugiéj zaś strony — wielkim posiadaczom ziemskim sum potrzebnych dla zbytku i rozrzutności. W ten sposób lichwa prowadzi do utworzenia i ześrodkowania wielkich kapitałów pieniężnych. Jako reakcya historyczna przeciw lichwie, tworzy się, z rozwojem kapitalizmu system kredytu prawidłowego, w którym kapitał przynoszący procenty zyskuje nowożytną, współczesną formę. Środki, któremi rozporządzają banki, składają się z części następujących: 1) z części kapitału przemysłowców i kupców, które chwilowo są niezajęte (fundusze rezerwowe) i 2) z części dochodów i oszczędności wszystkich mieszkańców, które przeznaczone są w sposób stały lub chwilowy do nagromadzenia.

W każdym razie system kredytowy w zupełności podporządkowany jest potrzebom wytwarzania, i jeżeli piéniądz daje procent, to tylko dlatego, iż przechodzi przez produkcyę i uczestniczy w wytwarzaniu nadwartości. Jest więc rzeczą naturalną, iż procent płacony za użycie kapitału jest mniejszy, niż dochód który on daje.

W jaki sposób ustanawia się stopa procentowa? Jéj granicą najwyższą jest oczywiście stopa dochodu ogólnego, ale téj granicy ona dosięga tylko wyjątkowo. Z drugiéj strony niema granicy minimalnéj: procent może spaść aż do jakiegokolwiekbądź stopnia, a jego wysokość realna określa się każdorazowo stosunkiem popytu i podaży kapitału. W téj to dziedzinie Marx przyznaje wolnéj konkurencyi rolę stanowczą.

Niema żadnéj stopy procentu naturalnéj, stałéj i określonéj, istnieje tylko stopa bieżąca *(Marktrate des Zinses)*, nader zmienna.

Sposób, w jaki dochód ogólny podzielony zostaje między osoby, które w nim uczestniczą, między kapitalistą posiadaczem, a kapitalistą

przedsiebiorcą jest sprawą zupełnie empiryczną — nie można jéj z góry określić. To tylko powiedzieć się daje, iż udział pierwszego zależy od popytu i podaży kapitału, reszta dochodu należy do drugiego. Zastanówmy się nad analizą szczegółową procentu i zysku przedsiębiorcy, którą Marx podaje.

Procent jest więc tylko częścią nadwartości, którą kapitalista przemysłowy, lub handlowy, płaci wypożyczającemu, jeżeli nie używa kapitału własnego, gdyż wtedy cały dochód doń należy. To tylko zróżniczkowanie kapitalistów na przemysłowców i posiadaczy zamienia jedną część dochodu na procent. Ono tworzy samą kategoryę procentu. Bez tego zróżniczkowania procent nie istniałby wcale, a cały dochód należałby do przedsiębiorcy-posiadacza. By dawać dochód i procent, kapitał musi bezustannie znajdować się w procesie produkcyi. Wyrzucony zeń kapitał nic nie daje. Ale ponieważ kapitał dający procent (lichwiarski) i procent w formie lichwy istniały historycznie długo przed nastaniem produkcyi kapitalistycznéj, więc powstała wśród ludu myśl, iż wogóle kapitał daje procent i że ta forma dochodu jest zupełnie niezależną i nie ma nic do czynienia z produkcyą i z wytwarzaniem nadwartości. To tylko w środku XVIII st. — ciągnie Marx daléj — Massie, a po nim Hume odkryli, iż procent stanowi część składową dochodu ogólnego. Dawniéj przeciwstawiano procent dochodowi, a kapitał dający procent przemysłowemu, jako formy zupełnie niezależne—co zresztą dotychczas ludzie czynią na każdym kroku. Każdy kapitalista rozpatruje procent, jako owoc swego kapitału, jako takiego, nie związując go z procesem wytwarzania, i ma z punktu widzenia praktycznego zupełną słuszność. Ale w zastosowaniu do całego kapitału wogóle — jak to niektórzy ekonomiści czynią—jest to, zdaniem Marxa, gruby błąd. „Przedstawiać sobie — powiada — cały kapitał wogóle w formie kapitału pieniężnego, jak gdyby nie było osób, które kupują i sprzedają środki wytwarzania, jest wprost idyotyzmem. Ale jest głupotą jeszcze większą: wyobrażać sobie, iż na gruncie produkcyi kapitalistycznéj kapitał mógłby dawać procent, nie funkcyonując jako kapitał wytwórczy, t. j. nie tworząc nadwartości, któréj procent jest tylko częścią. Gdyby wielka ilość kapitalistów chciała zamienić swe kapitały na pieniądze, mielibyśmy jako rezultat niesłychanie wielki spadek stopy procentowéj, wielu kapitalistów nie byłoby w stanie żyć z procentów i byliby zmuszeni zamienić odwrotnie swe pieniądze na kapitały przemysłowe".

Przejdźmy obecnie do zysku przedsiębiorcy. „Być przedstawicielem kapitału funkcyonującego nie jest synekurą, jak to się dzieje z przedstawicielem kapitału dającego procenty". I dlatego przedsię-

biorcy wydaje się, iż zysk jego nietylko nie zawiéra pracy nieopłaconéj, ale i owszém jest formą płacy roboczéj za kontrolę i kierownictwo pracy. W gruncie jednak rzeczy zysk jest częścią nadwartości, nie sposób jednak zaprzeczać, iż zawiera także i to, co możnaby nazwać „płacą dyrektora". Jest to wynagrodzenie specyalnéj pracy, która zjawia się wszędzie, gdzie produkcya staje się skombinowanym procesem społecznym.

Ale i praca ta ma charakter podwójny: 1) naprzód musi ona nadawać kierunek, zachowywać jedność wszystkich pracowników, jak to czyni np. dyrektor orkiestry. „Ta praca — przyznaje Marx — jest produkcyjną i musi być wykonaną". 2) z drugiéj jednak strony praca ta opiéra się jednocześnie na antagonizmie pomiędzy robotnikiem a posiadaczem środków wytwarzania. I rola kontrolującego pracę jest tém znaczniejsza, im większa jest ta sprzeczność: jest ona największą w systemie niewolnictwa. „Ale jest ona także niezbędna —powiada Marx — w systemie kapitalizmu, ponieważ proces wytwarzania jest równocześnie procesem spożycia siły roboczéj."

Ta funkcya kontrolująca bywała często wysuwana naprzód dla usprawiedliwienia niewolnictwa i wyzysku, który mu towarzyszył. Wyzysk ten przedstawiany bywał, jako płaca specyalna przynależna posiadaczowi za jego kontrolę i zarząd. „Niewolnik powinien wynagradzać swego pana za pracę i talenta, których używa, by nim rządzić i uczynić go pożytecznym dla siebie i dla społeczeństwa" — w ten sposób O'Connor bronił niegdyś niewolnictwa. Rozumowanie to może, zdaniem Marxa, być zastosowane do wszystkich ustrojów społecznych, opartych na stosunkach panowania i poddaństwa rzeczywistego, chociażby legalnie one zanikły.

Ta druga funkcya, mająca charakter historyczny i przejściowy, związana jest w sposób nierozerwalny z pierwszą, która jest zasadnicza, konieczna i istniejąca we wszystkich ustrojach społecznych. Zresztą praca zarządu i kontroli wykonywana już jest nie przez posiadacza, lecz przez najętego dyrektora. Kapitalista stał się zbyteczny w téj funkcyi. Zysk przedsiębiorczy nie jest identyczny z płacą za dyrekcyę — przewyższa ją znacznie. Po każdym kryzysie—powiada Marx— można znaléść fabrykantów, co za niewielkie wynagrodzenie stają się dyrektorami swych własnych fabryk, które przeszły do rąk innych posiadaczy.

Należy więc rozróżniać między płacą za dyrekcyę a zyskiem przedsiębiorczym. Różnica ta urzeczywistniona jest w fabrykach robotniczych kooperatywnych, a także w przedsiębiorstwach akcyjnych kapitalistycznych — tu jest ona stałą, w innych wypadkach występuje

na jaw tylko chwilami. Istotnie, przedsiębiorstwa akcyjne, rozwijające się dzięki kredytowi, mają dążność do oddzielenia funkcyi kontroli od posiadania. Dzięki rozwojowi kredytu, kapitał pieniężny zdobywa charakter społeczny, koncentruje się w bankach i jest wypożyczany przez nie, nie zaś przez posiadaczy bezpośrednich. Z drugiéj strony dyrektor tych przedsiębiorstw akcyjnych nie ma już kapitału, ani swego własnego, ani pożyczonego; wykonywa on wszystkie funkcye kapitalisty przemysłowego, który staje się sam przez się osobą zbyteczną w produkcyi. Z danych oficyalnych fabryk roboczych kooperatywnych wypada — według Marxa — iż po odciągnięciu płacy dyrektora, która, jak każda inna płaca, stanowi część kapitału zmiennego, dochód pozostały jest większy, niż dochód średni innych fabryk prywatnych. Różnica stanowi w tych ostatnich osobną rubrykę zysku przedsiębiorcy, która w fabrykach kooperatywnych nie istnieje.

Ten sam fakt stwierdzony został w wielu przedsiębiorstwach kapitalistycznych akcyjnych. Np. „*The L ndon and Westminster Bank*" płacił w r. 1863 dywidendę 30%, Związek Banków Londyńskich—15%, już po opłaceniu procentu z kapitałów pożyczonych i płacy za dyrekcyę. Ta dywidenda odpowiada więc zyskowi przedsiębiorcy.

Tu widzimy, iż nie należy mieszać płacy dyrektora z zyskiem przedsiębiorczym. Staje się to coraz bardziéj oczywistém w miarę tego, jak klasa dyrektorów staje się coraz liczniejszą, a ich płaca coraz mniejszą, w miarę tego jak się przedsiębiorstwa kooperatywne i akcyjne rozmnażają.

Marx czyni jeszcze uwagę, iż w towarzystwach akcyjnych obok dyrektora znajduje się także rada administracyjna, co jest tylko pretekstem wyzysku, gdyż rady te nic nie robią, a są grubo opłacane.

Szósty oddział III-go tomu zajmuje się rentą. Wartość każdego towaru ustanawia się — według Marxa — w warunkach średnich wytwarzania. Otóż różni przedsiębiorcy pracują w rzeczywistości w warunkach nader rozmaitych, mniéj lub więcéj wygodnych. Ale rozmaitość ta nie gra wielkiéj roli w przemyśle, gdzie najgorsze warunki mogą być zrównane wydatkiem odpowiednim kapitału, który zwiększa wydajność pracy. Inaczéj się dzieje w rolnictwie, gdzie to wyrównanie nie może się odbywać, co zdarza się zresztą często i w przemyśle. Jeżeli pewien przedsiębiorca korzysta w produkcyi z warunków wyjątkowych, których nie można dowolnie rozmnażać, np. ze spadku wody, który wprawia w ruch maszyny i zmniejsza wydatki na opał, stopa dochodu tego przedsiębiorcy wzrasta. Marx nazywa ten dochód dodatkowy nad-dochodem *(Surplus-Profit)*. Lecz jeżeli przedsiębiorca nie jest właścicielem spadku wody, jeżeli on należy do posiadacza ziemskiego, to ten

ostatni korzystać będzie z nad-dochodu, który stanowi rentę. Ona występuje we wszystkich warunkach wyjątkowych wytwarzania, których nie można dowoli rozmnażać zwiększeniem nakładu kapitału. Nie służy więc ona do wyrównania ogólnéj stopy dochodu. Renta obejmuje wszystko, co przewyższa tę średnią stopę. Marx odróżnia: 1) rentę, która pochodzi z różnic w płodności ziemi i w jéj położeniu i 2) rentę, która pochodzi od nakładów następujących po sobie na tym samym kawałku ziemi i które nie dają dochodów proporcyonalnych nakładom: wiadomo, iż ziemia się wyczerpuje i każdy następny nakład daje dochód mniejszy od poprzedniego. Ziemie niewyczerpane dają więc rentę w porównaniu z wyczerpanemi wyższą.

Te rodzaje renty Marx nazywa *rentą dyferencyalną*, gdyż pochodzi ona z różnic bądź w płodności, bądź w położeniu ziemi. Pochodzenie téj renty nie zależy od porządku, w jakim ziemie różnéj płodności są uprawiane. Marx pokazuje także, iż renta może istniéć nawet na ziemiach najgorszego gatunku, a mianowicie: gdy popyt chleba wzrasta i przedsiębiorcy zmuszeni są robić nowe nakłady na ziemiach uprawnych; ten wzrost kosztów wytwarzania może być tak wielkim, iż najgorsze ziemie uprawne mogą być stosunkowo dochodniejsze i dawać rentę.

Ale oprócz renty dyferencyalnéj Marx odróżnia inny jeszcze gatunek, który nazywa *rentą absolutną*. A mianowicie: jakakolwiek jest płodność ziemi, nawet gdy ona daje tylko średnią stopę dochodu, właściciel ziemski nie ustępuje jéj, nie otrzymawszy opłaty, czynszu. Skądże może on pochodzić?

By rozwiązać to pytanie, Marx rozpatruje budowę organiczną kapitału w rolnictwie: otóż ona jest niższą niż budowa kapitałów przemysłowych, gdyż część zmienna gra tu rolę przeważającą. Kapitał rolniczy wytwarza więc sumę nadwartości większą stosunkowo, niż kapitał przemysłowy. Widzieliśmy poprzednio, iż dzięki charakterowi społecznemu produkcyi, w któréj wszyscy kapitaliści grają rolę akcyonaryuszów tegoż samego przedsiębiorstwa narodowego, wszystkie sumy nadwartości, wytworzone według stóp nader rozmaitych, zostają dodane jedne do drugich. Różne kapitały biorą z téj sumy ogólnéj, tak otrzymanéj, części proporcyonalne do ich wielkości, według jednéj wspólnéj stopy dochodu — niezależnie od tego, że jeden kapitał wytwarza więcéj nadwartości od drugiego, jeżeli ma budowę organiczną niższą.

I tylko w rolnictwie, dzięki interwencyi posiadacza ziemskiego, nad-dochód, który tu jest wytworzony, nie zostaje podzielony między przedsiębiorców, lecz staje się własnością posiadacza w formie renty. Ta renta absolutna nie pochodzi z różnic w płodności lub położeniu

różnych posiadłości, lecz z tego, iż kapitał zmienny jest wogóle większy w rolnictwie, niż w przemyśle. Lecz postęp polega na wprowadzaniu do rolnictwa coraz większéj ilości maszyn, na wzroście kapitału stałego. I gdy budowa średnia kapitału rolnego będzie takaż sama, co i kapitału przemysłowego, ten rodzaj renty absolutnéj zniknie. Jesteśmy jednak dalecy jeszcze od tego stanu rzeczy. Renta absolutna przeważa w kopalniach, w kulturze lasów, w hodowli ryb i t. d.—wszędzie gdzie praca gra rolę większą od maszyn.

Taka jest teorya podziału dochodu, wystawiona przez Marxa. Główną jéj wadą jest to, iż uważa wyzysk za jedyne jego źródło, gdy on jest tylko jedném ze źródeł. Chcąc nazbyt uprościć kwestye ekonomiczne, dochodzimy tylko do ich wynaturzenia. W rzeczywistości procent zależy od wszystkich warunków systemu ekonomicznego, między innemi i od oszczędności. Marx zaś, jak zwykle, odszukuje tylko jedną przyczynę, wyzysk. Również i zysk przedsiębiorczy, jakkolwiek należy przyznać, iż autor wskazał na jeden z czynników, który wchodzi w jego skład i dotychczas nie był spostrzeżony: wynagrodzenie za pracę eksploatacyi. Zresztą rozstrzygnięcie ostateczne téj kwestyi może być dostarczone tylko przez badania statystyczne, daleko bogatsze od tych, które Marx podaje.

Jak widzieliśmy, jest rzeczą jednostronną i błędną twierdzić, iż tylko kapitał zmienny jest źródłem dochodu, daje go i kapitał stały, ale niewątpliwie w stopniu mniejszym. Oto czemu suma dochodu dawana przez kapitał jest tém większa, im jego budowa organiczna jest niższa. To jednak nie ma znaczenia dla kapitału ruchomego, gdyż konkurencya zmusza kapitalistów do dzielenia całéj sumy dochodu proporcyonalnie do wielkości kapitałów. Inaczéj rzecz się ma z kapitałami ziemskiemi: będąc ograniczone w rozmiarach, stanowią w porównaniu z ruchomemi rodzaj monopolu, również jak cały kapitał, ruchomy i nieruchomy, jest monopolem w stosunku do pracy. Otóż kapitał ziemski, jak widzieliśmy, używając więcéj pracy, otrzymuje stosunkowo większą sumę dochodu, niż ruchomy. Ale ten dochód naddatkowy nie będzie podzielony między wszystkich kapitalistów, lecz tylko między posiadaczy ziemskich, stanowiąc r e n t ę a b s o l u t n ą.

Z powodu renty istnieje walka między dwoma odłamami klasy posiadającéj, lecz one walczą razem przeciw pracy z powodu dochodu wogóle.

Ale jak obok r e n t y a b s o l u t n é j, wykazanéj przez Marxa, istnieje r e n t a d y f e r e n c y a l n a, którą jeszcze Ricardo udowodnił, tak obok dochodu, opartego na eksploatacyi, istnieje dochód, oparty

na wszystkich innych warunkach systemu ekonomicznego, między innemi na oszczędności.

Niestety, Marx spuścił z uwagi te warunki, tak samo jak ekonomiści liberalni spuścili z uwagi to źródło dochodu, które Marx wskazał. Wogóle epoka rozwiązań prościutkich zakończyła się raz na zawsze. My zaczynamy dopiéro przewidywać niesłychane komplikacye, które ustanowienie ekonomii politycznéj, nie partyjnéj, lecz istotnie naukowéj, napotykać będzie.

Dr. Leon Winiarski,
docent uniwersytetu genewskiego.



Alfred de Musset.

Do Kwiatka.

Kwiatku mój luby, kwiatku samotny,
Szczęsnéj przeszłości pamiątko miła,
Napół umarły, napół zalotny,
Powiédz, kto ciebie do mnie przysyła?

Przybywasz zdala, niby wędrowiec,
Pod tą pieczątką ukryty skromnie...
Ta rączka, co cię zerwała — powiedz —
Jakie zlecenia daje ci do mnie?

Czy jesteś chwastem, który usycha
Zwarzony życia dolą surową?
Czy téż myśl kryjesz w głębi kielicha
I znów rozkwitnąć możesz na nowo?

Niestety! kwiat twój ma białość śnieżną,
Co niewinności smutnéj jest wzorem;
Lecz liść otuchę budzi bezbrzeżną,
Trwożnéj nadziei będąc kolorem.

Powiédz, czy masz co wyznać przedemną?
Jestem dyskretny... nie trwaj w uporze...
Czy twa zieloność nie jest tajemną?
Czy zapach także przemówić może?

Gdyby tak było, niech twoja mowa,
Tajny posłańcze, brzmi jaknajciszéj:
Gdy nie -— milczenie zastąpi słowa...
Śpij na mém sercu — niechaj nie słyszy.

O! jest mi znaną ta rączka mała,
Pełna kaprysów wdzięku i czaru,
Która twój śnieżny kielich zdołała
Odtworzyć z wątłych niteczek paru...

Fidyasz, Praxytel rączkę tak drobną
Próżno na świecie znaléśćby chcieli...
Wtedyby tylko była podobną,
Jeśliby Wenus za model wzięli.

Ona jest piękna, biała i słodka...
Mówią, że śmiałą jest téż w potrzebie;
Prawdziwe szczęście na ziemi spotka,
Kto ją potrafi zdobyć dla siebie...

Lecz jest tak skromna i tak surowa;
Może być dla mnie źródłem cierpienia.
Kwiatku! Ona się gniewać gotowa!
Nie mów nic... nie budź mnie z rozmarzenia.

Przełożył z francuskiego

Władysław Nawrocki.



NOWY PODATEK

OD HANDLU I PRZEMYSŁU.

I.

W grupie podatków zwanych bezpośredniemi (do której należą: pogłówne, podatki od nieruchomości: gruntów i domów; podatki przemysłowo-handlowe, podatki od kapitałów i dochodów, oraz podatki klasowe i zarobkowe), podatek handlowo-przemysłowy—zwykle zwany patentowym — zjawia się w historyi ostatnim. Ustrój średniowieczny państw europejskich uwalniał miasta — kupców i rękodzielników — od ucisku finansowego: autonomia miast ograniczała prawo panujących nakładania podatków na mieszczan. Przemysł do końca XVIII wieku właściwie nie istniał zupełnie, a wielkie towarzystwa handlu zamorskiego, jakie się od XVI w. zaczęły tworzyć w Europie, zbyt szerokiemi cieszyły się przywilejami, zbyt często używały praw państwa w państwie, aby o ich opodatkowaniu mogła być mowa. Mieszczanie opłacali na rzecz państwa zwykle umiarkowany podatek szacunkowy od majątku — w Polsce zwany „szos" (*schätzung*). Śród opłat, jakie miasta od obywateli swoich dla siebie pobierały, spotykamy prawie wszędzie opłaty od majstrów i czeladzi; początkowo jako opłaty jednorazowe, proporcyonalne do prawdopodobnéj dochodowości rzemiosła, jak np. we Francyi, odpowiadające trzydniowemu zarobkowi rzemieślnika. Opłaty te z jednorazowych stawały się często corocznemi, często roz-

ciągały się i na kupców, pozostawały zawsze jednak w zawiadywaniu municypalności, nie zaś państwa i wynikały z tego średniowiecznego pojęcia, że właściciel ziemi ma prawo dozwalać lub zakazywać pewnych prac i zarobków na swojém terytoryum.

Państwowe podatki od handlu i przemysłu zjawiają się w Europie po upadku feudalizmu, po rewolucyi francuskiéj 1789 r.

We Francyi zgromadzenie prawodawcze w r. 1791 zniosło cechy i wkrótce potém (1798 r.) ustanowiono „podatek patentowy", który do dziś dnia jest wzorem opodatkowania handlu i przemysłu. Za przykładem Francyi poszły Prusy w r. 1810, Austrya w r. 1812. W Anglii kupcy i przemysłowcy ulegli opodatkowaniu dochodów narówni z innemi klasami społecznemi już w r. 1798.

Prawo francuskie obowiązywało każdego Francuza, trudniącego się handlem lub przemysłem, do wykupienia świadectwa — „patentu". Według domniemanéj zyskowności przedsiębiorstwa, patenty dla różnych zajęć, w różnych okolicach kraju — były różnéj ceny. Cena patentu zależała także od ilości robotników, w przemyśle lub pracowników w handlu i od wielkości lokalu. Na podstawie takich cech zewnętrznych starano się podatek zrobić proporcyonalnym do wielkości zysków przedsiębiorcy, — uczynić zadość wymaganiom finansowéj sprawiedliwości — i uniknąć potrzeby dochodzenia, ile który z przedsiębiorców z osobna posiada istotnie dochodu, co — w początkach bieżącego stulecia — uchodziło za niedelikatne mieszanie się władzy państwowéj do spraw osobistych. Myśl o takiém dochodzeniu, szczególniéj we Francyi, wywoływała zawsze oburzenie opodatkowanych.

Francya jest téż jedyném wielkiém państwem na zachodzie Europy, które dotychczas nie wprowadziło u siebie bezpośredniego podatku dochodowego. W reszcie świata cywilizowanego panuje dziś ogólne przekonanie, że jedynie sprawiedliwym jest ten podatek, który nakłada na obywateli państwa ciężar proporcyonalny do całości ich ekonomicznych zasobów, wyrażających się dochodem rocznym. Przy zastosowaniu téj zasady ogólnéj ujawniają się jeszcze i drugorzędne wymagania: polityki społecznéj — żądające, aby ci, których środki ledwie na życie starczą byli od podatku zupełnie uwolnieni; wymagania polityki ekonomicznéj, — domagające się, aby dochód trwały od kapitału był mocniéj opodatkowany od dochodu nietrwałego, płynącego z pracy; wymagania sprawiedliwości względnéj — domagające się silniejszego opodatkowania dochodów większych i nakoniec cały zastęp wymagań praktycznych, finansowo technicznych, z których najważniejszém niewątpliwie jest to,—aby reformy dążące do urzeczywistnienia ideału podatkowego postępowały zwolna, liczyły się z historycznym rozwojem

opodatkowania w kraju, nie znosiły podatków już ustalonych wiekami, póki inne ich miejsca nie zastąpią i miały przedewszystkiém na widoku, że wydatki państw nowożytnych są niezbędne, wielkie, coraz większe — i że podatek jedyny od dochodu jest nietylko podatkiem najsprawiedliwszym, ale jednocześnie najtrudniejszym do prawodawczego określenia i pobierania.

Nie należy téż zapominać o tém, że rozwój przemysłu i wzrost gwałtowny majątku ruchomego narodów cywilizowanych w XIX wieku zmienił zadania, jakie miało prawodawsцwo finansowe w początku stulecia. Sto lat temu chodziło o opodatkowanie handlu i rzemiosł; — przemysł na kontynencie był tylko rękodzielnictwem, używającém co najwyżéj motorów wodnych. Dziś prawodawca staje wobec konieczności opodatkowania kolosalnych dochodów instytucyi bankowych i zakładów przemysłowych, których dochody przewyższają dochody małych państw, a kapitały wydawałyby się w początkach wieku nieprawdopodobnemi. Prawodawca ma objąć te kolosy kapitału i arcydzieła techniki temi samemi przepisami podatkowemi, co pracującego na wsi szewca, lub roznoszącego nici węgra, a gdy wyczerpał już dawno wszystkie cechy zewnętrzne, na których opiérając się, mógł dawniéj stosować podatek do dochodu, — dziś powinien szukać drogi do oszacowania kapitałów, obrotów i zysków z każdego pojedyńczego przedsiębiorstwa — drogi, po któréj postępując zwolna, mógłby z czasem podatek patentowy przemienić w podatek od dochodów z handlu i przemysłu.

Historya reform t. zw. podatku gildyjnego w Rosyi jest właśnie takiém stałém posuwaniem się ku podatkowi dochodowemu, a nowe prawo jednym z kroków na téj drodze.

II.

Do czasów Piotra W. stan kupiecki i rzemieślniczy w Rosyi nie ulegał żadnemu opodatkowaniu specyalnemu; autonomia municypalna była nieznana; ludność miejska narówni z wiejską płaciła „pososzne" i w wypadkach nadzwyczajnych, zwykle na potrzeby wojenne — podatki dodatkowe (*zaprosnyje dieńgi)*, obliczone od sochy, dworu, lub ogółu domniemanego majątku. Piotr W. próbował, ale bez skutku, wprowadzić zarząd municypalny po miastach: ustanowił gildye i cechy, ale te miały raczéj charakter policyjno-społeczny, aniżeli finansowy. Kupcy i rzemieślnicy zobowiązani zostali do płacenia „pogłównego", które początkowo było podatkiem od majątku, gdyż dla oznacze-

nia jego wysokości początkowo określano rodzaj zajęcia, wielkość zajmowanego domu i przybliżoną wielkość obrotu, czy produkcyi; sporządzano zatém rodzaj kadastru przemysłowego.

Dopiéro w r. 1775 Katarzyna II-ga zwolniła kupców od pogłównego i wprowadziła opłaty gildyjne: kupców wedle ich zamożności podzielono na 3 gildye, przyczém *minimum* majątku dla III-éj najniższéj gildyi oznaczono na 500 rubli. Mieszkańców miast, posiadających mniéj niż 500 rubli majątku zapisywano do stanu mieszczańskiego, ulegającego opłacie „pogłównego". Zapisanie do gildyi dawało pewne prawa osobiste kupcowi i jego rodzinie, tém większe, im wyższa była gildya. Do pierwszéj należeli kupcy posiadający więcéj niż 10.000 rb. majątku, do drugiéj posiadający od 1,000 do 10,000, do 3-éj — od 500 do 1,000 rb. majątku. Podatek wynosił 1% od sumy majątku; sumę tę deklarował sam kupiec „na sumienie", a władzom nie było wolno przyjmować żadnych skarg, ani denuncyacyi. Wydana w r. 1875 „Ustawa o miastach" jeszcze ściśléj określiła prawa osobiste kupców z opłatą gildyi związane. Podatek gildyjny w Rosyi do obecnéj chwili utrzymał charakter podatku osobistego, dającego płacącemu i jego rodzinie prawo być zaliczonymi do stanu kupieckiego i używać pewnych przywilejów stanowi temu służących. W ciągu XIX wieku, w miarę zmniejszania się przywilejów stanowych w Rosyi, malało znaczenie tych praw; charakter jednak osobisty podatku utrzymał się aż do dziś dnia i jak obecnie wyraża się głównie w pewnych przywilejach paszportowych, w prawie do udziału w samorządzie miejskim i ziemskim, i w absolutném zwolnieniu od kar cielesnych („*Swod zakonow*", tom V-ty, art. 305—308).

Nie możemy tu wchodzić w szczegółową historyę reform i zmian, jakie wiek XIX-ty zrobił w podatku gildyjnym: najważniejsze z nich reformy 1863 i 1865 roku zniosły t. zw. 3-cią gildyę i zaprowadziły świadectwa na prawo prowadzenia handlu dla drobnych kupców, świadectwa przemysłowe dla posiadających fabryki i warsztaty, i świadectwa dla pomocników handlowych.

Reforma 1863/5 r. była tymczasowa; w ministeryum finansów nieustannie pracowały specyalne komisye nad gruntowną reorganizacyą podatku gildyjnego, projekty jednak, przez nie przygotowywane, długo nie mogły uzyskać sankcyi prawodawczéj. Wobec coraz bardziéj rozszerzającego się handlu i przemysłu, coraz bardziéj koncentrujących się kapitałów zasada opłat gildyjnych stałych stawała się coraz mniéj sprawiedliwą.

Dla usunięcia tego stanu rzeczy w roku 1885 wprowadzono tak zwany podatek dodatkowy od handlu i przemysłu, który w części ten

stan rzeczy złagodził. W podatku tym rozróżniono przedsiębiorstwa prywatne od przedsiębiorstw akcyjnych i udziałowych, obowiązanych do publicznego składania sprawozdań. Te ostatnie, których obroty i zyski są łatwe do obliczenia na podstawie ich sprawozdań, zostały zobowiązane do płacenia „podatku procentowego” od dochodu, najprzód w r. 1885 w stosunku 3 od sta, a od r. 1892 w stosunku 5% rocznie. Pierwsze — prywatne, — do których początkowo zaliczono tylko zakłady opłacające gildyę, a od r. 1889 i niektóre zakłady gildyi nieopłacające — pociągnięto do opłaty podatku repartycyjnego (*razkładocznyj*). Ogólna suma tego podatku i podział jéj na gubernie — ustanawia się raz na 3 lata, zosobna od zakładów gildyjnych i nie gildyjnych. W guberniach utworzono „gubernialne urzędy podatkowe” (*gubiernskija podatnyja prisutstwia*), które sumę wyznaczoną na gubernię rozdzielają na powiaty. Do urzędu gubernialnego powołano 6 osób z pomiędzy płacących ten podatek; tak samo 6-ciu opodatkowanych wchodzi w skład urzędu powiatowego, który zajmuje się rozkładem podatku na okręgi i w okręgach na pojedyńczych kontrybuentów. Za podstawę do rozkładu — repartycyi — służyć ma obrót przedsiębiorstwa, który deklaruje opodatkowany, a urząd sprawdza, i „przybliżona” średnia zyskowność przedsiębiorstw danego rodzaju, którą ustanawiają urzędy podatkowe. Fabryki produktów opłacających akcyzę — od tego podatku początkowego zwolnione — opłacają go od roku 1893 podług osobnéj repartycyi, dokonywanéj przez specyalne urzędy, których kierownictwo spoczywa w ręku władzy akcyznéj.

Dla wyjaśnienia znaczenia, jakie ma podatek przemysłowy w budżecie państwa, przytoczymy trochę cyfr statystycznych o dochodach skarbu z opodatkowania handlu i przemysłu w r. 1886 i 1895.

W r. 1886 dochód państwa wynosił:

I. Opłaty za prawo prowadzenia handlu i przemysłu:

1) za świadectwa gildyjne, handlowe i pomocników handlowych	rb.	21,680,623	
2) opłaty za zwolnienie od powinności kwaterunkowéj . . . . , ...	„	218,469	
3) opłaty jarmarczne	„	330,173	
3) kary	„	517,166	22,746,431

II. Podatek dodatkowy:

1) podatek 3-procentowy (od tow. akcyjnych udziałowych, etc.)	„	2,125,949	
2) podatek repartycyjny	„	3,029,108	5,155,057
Razem			27,901,488

Podając te cyfry, profesor Janżuł [1]) oblicza, że stanowią one $^1/_{30}$ ogólnego dochodu państwa i dodaje, że we Francyi podatek patentowy stanowi $^1/_{24}$ budżetu, kiedy wedle wszelkiego prawdopodobieństwa w ogólnéj sumie dochodów narodu francuskiego dochody od handlu i przemysłu stanowią około 60%.

W r. 1895 dochód skarbu wynosił:

I. Opłaty patentowe:

1) opłaty patentowe właściwe .	rb.	27,076,994	
2) opłaty kwaterunkowe . . .	„	309,309	
3) różne (kary etc.)	„	591,736	rb. 27,978,039

II. Opłaty dodatkowe:

1) podatek 5-procentowy . . .	„	7,092,086	
2) podatek repartycyjny . . .	„	7,690,567	rb. 14,782,653
	Razem . .		rb. 42,760,692.

Wzrost podatku od handlu i przemysłu absolutny i stosunkowy do reszty budżetu wykazuje najlepiéj następujące porównanie:

	1886 Dochody skarbu rzeczywiste [2])	1898 Budżet
Ogólna suma zwyczajnych dochodów państwa	774,341,414	1,364,458,217
ogólna suma podatków bezpośrednich	124,303,836	100,577,816
1) podatek gruntowy	86,155,282	40,875,716
2) podatki od handlu i przemysłu .	28,067,996	45,277,800
3) podatki od własności ruchoméj .	10,080,558	14,424,300

Jak widzimy, dochód z podatku od handlu i przemysłu wzrósł w ciągu lat 12-tu: z 28.1 milionów na 45.3, t. j. o 61%. W r. 1886-ym stanowił on: 3.6% ogólnéj sumy zwyczajnych dochodów państwa i 22.6% podatków bezpośrednich. W r. 1898 stanowi on 3.3% dochodów zwyczajnych i 45% podatków bezpośrednich. Wskutek ulg, jakie w ciągu lat ostatnich skarb państwa dał rolnictwu, stosunek podatków bezpośrednich z ziemi do podatku od handlu i przemysłu uległ silnéj zmianie: w r. 1886 wynosił od 86 do 28, obecnie w r. 1898 wynosi 40 : 45.

W cyfrach tych nie mieszczą się jednak dochody skarbu z opłat patentowych za prawo wyrobu i handlu produktami, ulegającemi

---

[1]) „*Osnownyja naczała finansowoj nauki*", str. 336 i 312.

[2]) „*Bulletin russe de statistique financière et de legislation*". Rok 1896, str. 520 i r. 1898 Anneks. do zesz. I-go.

opłacie akcyzy (wódka, cukier, nafta, zapałki i tytoń). Dochody te stanowią osobne pozycye budżetu włączane do dochodów z akcyzy. W r. 1895 stanowiły one 21,899,454 ruble [1]).

Dla dopełnienia tego obrazu dodamy jeszcze parę cyfr, dotyczących t. zw. podatku repartycyjnego.

Ogólna suma tego podatku na rok 1897 wynosiła 7,530,000 rubli, z których miało być wniesione:

przez przedsiębiorstwa gildyjne . .	5,615,110 rb.
przez przedsiębiorstwa niegildyjne .	1,224,150 „
przez przedsiębiorstwa płacące akcyzę	690,740 „

Najwyższe sumy opłacają 2 gubernie stołeczne: Moskiewska, wnosząca 1,075,000 rb. i Petersburska 841,500 rb.; najniższe gub. Archangielska (10,000) i Ołonecka (10,200).

Gubernie Królestwa Polskiego miały opłacać:

Gub. Warszawska . . .	rb. 300,800
„ Piotrkowska . . .	„ 199,500
„ Lubelska	„ 45,000
„ Kaliska	„ 39,350
„ Radomska	„ 30,950
„ Siedlecka	„ 27,400
„ Kielecka	„ 24,300
„ Płocka	„ 19,490
„ Suwalska	„ 16,150
„ Łomżyńska . . .	„ 15,000
Razem . .	Rb. 717,940 [2]).

III.

Prawa, wydawane w ostatnich czasach w kwestyi podatku od handlu i przemysłu, miały wszystkie charakter tymczasowy. W ministeryum finansów, jak o tém już wspomnieliśmy, pracowano stale nad ogólną reformą tego podatku i wreszcie w r. 1892 projekt nowego prawa podano do publicznéj wiadomości: rozesłano go komitetom giełdowym i zgromadzeniom kupiectwa, żądając o nim opinii, a w zimie 1892/3 zwołano do Petersburga przedstawicieli sfer zainteresowanych dla przedyskutowania zrobionych projektowi zarzutów.

Projekt utrzymywał opłaty patentowe, zmieniając nieco dotychczasowy podział miejscowości na klasy i zakładów na rzędy, ale prze-

---

[1]) „*Bulletin*“, 1897, zesz. 5/6, str. 296.

[2]) „*Bulletin*“, IV Année, nnr. 5 i 6, str. 357/9.

nosił charakter opodatkowanego z osób na przedsiębiorstwa, nie dając nic na miejsce znoszonych ostatecznie gildyi kupieckich. Płacącym podatek miała być nie osoba kupca, ale jego przedsiębiorstwo, albo jeśli ich miał wiele — przedsiębiorstwa — każde zosobna. Podatki: repartycyjny i 5% od dochodu towarzystw akcyjnych, udziałowych, stowarzyszeń i wogóle spółek obowiązanych do składania publicznych sprawozdań pozostawały bez zmiany. Instytucye kredytowe miały ulegać specyalnemu podatkowaniu od sumy kapitałów obrotowych, własnych i pożyczonych w wysokości: od 40 kopiejek, do 2 rb. 50 kop. od 1,000 rubli (t. j. od 0.04 do 0.25 od sta); przyczém np. towarzystwa wzajemnego kredytu ziemskiego byłyby opłacały podatek od całéj sumy wypuszczonych w obieg listów zastawnych. W końcu tylko przedsiębiorstwa handlowe — nie przemysłowe — miały opłacać t. zw. „zmienny podatek” 5% od zysków przechodzących normalne zyski ustanowione w prawie, stosownie do rzędów handlu i klas miejscowości od 200 do 8,000 rubli.

Przeprowadzona pod kierownictwem ministeryum finansów dyskusya nie pozostała bez rezultatów. Projekt uległ zmianom, a przedstawiony w r. 1897 radzie państwa systematyzował opodatkowanie handlu i przemysłu w następujący sposób:

I. Podatek zasadniczy:

1) opłaty patentowe;
2) podatek od kapitału towarzystw akcyjnych, udziałowych i stowarzyszeń, obowiązanych do ogłaszania i składania władzy swych sprawozdań.

II. Podatek dodatkowy:

1) podatek procentowy od towarzystw akcyjnych etc., zobowiązanych do ogłaszania sprawozdań;
2) podatek dodatkowy od przedsiębiorstw nieobowiązanych do składania sprawozdań:
   a) podatek repartycyjny,
   b) podatek procentowy od zysków.

W ogólnym tym układzie rada państwa zmieniła tylko to jedno, że podatek od kapitału (I, 2) przeniosła do kategoryi podatków dodatkowych tak, że za podatek zasadniczy uważa się tylko jeden podatek patentowy. Zmianę tę wprowadzono nie ze względów teoretycznych, ale dlatego, że podatek od kapitału ulega kontroli i zawiadywaniu tych władz finansowych, którym powierzono kontrolę i sądzenie sporów dotyczących podatków dodatkowych, procentowego i repartycyjnego.

Nim zajmiemy się streszczeniem głównych przepisów nowego prawa, postaramy się idąc za źródłami urzędowemi poznać motywy, które kierowały prawodawcą przy ustanawianiu ogólnych zasad dokonanéj reformy.

IV.

Pierwotną myślą komisyi [1]), wyznaczonéj w r. 1892 do reformy podatku, był zamiar zaprowadzenia podatku dochodowego od handlu i przemysłu. Przy bliższém jednak rozpatrzeniu téj kwestyi okazało się, że zaprowadzenie tego podatku w Rosyi jest prawie niemożliwe. Aby módz określić indywidualnie dochód każdego zosobna handlującego, przemysłowca lub rzemieślnika, — koniecznêm jest, aby on sam wiedział ile miał dochodu, i żeby prowadził księgi handlowe tak, iżby władza finansowa miała możność sprawdzenia jego rachunków. Na 5,547 świadectw I-éj i 124,711 świadectw II-éj gildyi wydano w Rosyi w r. 1895 około 680,000 świadectw na handel detaliczny i drobny, co do którego można z góry twierdzić, że więcéj niż połowa handlujących i przemysłowców téj kategoryi nie prowadzi żadnych ksiąg handlowych, i sama nie jest w stanie ściśle określić, ile miała dochodu w roku ubiegłym. Nawet roczny obrót tych przedsiębiorstw nie daje się oznaczyć na podstawie ksiąg handlowych. Podatek dochodowy miałby jeszcze i tę słabą stronę, że dochody skarbu z tego źródła mogłyby z roku na rok bardzo silnym ulegać wahaniom; doświadczenie bowiem pokazało, że 5% podatek od czystego dochodu przedsiębiorstw akcyjnych udziałowych i wogóle spółek zobowiązanych do ogłaszania sprawozdań waha się z roku na rok o 20 do 35%, a czy te różnice w dochodach i w podatku są prawdziwe, czy też fikcyjne, — wywołane sztucznemi metodami buchalteryjnemi,—to dla skarbu państwa jest rzeczą obojętną. Przy tym systemie opodatkowania wszystkie t. zw. „familijne towarzystwa akcyjne" (w których cały zysk zgóry rozdziela się w formie pensyi między członków rodziny, lub rodzin trzymających akcye w swych rękach), unikałyby zupełnie opodatkowania. Wobec trudności sprawdzenia i skontrolowania dochodów ogółu handlujących i przemysłowców, podatek od dochodu płaciliby tylko sumienni i uczciwi; nieuczciwi i niesumienni mieliby z góry zapewniony przywiléj niepłacenia podatku. Zresztą już w r. 1884 przy pracach nad reformą opłat gildyjnych rada państwa wypowiedziała zasadę, że podatek od

---

[1]) „*Wiestnik Finansow*" 1898 r., n-ra 24—32.

dochodu powinien, albo objąć wszystkie źródła dochodu i wszystkie sfery społeczeństwa, albo nie być wyprowadzonym zupełnie, a zasada ta i dziś zasługuje na bezwarunkowe zastosowanie.

Niepewność ogólnéj sumy dochodu skarbu mogłaby zostać usuniętą, przez zamianę całego podatku od handlu i przemysłu na podatek repartycyjny. Reforma ta sprowadziłaby się do zniesienia podatków — patentowego i procentowego — i do powiększenia i rozszerzenia podatku repartycyjnego. Sprawiedliwy rozdział podatku na pojedyńczych opodatkowanych miał być gwarantowany ich wpływem na repartycyę i tą dla każdego zrozumiałą zasadą, że co jeden z nich nie dopłaci to ktoś inny dopłacić musi.

Doświadczenie jednak (głównie z rozkładu akcyzy od restauracyi za lata 1861 do 1893) dowiodło, że t. zw. obywatelska repartycya nie koniecznie jest ideałem sprawiedliwości finansowéj; że i przy téj metodzie opodatkowania niedobory podatkowe są znaczne (koło 20%), że nakoniec o ile możliwém jest równomierne t. j. sprawiedliwe opodatkowanie w granicach jednego okręgu repartycyjnego i jednéj gałęzi przemysłu, — o tyle w różnych okręgach, powiatach i guberniach te same gałęzie przemysłu mogą ulegać różnych stopom podatku, a równomierność opodatkowania różnych gałęzi handlu i przemysłu jest prawie niemożliwa do otrzymania. Sprawiedliwość repartycyi warunkuje się określeniem cyfry obrotu i określeniem normalnego zysku, a oba te określenia nie o wiele są łatwiejsze od określenia istotnego zysku dla każdego przedsiębiorstwa zosobna.

Nakoniec komisya sądziła, że podstawa obecnego systemu opodatkowania — patenty — ma swoje dobre strony. Nie wymaga ona zbytniego wglądania władz podatkowych w prywatną działalność przedsiębiorcy, a jéj nieproporcyalność do dochodu z przedsiębiorstwa może być z łatwością usunięta przez opodatkowanie dodatkowe większych kapitałów i większych od normalnych dochodów. Opłaty patentowe, jako stale przewidziane, mogą być z łatwością z góry do kosztów handlowych wliczone. Nakoniec do opłat tych, są przywiązane obecnie pewne prawa stanowe, — których znieść odrazu niepodobna, nie rujnując starych przyzwyczajeń, nie usuwając gruntu, na których opiéra się samorząd gmin miejskich i ziemstw i niektóre przepisy prawa karnego i handlowego. Przy zupełnem zniesieniu opłat patentowych prawie całe prawodawstwo w państwie musiałoby uledz rewizyi.

Wobec niemożności oparcia całego podatku od handlu i przemysłu na jednéj wyłącznie zasadzie, czy to patentowéj, czy to dochodowéj, czy téż repartacyjnéj, komisya zastanawiała się z kolei nad roz-

maitemi systemami opodatkowania mieszanemi i badała bliżéj zalety i wady następujących trzech kombinacyi.

Najprzód proponowano, aby opodatkowanie towarzystw akcyjnych, udziałowych, stowarzyszeń i wogóle wszelkich przedsiębiorstw zobowiązanych do ogłaszania i składania władzy swoich sprawozdań oprzéć wyłącznie na zasadzie opodatkowania dochodu, resztę zaś przedsiębiorstw opodatkować proporcyalnie do dochodu *brutto* lub proporcyonalne do obrotu i średnio-normalnego zysku. Przy bliższém rozpatrzeniu téj propozycyi zjawiła się obawa, aby niektóre z towarzystw akcyjnych (familijne) nie były zbyt silnie wystawione na pokusę usunięcia z bilansu wszelkich zysków czystych, a skarb przez to nie był narażony na zupełny brak dochodu z tego źródła. Już dziś około 20% towarzystw akcyjnych wykazują w bilansach zupełny brak czystego zysku lub straty. Przytém uwolnienie towarzystw od opłaty patentowéj przyniosłoby stratę nietylko skarbowi państwa, ale i finansom gmin i ziemstw, które pobiérają pewne dodatkowe dopłaty od podatku patentowego. W najnowszém prawie o opodatkowaniu handlu i przemysłu w Austryi, wydaném w r. 1896, towarzystwa akcyjne stanowią istotnie osobną grupę, opodatkowaną proporcyonalnie do czystego dochodu, — ale jednocześnie w prawie tém zastrzeżono pewne *minimum* podatku, wynoszące 1‰ kapitału zakładowego, które to *minimum* towarzystwa opłacić muszą co roku, bez względu na wysokość zysków, nawet przy dowiedzionych stratach. Wyłączenie więc przedsiębiorstw zobowiązanych do ogłaszania swoich sprawozdań z pod opłaty patentowéj nie jest ani praktycznem, ani ewentualnie sprawiedliwém.

Co się zaś tyczy opodatkowania całéj pozostałéj przedsiębiorczości prywatnéj proporcyonalnie do obrotu i średnich zysków, to przedewszystkiém zyskowność ich proporcyonalnie do obrotu, t. zw. średnie czyli normalne zyski są niesłychanie różne: wahają się od $^1/_{10}$% lub 1% w operacyach bankierskich — do 20 i 30% w obrotach aptek. Oznaczenie zatém tych średnich zysków nie wiele jest łatwiejsze od określenia zysku dla każdego przedsiębiorstwa indywidualnie. Wypadki poniesionych niewątpliwie strat lub istotnego braku czystego dochodu, nie mogłyby być w prawie należycie uwzględnione, — skarb zaś miałby dochód niestały, niepewny i nieregularny.

Drugi z kolei projekt proponował pozostawienie w zasadzie obecnie istniejącego podatku patentowego i powiększenie sumy podatku repartycyjnego przy jednoczesném potrąceniu z sumy tego podatku wypadłéj na kontrybuenta, kwoty opłaconéj już przy wzięciu patentu. Projekt ten w gruncie rzeczy sprowadza się do czystego podatku repartycyjnego z podziałem saméj operacyi pobiérania podatku na dwie

części, co wywołałoby tylko zamieszanie w kasowości i rachunkowości skarbu.

Trzeci projekt zamierzał wprowadzić opłaty dodatkowe do podatku patentowego tylko dla wielkich przedsiębiorstw — towarzystw akcyjnych, stowarzyszeń udziałowych etc., i to proporcyonalnie do ich kapitałów zakładowych, — zaś dla równomierności w opodatkowaniu przedsiębiorstw prywatnych wprowadzić podatek od przewyżki dochodu ponad pewien zysk średni normalny, przez prawo ustanowiony.

Dodatkowe opłaty od patentów towarzystw akcyjnych już i dziś istnieją; wynoszą one: 635 rb. dla każdego towarzystwa i 20 do 25 rb. od każdego zakładu handlowego czy przemysłowego, należącego do tegoż towarzystwa. Mimo to przy wielkich kapitałach tych towarzystw obecne ich opodatkowanie nie można nazwać sprawiedliwém. W ministeryum obliczono, że i dziś podatek patentowy wynosi średnio dla przedsiębiorstw ogłaszających sprawozdania 0.87% ich zysku — dla kupców I gildyi 2.90, dla kupców II gildyi 5.57% ich prawdopodobnych zysków.

Uznając konieczność utrzymania w zasadzie opłat patentowych i chcąc, aby opłaty te już same w sobie, były o ile można, proporcyonalne, postanowiono wprowadzić dla wielkich przedsiębiorstw akcyjnych udziałowych etc., jako dodatek do opłat patentowych, podatek od kapitału przedsiębiorstwa — stosunkowo niewielki — 15 kop. od 100 rb. kapitału, t. j. 1.5‰, przy którego opłacie potrąca się suma opłat patentowych przez przedsiębiorstwo wniesionych.

Co się tyczy przedsiębiorstw prywatnych, to zastosowanie do nich téj zasady uznano wprost za niemożliwe i sądzono, że sprawiedliwiéj będzie opłatę dodatkową do patentów pobiérać albo proporcyonalnie do wielkości obrotu, albo proporcyonalnie do średnich zysków normalnych.

W razie przyjęcia pierwszéj propozycyi — opodatkowania proporcyonalnie do obrotu — przedsiębiorstwa prywatne byłyby obowiązane opłacać: 1) patent, stosownie do zewnętrznych cech dowodzących wielkości przedsiębiorstwa; 2) podatek dodatkowy do patentu, oparty na wielkości obrotu i 3) podatek repartycyjny, oparty na zyskach normalnych. Projekt ten jednak posiada i złe strony. Wogóle sądzono, że każdy dochód przedsiębiorcy składa się z dwóch elementów, trudnych do rozdzielenia nietylko w praktyce, ale i w teoryi, a mianowicie z dochodu od kapitału i z zarobku — dochodu od pracy przedsiębiorcy, że jeśli dochód przedsiębiorcy ma ulegać opodatkowaniu, to powinien mu ulegać tylko w pierwszéj swéj części, t. j. jako dochód od majątku; część zaś druga — zarobek, powinna być od podatku wolna. Utrzymanie

w prawie opłat „patentowych" nie dowodzi, aby prawo zamierzało opodatkować pracę i zarobki jako takie; opłaty patentowe utrzymano w prawie tylko ze względów czysto praktycznych techniki finansowéj. Podatek patentowy wymaga dopełnienia go innym podatkiem, opartym na dążeniu do opodatkowania proporcyonalnie do czystego dochodu od majątku włożonego w przedsiębiorstwo, jak to wprowadzono w Prusach i Austryi. Tymczasem opodatkowanie proporcyonalne do samego obrotu, bez względu na kapitał i zyski, pada właśnie przedewszystkiém na tę część zysków, która powstaje pod wpływem pracy i jest opodatkowaniem rosnącém proporcyonalnie do wzrostu pracy przedsiębiorcy. Z tych wzglęków nawet obecne opodatkowanie dodatkowe przedsiębiorstw prywatnych, dzisiejszy podatek repartycyjny, jako oparty na domniemanych zyskach normalnych, odpowiada bardziéj wymaganiom sprawiedliwości. Złe leży obecnie w tém, że i ten podatek repartycyjny nie odpowiada wymaganiom sprawiedliwości finansowéj. Przy podatku repartycyjnym, wynoszącym 2% dochodu, przedsiębiorstwo I gildyi zarabiające 20,000 rubli płaci (500 rb. patent i 400 rb. podatku repartycyjnego) 900 rb. podatku, t. j. $4\frac{1}{2}$% dochodu, przedsiębiorstwo zarabiające 100,000 rb. płaci (500 + 2,000) 2,500 rb., to jest $2\frac{1}{2}$%, a zarabiające 500,000 rb. płaci (500 + 10,000) 10,500 rb., t. j. $2\frac{1}{10}$%; — przedsiębiorstwa zaś II rzędu zarabiające 4,000 rb płacą (100 + 80) 180 rb., t. j. $4\frac{1}{2}$%, zarabiające 10,000 rb. (100 + 200) 300 rb., t. j. 3%, a zarabiające 50,000 rb. (100 + 1,000) 1,100 rb., t. j. 2.2%. Jedném słowem, obecne opodatkowanie jest odwrotnie proporcyonalne do wysokości dochodu. Powyższe zestawienie cyfr dowodzi, że wyrównanie opłat patentowych nie może być osiągnięte za pomocą podatku opartego na obrotach, że takie opodatkowanie byłoby dla małych przedsiębiorstw stanowczo uciążliwém, a wprowadzenie stopniowań rosnących w miarę wzrostu obrotów — wprowadzenie progresyjnego opodatkowania od obrotu—jest niemożliwe w praktyce.

Wyrównanie opłat patentowych od przedsiębiorstw prywatnych powinno zatém nastąpić tylko drogą osobnego dodatkowego podatku proporcyonalnego do obrotów i średnich normalnych lub rzeczywistych zysków, ale zupełnie różnego od dotychczasowego podatku — repartycyjnego.

Wobec tych względów zjawił się projekt określenia wszystkich opłat dodatkowych proporcyonalnie nie do obrotów, ale do zysków przedsiębiorstwa, a ponieważ stosunek zysków do obrotów jest bardzo różny — proponowano podzielić cały przemysł pod tym względem na kilka grup oddzielnych tak, jak to już zrobiono z przemysłem opłaca-

jącym akcyzę. Propozycyę tę jednak odrzucono jako określającą średnie zyski w sposób bardzo gruby i mniéj niż przybliżony.

Ostatecznie zdecydowano, że najpraktyczniéj będzie podatek dodatkowy do patentowego dla przedsiębiorstw prywatnych, oprzéć na zyskach przybliżonych, oznaczonych dla poboru podatku repartycyjnego tak, jak on już dziś istnieje i praktyką już ustalony został. Komisya sądziła, że jeśli określenie tego przybliżonego zysku już zostało zrobione dla podatku repartycyjnego i nie wywołuje protestów opodatkowanych, albo też protestów tych nie popierają oni zasługującemi na uwzględnienie dowodami, — jeśli za tém istnieje dowód, że te przybliżone zyski określone zostały dla pojedyńczych przedsiębiorstw może nie zupełnie dokładnie, wogóle jednak ze średnio dostateczném przybliżeniem, to ten przybliżony zysk może i powinien być przyjęty za podstawę do opodatkowania dodatkowego, mającego na celu wyrównanie nierównomierności zasadniczych opłat patentowych.

Przytém, jeśli od opłaty podatku tego uwolnione zostaną zyski normalne, i jeśli norma, od któréj opodatkowanie się zaczyna, będzie ustanowiona dość wysoko, jeśli tém samém opodatkowaniu dodatkowemu ulegną tylko przedsiębiorstwa, dające istotnie wysokie dochody, którym nie zabraknie sposobów obrony w razie niesłusznych żądań władzy podatkowéj, jeśli tém samém ilość wnoszących ten podatek będzie nieznaczna, to na téj drodze najłatwiéj da się osiągnąć cel zasadniczy: usunięcie nierównomierności w opłatach patentowych, a jednocześnie władze podatkowe nie będą zmuszone określać ten podatek w sposób zmudny, kłopotliwy i wywołujący spory z kontrybuentami. Przyjmując te zasady dla określenia opłat dodatkowych do patentów od przedsiębiorstw prywatnych — nazwanych w prawie — podatkiem procentowym, jednocześnie postanowiono, że podatek patentowy i procentowy powinny wynosić razem około $^1/_{80}$ [1]) zysków przedsiębiorstwa, że opłaty patentowe nowe nie powinny być wyższe od obecnych, ale raczéj niższe, suma zaś otrzymywana z obu tych podatków przez skarb nie powinna być mniejsza od wpływającéj obecnie.

Przy takiém unormowaniu podatku dodatkowego od przedsiębiorstw prywatnych skarb państwa może stale a zwolna ulepszać system podatku od handlu i przemysłu: posuwać się stale ku podatkowi dochodowemu, obniżając opłaty patentowe i repartycyjne, a podnosząc opłaty zmienne — dążyć, jedném słowem, do kadastru przemysłowego. Nie ulega wątpliwości, że na téj drodze opodatkowanemi najmocniéj

---

1) W pierwotnym projekcie ministeryum projektowano sumę obu tych podatków unormować w przybliżeniu na $^1/_{40}$, t. j. $12^1/_2\%$ przybliżonego zysku.

zostaną przedsiębiorstwa najzyskowniejsze, najsilniejsze, mogące zatém najłatwiéj ponosić ciężar podatkowy.

V.

Ustanowiwszy zasady reformy opłaty patentowéj, komisya zastanawiała się jeszcze nad brakami przepisów obecnych, dotyczących podatków repartycyjnego i procentowego, organizacyi władz zawiadujących podatkiem przemysłowym i procedury zaskarżania postanowień téj władzy.

Przedewszystkiém przypomniéć tu musimy, że podatek dodatkowy repartycyjny ustanowionym został jednocześnie z podatkiem procentowym od dochodu towarzystw akcyjnych, udziałowych i stowarzyszeń prawem z 15 stycznia 1885 r. tylko dla przedsiębiorstw prywatnych gildyjnych. Powoli prawami z r. 1889 i 1892 rozszerzono go na wszystkie przedsiębiorstwa handlowe i przemysłowe, z małemi bardzo wyjątkami. Suma ogólna podatku ustanawia się w drodze prawodawczéj oddzielnie dla przedsiębiorstw gildyjnych, niegildyjnych i oddzielnie dla opłacających akcyzę, na trzy lata, dla każdéj gubernii oddzielnie. Repartycyą podatku na powiaty, okręgi podatkowe, rodzaje przedsiębiorstw i osoby opodatkowane zajmują się urzędy podatkowe gubernialne, powiatowe i okręgowe, w których prezydują gubernatorzy, inspektorowie podatkowi i ich pomocnicy, a członkowie są wybierani,—gdzie zaś nie ma ziemstw i urzędów municypalnych, mianowani są przez władzę — z łona samych opodatkowanych. W urzędach rozdzielających sumy, podlegające wniesieniu od przedsiębiorstw opłacających akcyzę, prezyduje naczelnik okręgu zarządu akcyzy, a 6 członków z pośród opodatkowanych mianuje gubernator po porozumieniu się z władzą skarbową. Instrukcye szczegółowe wydane przez ministeryum finansów w latach 1885 i 1888 określiły bliżéj sposób i zasady repartycyi, która odbywa się proporcyonalnie do „przybliżonych obrotów” zakładu i „przybliżonych zysków średnich” w danéj gałęzi przedsiębiorstw.

Podział całéj sumy podatkowéj na 3 części (przedsiębiorstwa gildyjne, niegildyjne, opłacające akcyzę) powstał historycznie, niema obecnie żadnéj racyonalnéj podstawy, a wymaga różnych instrukcyi i różnych władz do wykonania repartycyi i często prowadzi do potrójnych wezwań o zapłatę podatku dla jednego opodatkowanego.

Niedobory z podatku od przedsiębiorstw niegildyjnych w większości gubernii stanowią przeszło 50%.

Metoda repartycyi, jéj zasady nie są prawem ściśle określone, a sumy, oznaczone z góry na trzy lata nieraz wskutek okoliczności nadzwyczajnych (np. nieurodzaj 1891/2 r.), musiały zmianom ulegać. Wobec tego zachodzi konieczność, idąc za przykładem Austryi, utworzyć specyalny urząd, któryby stale czuwał nad corocznym rozkładem sumy ogólnéj podatku na gubernie, nad równomiernością repartycyi sum gubernialnych na powiaty i okręgi, i nakoniec nad rozkładem sum powiatowych i okręgowych na rodzaje przedsiębiorstw — w całém państwie. Bez zaprowadzenia takiéj władzy opodatkowanie w różnych powiatach, okręgach i guberniach, i w różnych gałęziach przedsiębiorstw, będzie się odbywało według stóp podatkowych różnych, a tém samém bez należytéj proporcyonalności w opodatkowaniu.

W prawie brak téż przepisów, określających, w jaki sposób ma być oznaczona średnio-normalna zyskowność przedsiębiorstwa, a ani prawo, ani instrukcya nie zawiérają wskazówek, co należy uważać za obrót przedsiębiorstwa. Stąd w praktyce zjawiły się duże różnice w określeniu wpływów, obrotów, dochodów ogólnych *(brutto)* i czystych.

Przy repartycyi np. sumy wypadającéj na przedsiębiorstwa opłacające akcyzę, niektóre urzędy uważały za obrót całą wartość rocznego produktu wraz z akcyzą, inne wyłączały akcyzę. W określeniu obrotów bankierskich różnice i zamieszanie było największe. W dodatku składanie deklaracyi o wielkości obrotów nie było według przepisów obowiązkiem, lecz tylko prawem opodatkowanego; składał ją więc opodatkowany o tyle, o ile mu to korzyść przynosić mogło, wskutek czego ilość deklaracyi o obrotach stanowiła odnośnie do przedsiębiorstw gildyjnych ledwie około 20%, co do niegildyjnych zaś około 9% — tych przedsiębiorstw.

W określeniu średnich zysków urzędy podatkowe miały téż za mało ścisłych określeń; nie miały prawa żądać przeglądania ksiąg handlowych opodatkowanego, a prawo apelacyi na postanowienia urzędu podatkowego było czysto fikcyjném, gdyż w zawiadomieniach o sumie, mającéj być zapłaconą przez opodatkowanego, była tylko określona suma podatku bez oznaczenia przyjętych za podstawę obrachunku: obrotu i normalnego zysku, bez wszelkich zatém podstaw do motywowania apelacyi.

Wobec tego stanu rzeczy, na który zwracał już uwagę i senat rządzący w swych wyrokach, protesty na orzeczenia urzędów podatkowych, stanowiły—przy podatku od przedsiębiorstw gildyjnych 5.4%, nie gildyjnych 2.4% ilości opodatkowanych, a z apelacyi tych około 80% pozostawało bez żadnego skutku. Wyrażenie prawa, że podatek pobiéra się

„od przybliżonego zysku" usuwał wszelki fundament apelacyi. W końcu zauważyć należy, że w urzędach repartycyjnych zasiadają sam opodatkowani, nieraz konkurenci, a prezydujący inspektor nie ma prawa wstrzymać wykonania postanowienia nawet wtedy, gdy jest przekonany o jego niesprawiedliwości. Wszystkie te braki należało usunąć w nowém prawie.

Brak oddzielnych sądów administracyjnych doprowadził do tego, że dziś spory w sprawach podatkowych załatwiają się na najrozmaitszych drogach: albo na drodze czysto administracyjnéj, jak sprawy dotyczące podatku od kapitałów pieniężnych i opłat patentowych od handlu i przemysłu, albo na drodze mieszanéj administracyjno-sądowéj, jak sprawy akcyzne, stemplowe i wynikłe z poboru podatku od mieszkań, — albo téż na drodze czysto sądowéj, jak sprawy o opłaty przy sprzedaży nieruchomości (*kriepostnyja*). Stąd téż prawie dla każdego gatunku podatku istnieją osobne urzędy (*prisutstwja*) z procedurą specyalną i specyalnemi przepisami postępowania, przyczém nawet sprawy drobne trwają niesłychanie długo. Co do podatku patentowego, to obecnie apelacya od kary wyżej 30 rubli wymierzonéj przez izbę skarbową idzie wprost do senatu, a jeżeli kara nie wynosi 30 rubli — do ministeryum finansów, a na postanowienia ministra także do senatu; skargi na postanowienia dotyczące podatku repartycyjnego idą od izb skarbowych do centralnego urzędu przy ministeryum finansów, a stąd także do senatu. Wszystko to nie zaleca się ani prostotą, ani jednorodnością. Oddanie jednak spraw podatkowych zwykłym instytucyom sądowym nie załatwiłoby kwestyi; nie są to bowiem ani przestępstwa kryminalne, ani sprawy czysto prywatnego charakteru i wymagają nietylko znajomości ogólnych praw w państwie, ale jeszcze i znajomości przepisów podatkowych, znajomości rzeczywistych miejscowych warunków handlu i przemysłu, i nakoniec często znajomości zakulisowéj strony życia ekonomicznego w państwie („*Wiest. finan.*", nr. 32, str. 189). Procedura, którąby się zaczynała w sądach okręgowych lub w sądach pokoju i u naczelników ziemskich (w cesarstwie) jest równie niemożliwa. Gdyby inspektorów podatkowych zobowiązano do bronienia interesów skarbu w sądach okręgowych lub sądach pokoju, zabrakłoby im czasu na właściwe ich czynności urzędowe, a utrzymywanie na koszcie skarbu osobnych adwokatów do spraw podatkowych obciążyłoby skarb wielkiemi, a niepotrzebnemi kosztami. Nakoniec oddanie spraw podatkowych zwykłym sądom nie gwarantuje jedności jurysprudencyi, która jednak jest niesłychanie potrzebna zarówno w interesie skarbu, jak i w interesie opodatkowanych, a tém bardziéj obecnie przy wprowadzeniu nowego prawa. Sądzono

wreszcie, że wogóle sądy administracyjne wynikły raczéj na gruncie teoretycznych przekonań o potrzebie „podziału władz," aniżeli z praktycznych względów i potrzeb czy to skarbu, czy samych opodatkowanych. W obec tych względów myśl ustanowienia sądów administracyjnych wogóle i dla podatku przemysłowego w szczególe porzucono. Uznano jednak za konieczne, aby I-a instancya apelacyjna była na miejscu, jak najbliżéj kontrybuenta—nie w stolicy: ani w ministeryum skarbu, ani w senacie.

VI.

Zasadnicze przepisy nowego prawa streścić się dają w następujący sposób:

Podatek przemysłowy (wyraz p r z e m y s ł wzięty tu jest w najobszerniejszém znaczeniu, obejmującém zarówno handel, jak i przemysł fabryczny, rzemiosła, zajęcia osobiste handlowo-przemysłowe) opłacają wszystkie 1) przedsiębiorstwa handlowe, zaliczając do nich instytucye kredytowe i asekuracyjne, pośrednictwo handlowe, dostawy i przedsiębiorstwa czasowe robót (*podriady)*; 2) przedsiębiorstwa przemysłowe, fabryczne, górnicze, rzemieślnicze i transportowe; 3) zajęcia osobiste przemysłowe (§ 1).

Podatek dzieli się na: zasadniczy i dodatkowy (§ 2). Pierwszy pobiera się przez wydawanie świadectw przemysłowych; cena tych świadectw zależy od miejscowości, w których istnieje przedsiębiorstwo i od rodzaju przedsiębiorstwa. Miejscowości dzielą się na klasy, przedsiębiorstwa na rzędy. Podział na klasy i rzędy ustanawia się drogą prawodawczą co lat pięć (§ 3).

Podatek przemysłowy dodatkowy pobieranym będzie (§ 5):

I-o od towarzystw akcyjnych i innych przedsiębiorstw, obowiązanych do ogłaszania swoich sprawozdań w formie:

1) podatku od kapitału;

2) podatku procentowego od zysków.

II-o od wszystkich innych przedsiębiorstw — o ile te wyraźnie w prawie od podatku zwolnionemi nie zostały—w formie:

1) podatku repartycyjnego;

2) podatku procentowego od zysków przewyższających zyski normalne § 149 określone.

Paragraf 6 — wymienia w 46 pozycyach przedsiębiorstwa i zajęcia od podatku przemysłowego zwolnione. Wyliczać ich tu nie będziemy—powiemy tylko, że wyłączenia opierają się nie tyle na teore-

tycznych, ile na praktycznych względach a mają na celu: raz uniknąć opodatkowania dochodów skarbu na rzecz skarbu—powtóre uwolnić od podatku instytucye, zakłady i przedsiębiorstwa nie mające na celu zysków osobistych, ale raczej 1) dobro i pomyślność społeczeństwa, oświatę, zdrowie publiczne, i wzajemne ubezpieczenie od klęsk żywiołowych; 2) rozwój rolnictwa; 3) rozwój wywozu towarów krajowych za granicę—a potrzecie—uwolnić od podatku przemysłowego najmniéj zamożne klasy handlujących i rzemieślników. Punkt 26 zwalnia od podatku kopalnie złota, srebra i platyny—jako opłacające podatek górniczy. Punkt 27 uwalnia rzemiosła i przemysł włościański, o ile te prowadzone są przy pomocy członków rodziny, albo jednego najemnego robotnika.

Rozdział II-gi prawa określa organizacyę i atrybucye władz zawiadujących państwowym podatkiem przemysłowym.

Ogólny zarząd i kontrola nad ścisłém i jednakowém w całém państwie zastosowaniem prawa powierzone zostają ministeryum finansów (§ 8). Przy tém ministeryum przy departamencie handlu i przemysłu tworzy się osobny zarząd podatku przemysłowego, do składu którego wejdą, prócz przedstawicieli ministeryum finansów i osób przez inne ministerya wyznaczonych: 8-iu przedstawicieli opodatkowanych, wybieranych przez komitety giełdowe i zarządy kupiectwa z różnych okręgów państwa a zatwierdzanych przez ministra finansów. Głównem zadaniem tego urzędu będzie zbiéranie, grupowanie i opracowanie materyałów statystycznych, redagowanie memoryałów i rozbiór kwestyi ogólnych, dotyczących opodatkowania handlu i przemysłu w państwie i rozdziału ogólnéj sumy podatku repartycyjnego na gubernie (§ 8—19). Zawiadywanie ogólne podatkiem przemysłowym na miejscu, jest obowiązkiem izb skarbowych. Nadzór nad poborem podatku zasadniczego—patentowego, powierzony jest zarządzającym izbami i naczelnikom wydziału handlowego. Sprawy zaś dotyczące poboru podatku—a raczéj podatków dodatkowych—powierza nowe prawo „ogólnym zebraniom izby skarbowéj” (*obszczija prisutstwia kazionnoj pałaty*) z udziałem w tych zebraniach, z prawami członków, po jednym przedstawicielu: od zarządu akcyzy, od górnictwa, od zarządu ziemskiego, i od zarządu municypalnego miasta gubernialnego—i 6 przedstawicieli opodatkowanych płacących podatki dodatkowe, wybranych: 4 ch przez kupiectwo miasta gubernialnego (lub kupiectwo i komitet giełdowy) i po jednym wybranym przez ziemskie zebranie gubernialne i radę miejską (§ 12).

Skargi na postanowieniu tych ogólnych zebrań podawane będą do gubernialnych lub okręgowych rad podatku przemysłowego, które

pod prezydencyą gubernatora lub vice-gubernatora składać się będą z zarządzającego izbą skarbową, i zarządzającego okręgiem akcyzy, prokuratora sądu okręgowego lub jego pomocnika, prezesa zarządu ziemskiego i prezydenta miasta gubernialnego (lub ich zastępców) i 2-ch przedstawicieli opodatkowanych, wybranych: jeden przez ziemstwo, drugi przez radę miejską. Przy rozpatrywaniu spraw o wymiarze kary za przekroczenia przepisów prawa o podatku przemysłowym ma być powołany na posiedzenie członek sądu okręgowego z prawem głosu— ale przy decydowaniu ani prokurator, ani delegaci opodatkowanych głosu mieć nie będą (§ 15).

Urzędy podatkowe repartycyjne funkcyonują pod przewodnictwem inspektora podatkowego lub jego pomocnika i składają się z przedstawicieli: zarządu akcyznego i górniczego (o ile w okręgu są zakłady górnicze) i z 6-ciu przedstawicieli, płacących podatek repartycyjny—wybieranych (stosownie do obszerności okręgu podatkowego i miejscowości) przez rady miejskie, zebrania kupieckie, lub ziemstwa powiatowe. W stolicach i w innych większych miastach przemysłowych, może minister finansów tworzyć okręgi repartacyjne osobno z większego i mniejszego przemysłu, lub téż z zakładów, należących do specyalnych gałęzi przemysłu i handlu (§ 21). W guberniach, w których niéma ziemstw, ani rad miejskich, przedstawicieli od zarządu ziemskiego i zarządu miasta mianuje gubernator, a przedstawicieli opodatkowanych mianuje gubernator po porozumieniu się z zarządzającym izbą skarbową. W Królestwie Polskiém przedstawiciela zarządu ziemskiego zastępować będzie stały członek miejscowego urzędu do spraw włościańskich, a przedstawiciela zarządu miejskiego — w Warszawie: pomocnik prezydenta miasta, na prowincyi: jeden z radców rządu gubernialnego (§ 22).

Kontrola wykonania prawa leży na obowiązkach: 1) inspektorów podatkowych i ich pomocników; 2) deputatów handlowych (§ 33) wybieranych przez rady miejskie lub nominowanych przez gubernatorów (§ 37), — 3) władz gminnych i wiejskich (§ 38).

Rozdział trzeci zawiera przepisy o zasadniczym podatku przemysłowym, t. j. o patentach, v. świadectwach przemysłowych. Świadectwa przemysłowe muszą być opłacane co roku, dla każdego przedsiębiorstwa handlowego, czy przemysłowego osobno (§ 41); z osobna dla każdego statku i na każde osobiste zajęcie, dla każdéj z osobna dostawy i osobnego przedsiębiorstwa robót, każdego sklepiku i kramiku na jarmarku trwającym dłużéj niż dni 14, dla każdego wozu i paki przenośnéj, z których idzie handel. Prawo ogranicza też liczbę składów towarów, które wolno jest mieć przy jedném przedsiębiorstwie handlowém lub przemysłowém po za obrębem głównego przedsiębiorstwa,

a to zależnie od wysokości opłacanego podatku zasadniczego: przy ilości składów przekraczających tę liczbę, opłaca się podatek dodatkowy od każdego składu (§ 42). Bardzo szczegółowe przepisy określają co należy uważać za „oddzielne przedsiębiorstwo" i „skład oddzielny" (§ 43—52) i jak określoną być ma ilość robotników w tych zakładach przemysłowych, w których ilość robotników stanowi o wysokości podatku. Robotnicy do lat 17 i po latach 65 liczą się po dwóch za jednego; robotnicy pracujący przy dostawie opału, wywozie odpadków i przy czasowych robotach budowlanych, nie liczą się całkiem; liczą się zaś za robotników fabrycznych: wszyscy majstrowie, niżsi oficyaliści nadzorujący i kontrolujący, robotnicy pracujący w warsztatach pomocniczych i pracujący w domu dla fabryki (§ 53).

Osoby, pracujące w handlu i przemyśle nie samodzielnie, opłacają też podatek zasadniczy dwóch kategoryi. Do I-éj należą osoby mające prawo zastępować właściciela czy właścicieli; do II-iéj osoby nie mające tego prawa. W każdém przedsiębiorstwie, którém nie zarządza ani właściciel, ani osoba do rodziny jego należąca, musi być wykupione jedno świadectwo pierwszéj kategoryi (§ 56). Przedsiębiorstwa handlowe IV rzędu nie mogą mieć subiektów handlowych. Tylko przedsiębiorstwa handlowe I-go rzędu i przemysłowe pierwszych trzech rzędów mogą mieć komiwojażerów (§ 57). Osoby, wchodzące do składu zarządów, rad, komitetów nadzorczych, dyskontowych i komisyi rewizyjnych, — zarządzający i zastępcy ich w towarzystwach obowiązanych do składania publicznych sprawozdań, opłacają podatek od dochodu w stosunku 2% od wszelkiego gatunku wynagrodzenia otrzymanego w ciągu roku (§ 58).

Świadectwa przemysłowe są roczne—od 1-go stycznia do 1-go stycznia. Zakłady powstające po 1 lipca, mogą dostawać świadectwa półroczne.

Osobne anneksy do prawa dołączone, podają podział miejscowości na klasy, handlu i przemysłu na rzędy, — i wysokość opłat na świadectwa przemysłowe.

Prócz stolic — prawo ustanawia IV klasy. Z miast w Królestwie położonych, zaliczone są do klasy I—Warszawa i Łódź—do klasy II-éj żadne; do klasy III: – wszystkie miasta gubernialne, Włocławek, Tomaszów, Częstochowa, Pabianice i całe powiaty: Warszawski, Błoński, Kutnowski, Lubelski, Będziński, Brzeziński i Łódzki. Wszystkie pozostałe miasta i powiaty w Królestwie należą do klasy ostatniéj—czwartéj.

Przedsiębiorstwa handlowe dzielą się na V rzędów, stosownie do gałęzi handlu, miejscowości, wysokości kapitału (instytucye kredytowe

i asekuracyjne), wysokości, sumy opłacanéj za lokal, (restauracye, księgarnie) i ilości najmowanych pokojów (kawiarnie, herbaciarnie etc).

Do V rzędu należy handel przewoźny i przenośny—we wsiach—towarami specyalnie w osobnym spisie wymienionemi.

Przedsiębiorstwa przemysłowe dzielą się na VIII rzędów. Klasyfikacya ich obejmuje 101 pozycyi i zasadza się przedewszystkiém na ilości robotników, przyczém uwzględniono dodatkowo: różne rodzaje przemysłu, siłę motorów, sumę średnicy kamieni w młynach, ilość maszyn, ilość ogólną produkcyi (cukrownie i rafinerye, fabryki drożdży i spirytusu, browary i fabryki miodu, kopalnie węgla kamiennego, nafty i soli), sumę opłaconéj akcyzy (fabr. tytoniu) etc.

Do rzędu VIII-go najniższego, zaliczone są: 1) zakłady pracujące z 2—4 robotnikami, z motorem lub bez motoru mechanicznego,—furmani i rybacy mający 2—4 stałych najemników; 2) młyny, w których suma średnic kamieni młyńskich nie przewyższa 50 cali.

Same opłaty unormowane są jak następuje.

I. Świadectwa handlowe:

Rząd I—rb. 500. Każdy skład oddzielny rb. 30 bez względu na miejscowości.

Rząd II samo świadectwo — stosownie do miejscowości od rb. 50 do rb. 150—skład od rb. 10 do 25.

Rząd III—od 10 do 30—i od 2—6; rząd IV od 4—12; rząd V handel przewoźny rb. 20, przenośny 6 rb.

II. Świadectwa przemysłowe. Rząd I—rb. 1500, II—rb. 1000, III—rb. 500, IV—rb. 150, i V—rb. 50 — bez względu na miejscowość. Rząd VI od rb 10—30, VII—od rb. 5—15, VIII—od rb. 2 do 6—stosownie do klas miejscowości.

III. Świadectwa jarmarczne są dwojakie: dla handlu hurtowego i detalicznego—i wynoszą: na jarmarku w N.-Nowogrodzie rb. 100 i 25, na jarmarkach, trwających dłużéj niż dni 20—rb. 50 i 13, na jarmarkach trwających od dni 15—21=rb. 40 i 10.

IV. Dla parostatków stopa podatku stanowi 7 kop. od każdego cala powierzchni ogrzewalnéj kotłów.

V. Ekspedytorzy przy komorach celnych płacą, stosownie do klasy komory, przy któréj pracują od rb. 75 do 150; meklerzy i notaryusze giełdowi: w stolicach rb. 150—w Warszawie, Libawie, Rostowie, Rydze, Kijowie i Odesie po rb. 100, w innych miastach rb. 75; inspektorzy i agenci towarzystw asekuracyjnych od rb. 10 do 35. Pomocnicy handlowi i przemysłowi I kategoryi od rb. 4 do 35,—II kategoryi rb. 4—6 stosownie do klasy miejscowości; komiwojażerowie rb. 50.

Paragrafy 61—70 określają sposób wydawania świadectw przemysłowych, postępowanie w razie ich zagubienia i zmiany właściciela zakładu, i obowiązują do wywieszania świadectw w zakładzie na widocznem miejscu. Następujące §§ 71—90 zajmują się przepisami dotyczącemi kontroli i sprawdzenia opłaty podatku, skreśleniem praw inspektorów i deputatów handlowych przy sprawdzaniu opłaty i postępowaniu w wypadkach odkrycia przekroczeń przepisów prawa. W razie zaszłéj wątpliwości, co do wysokości opłaty, jaką zakład handlowy czy przemysłowy ma wnieść w formie opłaty za świadectwo, wolno jest opłatę tę oznaczyć na podstawie zysku, określonego dla zakładu w roku poprzednim przy opłacie podatków przemysłowych dodatkowych (repartycyjnego i procentowego od normalnych zysków). Specyalny *anneks* określa związek pomiędzy wysokością świadectw i wysokością zysków przedsiębiorstwa. W handlu przedsiębiorstwa dające zyski wyżéj rb. 20,000, powinny opłacać świadectwo I-go rzędu, dające—2,000 do 20,000 stosownie do miejscowości—świadectwo II-go rzędu;—dające rb. 400—6,000—świadectwo III-go rzędu. W przemyśle zyski wyżéj 60,000 odpowiadają świadectwom I-go rzędu, zyski od 40 do 60 tys.—II-go rzędu, od 20 do 40 tys —III-go rzędu od 6 do 20 tys.—V-go rzędu od 2 do 6—VI rzędu bez względu na miejscowość. Paragraf 90 stanowi, że gdyby się okazało, iż zamknięcie zakładu, lub rewizya dokonane były „nieprawidłowo" — to osoba, która je zarządziła, odpowiadać będzie za straty wynikłe z tego powodu dla opodatkowanego.

Rozdział IV zawiera przepisy dotyczące podatku — a właściwie 2-ch podatków dodatkowych płaconych przez przedsiębiorstwa obowiązane do składania publicznie sprawozdań: — podatku od kapitału i podatku od zysków rzeczywistych.

Podatek od kapitału opłacają wszystkie towarzystwa akcyjne, udziałowe i stowarzyszenia zobowiązane do publicznego składania sprawozdań — w wysokości 15 kop. od rb. 100 kapitału zakładowego (§ 91 i 92). Przy opłacie tego podatku potrąca się suma zapłacona przez przedsiębiorstwo za wszystkie świadectwa przemysłowe—i jeżeli suma opłacona za świadectwa jest równą, lub wyższą od obliczonego podatku od kapitału — ten ostatni nie pobiera się całkiem (§ 83). Za kapitał zakładowy uważa się nominalna wartość kapitału akcyjnego, udziałowego i innych, zastępujących ich miejsce, podana w sprawozdaniu za ostatni upłyniony rok rachunkowy. W stowarzyszeniach, opartych na wzajemności, niemających kapitału zakładowego — wypuszczających listy zastawne i obligacye,—za kapitał zakładowy uważa się $^1/_{10}$ część obligacyi lub listów zastawnych w obieg wypuszczonych (§ 96).

Przedsiębiorstwa obowiązane do publicznych sprawozdań, płacą jeszcze podatek od zysków rzeczywistych o ile te wynoszą więcéj, niż 3% ich zakładowego kapitału. Od zysków 3% i niższych podatku nie płacą, zaś od zysków przewyższających 3% płacą (§ 98):

1) przy zyskach:

3 — 4%	. . . .	3% zysku
4 — 5%	. . . .	4 „
5 — 6	. . . .	$4^1/_2$ „
6 — 7	. . . .	5% „
7 — 8	. . . .	$5^1/_2$ „
8 — 9	. , . .	$5^3/_4$ „
9 —10	. . . .	6% „

2) Przy zyskach przewyższających 10% opłacają: 6% od ogólnéj sumy zysków i prócz tego 5% od sumy zysków przewyższających 10% kapitału (§ 98).

Paragraf 101 określa co jest zyskiem czystym, jakie wydatki i jak wielka amortyzacya budynków i maszyn może być odpisywana z zysków ogólnych przedsiębiorstwa. Prawo określa termin składania sprawozdań, sposoby ich ogłaszania i terminy dostarczania objaśnień i dopełnień na żądanie władzy.

Paragraf 110 stanowi, że w razie, gdyby sprawozdanie nie było złożone władzy w sześć miesięcy po upływie wskazanego przez prawo terminu, albo gdyby zjawiła się wątpliwość co do prawidłowości samego sprawozdania—a także, w razie niejasności i niedokładności dostarczanych przez zarządy towarzystwa wiadomości dodatkowych i objaśnień, — zarządzający izbą skarbową ma prawo—za zgodą ministra finansów—zażądać rewizyi ksiąg handlowych i samego zakładu. Rewizyi téj dokonywa prezes izby skarbowéj w towarzystwie jednego z członków téj izby i w obecności zarządzającego, dyrektora, lub przedstawiciela towarzystwa.

Skargi na postanowienia gubernialnych i okręgowych urzędów podatkowych mają być zanoszone do rządzącego senatu (§ 114). Sprawozdania i bilanse towarzystw zobowiązanych do ich ogłaszania przedstawiane być mają wedle form i szematów zatwierdzanych przez ministra finansów, po porozumieniu się z kontrolerem państwa i innemi właściwemi władzami (§ 103).

Przedsiębiorstwa handlowe i przemysłowe nie zobowiązane ani do składnia publicznych sprawozdań, ani do przedstawienia ich na zatwierdzenie władz, zatém wszystkie przedsiębiorstwa ściśle prywatne, opłacają 2 dodatkowe podatki: repartycyjay i od zysków.

Podatek repartycyjny opłacają wszystkie przedsiębiorstwa nie składające publicznych sprawozdań (§ 91), a więc i przedsiębiorstwa

skarbowe, od podatku wyraźnie nie zwolnione, i wszystkie przedsiębiorstwa prywatne przemysłowe i handlowe. Od opłaty podatku zwolnione są tylko: 1) niektóre okręgi Syberyi i kraju Zakaukaskiego, gdzie zamiast podatku repartycyjnego pobierany będzie podatek dodatkowy w wysokości 25% podatku patentowego zasadniczego; 2) nowe przedsiębiorstwa powstałe po 1 kwietnia roku ubiegłego; 3) zakłady handlowe IV i V rzędu i przemysłowe VII i VIII rzędu, i przedsiębiorstwa parostatkowe, o ile suma powierzchni ogrzewalnych w kotłach wszystkich statków przedsiębiorstwa nie przenosi 300 stóp kwadratowych; 4) przedsiębiorstwa, dające w sumie ogólnéj dochód mniejszy od 100 rb. w miejscowościach IV klasy, 150 rb. — w III kl., 200 rb. — w II kl., 250 rb. — w I kl. a 300 rubli w stolicach, a także przedsiębiorstwa parostatkowe dające dochód nie wyższy od 200 rb.; 5) ekspedytorzy przy komorach celnych, agenci giełdowi i giełdowi notaryusze, których dochód nie przewyższa dwa razy wziętego, zapłaconego przez nich podatku zasadniczego (patentowego) (§ 115, 116). Nakoniec urzędy podatkowe mają prawo zwolnić od opłaty podatku repartycyjnego za dany rok przedsiębiorstwa, które złożą dowody na to, że znajdują się w wyjątkowo nieszczęśliwych warunkach (§ 117).

Ogólna suma podatku repartycyjnego, mająca być pobrana w całém państwie, ustanawia się w drodze prawodawczéj raz na 3 lata. Suma ta ulega corocznie zmniejszeniu o tę ilość podatku, jakaby przypadała od przedsiębiorstw prywatnych, które zadeklarowały (§ 152), że pragną ulegać opodatkowaniu od kapitału i rzeczywistego zysku, narówni z towarzystwami akcyjnemi (§ 119). Sumę ogólną podatku repartycyjnego minister finansów rozdziela co rok na gubernie, a to na zasadzie przedstawienia osobnego urzędu do spraw podatku przemysłowego i po porozumieniu się z ministrami: rolnictwa, spraw wewnętrznych, wojny, dóbr państwa i z kontrolerem państwa. Podział sum gubernialnych na okręgi podatkowe uskutecznia co roku ogólne zebranie izby skarbowéj, kierując się przytém zasadami podziału za lata poprzednie, danemi za rok bieżący: o ilości przedsiębiorstw, ich obrotach i zyskach w okręgu, a także ogólnemi wskazówkami o stanie miejscowego handlu, przemysłu i rolnictwa, widokami urodzajów i wydarzonemi w okręgu klęskami, jak: pożary, epidemie etc. (§ 121). Ogólne zebranie izby skarbowéj dzieli przedsiębiorstwa prywatne, opłacające podatek repartycyjny, na grupy wedle rodzaju i gatunku przedsiębiorstw. Urzędy okręgowe ustanawiają dla każdéj grupy procent normalnego zysku od obrotu, który zatwierdza ogólne zebranie izby skarbowéj.

Każde przedsiębiorstwo handlowe I i II rzędu i każde przedsiębiorstwo przemysłowe I do V rzędu, a w stolicach i przedsiębiorstwa handlowe III i przemysłowe IV rzędu, obowiązane są co roku, nie później jak 1 kwietnia, podać do urzędu podatkowego deklaracyę wedle przepisanéj formy co do sumy obrotu przedsiębiorstwa. Cechami wskazującemi wielkość przedsiębiorstwa mogą być: wielkość lokalu, suma płacona za jego najem i za najem służących i pomocników, ilość robotników i maszyn, spotrzebowanego materyału i wyprodukowanego towaru (§ 125).

Podstawą zaś do obliczania obrotu powinny być w interesach: bankierskich—ogólna suma operacyi aktywnych, handlowych — suma ogólna wartości towaru sprzedanego za gotowiznę i na kredyt, w dostawach — suma dostaw, w fabrykach — ogólna wartość produkcyi, w przedsiębiorstwach transportowych: suma rocznego dochodu.

Urzędy podatkowe repartycyjne zbiérają dane potrzebne do sprawdzenia deklaracyi. Prezesom ich służy prawo żądać od podających deklaracye objaśnień, zbierać wiadomości od osób trzecich, władz, urzędów, instytucyi rządowych i gminnych; rewidować i oglądać same przedsiębiorstwa wobec właściciela lub jego pełnomocnika i nakoniec, w razie konieczności i za zgodą opodatkowanego, przeglądać jego księgi handlowe: dziennik, księgę kasową i księgę główną, a w instytucyach kredytowych i księgi dotyczące czynności aktywnych. Po sprawdzeniu deklaracyi i ustanowieniu cyfr obrotu, urząd podatkowy oznacza średnie zyski, — zakładu lub przedsiębiorstwa ulegające opodatkowaniu.

Opodatkowany ma prawo żądać, aby oznaczenie zysków dokonane było na zasadzie jego zysków rzeczywistych i obowiązany jest wtedy złożyć albo swoje księgi handlowe, albo rejentalne z nich wyciągi, które urząd podatkowy sprawdzić ma prawo (§ 129). Dla pozostałych opodatkowanych zyski obliczają się na podstawie średnich norm zysków przez izbę skarbową zatwierdzonych. Urząd podatkowy ma obowiązek uwzględnić wyjątkowo pomyślny lub niepomyślny przebieg operacyi przedsiębiorstwa za rok ubiegły i ma prawo podnieść do 50% normalną średnią jego zyskowność lub też ją obniżyć, albo też uwolnić przesiębiorstwo całkiem od podatku repartycyjnego z objaśnieniem motywów postanowienia w protokóle.

Opodatkowani, prowadzący kilka przedsiębiorstw, mają prawo żądać (decyzyę w téj mierze wydaje ogólne zebranie izby skarbowéj) opodatkowania ich proporcyalne do łącznego zysku wszystkich ich przedsiębiorstw (§ 152).

Suma podatku, wyznaczona na okrąg, musi być rozdzielona na wszystkich opodatkowanych okręgu bez reszty, proporcyonalnie do obliczonych ich zysków.

Po dokonaniu repartycyi urząd podatkowy rozsyła opodatkowanym zawiadomienia o obliczonéj dla każdego sumie zysków i podatków, a jednocześnie przedstawia projekt repartycyi do izby skarbowéj na zatwierdzenie. Kontrybuentom wolno jest w ciągu miesiąca wnosić do izby skarbowéj skargi na wysokość oznaczonego dla nich podatku. Izba skarbowa po sprawdzeniu projektu repartycyi i po rozpatrzeniu skarg wniesionych, ewentualnie poprawia projekt repartycyi, lub zatwierdza go i rozsyła opodatkowanym wezwania wniesienia podatku (§ 133—142). Podatek wniesiony być powinien przed 1 października każdego roku. Skargi na postanowienia izby skarbowéj zanoszą się— jak to wyżéj powiedziano — do gubernialnych lub okręgowych izb podatkowych. Suma podatku repartycyjnego umorzona po zatwierdzeniu przez izbę skarbową repartycyi dodaje się w roku następnym do sumy wypadłéj z rozkładu podatku na gubernię.

Przy rozdziale sumy gubernialnéj podatku repartycyjnego przez ogólne zebranie izby skarbowéj na okręgi podatkowe i grupy, i przy zatwierdzeniu procentów średniéj zyskowności—na posiedzenia ogólnego zebrania izby mają być wezwani: 1) na prawach członka—zarządzający miejscową izbą obrachunkową (*kontrolną*); 2) w razie potrzeby i z głosem doradczym—prezesi okręgowych urzędów podatkowych repartycyjnych (t. j. inspektorowie podatkowi); 3) biegli, o ile można, ze wszystkich gałęzi handlu i przemysłu. Biegli ci powinni być téż powoływani obowiązkowo na posiedzenia urzędów okręgowych przy decydowaniu wszelkich kwestyi, dotyczących określenia zysków (§ 147).

Podatek procentowy od zysków opłacać mają wszystkie przedsiębiorstwa, ulegające podatkowi repartycyjnemu, za wyjątkiem: 1) handlów hurtowych i fabryk: wina, spirytusu i innych towarów, ulegających opłacie akcyzy; 2) przedsiębiorstw handlowych III rzędu i przemysłowych VI rzędu w miejscowościach IV klasy i 3) przedsiębiorstw osobistych. Podatek ten pobierany być ma od téj części czystych zysków przedsiębiorstwa, która przewyższa sumę, wypadającą z pomnożenia sumy podatku zasadniczego (patentowego), wniesionego przez przedsiębiorstwo, przez 30. Podatek wynosi 1 rubla od każdych 30-tu rubli zysku; oblicza się jednocześnie z podatkiem repartycyjnym i jednocześnie z nim pobiéra.

Paragraf 152 prawa stanowi: że spółki zwyczajne i komandytowe, przedsiębiorstwa handlowe I rzędu i przemysłowe pierwszych trzech rzędów, opłacające podatek repartycyjny, mogą żądać od izby skarbo-

wéj zwolnienia ich od podatków: repartycyjnego i procentowego od zysków (na zasadzie średnich norm zysków) i opodatkowania ich narówni z przedsiębiorstwami obowiązanemi do składania sprawozdań,—a więc nałożenia na nich podatków: od kapitału i zysków rzeczywistych, a to o tyle, o ile złożą dowody stwierdzające wysokość ich kapitałów i zobowiążą się do corocznego składania sprawozdań według form ustanowionych przez władzę.

Ostatni — szósty rozdział prawa mówi o niedoborach i karach za przekroczenie przepisów.

Kary za opóźnienie w opłacie podatku wynoszą 1% za każdy już zaczęty miesiąc. Ogólne zebrania izb skarbowych mają prawo podatek odraczać i rozkładać na raty.

Kary za przekroczenia przepisów wynoszą dwa lub trzy razy wziętą sumę niezapłaconego podatku, albo téż 10 do 300 rubli kary, stosownie do przekroczenia. Kary za przekroczenie przepisów o podatku przemysłowym zasadniczym wymierza izba skarbowa, a za przekroczenie przepisów o podatku dodatkowym ogólne zebrania izby skarbowéj. Skargi na postanowienia zarówno izby, jak i ogólnego jéj zebrania, rozpoznaje gubernialny lub okręgowy urząd podatkowy, a skargi na postanowienia tego urzędu wnoszą się do rządzącego senatu (§ 153 — 179).

Szczegółowe przepisy co do postępowania przy wydawaniu świadectw przemysłowych, co do określenia zysków rzeczywistych i średnich, obrotów i sposobów repartycyi, a także co do kontrolowania, sprawdzania, zbierania wiadomości i t. d. i t. d., mają być podane w instrukcyach, które zatwierdzi minister finansów, po porozumieniu się z kontrolerem państwa i innemi właściwemi władzami. Instrukcye te będą ogłoszone przez rządzący senat.

* * *

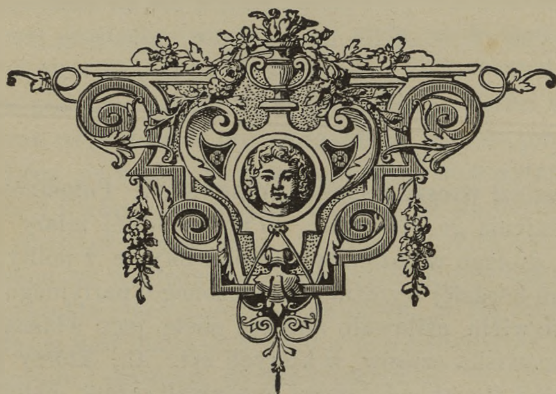
W opinii rady państwa dołączonéj do tekstu prawa znajdujemy jeszcze rozporządzenia dotyczące świadectw kupieckich (punkt IV). Na mocy tych rozporządzeń osoby mające obecnie prawo być zapisanemi do stanu kupieckiego, mogą zachować swe prawa: kupców I-éj gildyi, jeśli opłacając podatku zasadniczego (patentowego) więcéj, niż rb. 500, wykupią „świadectwo należenia do stanu kupieckiego” za cenę rb. 50,—i kupców II-éj gildyi, jeśli płacąc podatku zasadniczego więcéj niż rb. 50—wykupią świadectwo kupieckie za rb. 25.

Taż sama opinia rady państwa stanowi, że nowe prawo wejdzie w wykonanie z d. 1 stycznia 1899 r., ale wydawanie świadectw prze-

mysłowych i handlowych, również jak i pobór opłat dodatkowych na korzyść zarządów miejscowych (ziemskich i gminnych) mają się dokonywać już w roku bieżącym na zasadzie przepisów nowego prawa.

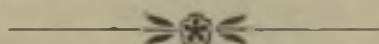
Co się tyczy tych opłat dodatkowych na korzyść ziemstw i gmin, to rada państwa poruczyła jednocześnie, aby ministrowie finansów i spraw wewnętrznych przygotowali w jak najkrótszym czasie projekt nowego prawa w tym przedmiocie, i wydała szereg przepisów, obowiązujących tymczasowo do chwili zatwierdzenia nowego prawa (p. I i II).

St. P.



GIACOMO LEOPARDI.

W setną rocznicę urodzin poety.



(Dokończenie) *).

Poeta znalazł wreszcie spokój upragniony. Potomności pozostało zadanie ocenienia go, stosownie do niepospolitéj miary jego dzieła. Zabiérano się do tego w rozmaity sposób, zwykle z polityczno-religijnego, mniéj lub bardziéj wyraźnie zaznaczonego, partyjnego punktu widzenia [1]). Nie wielu usiłowało mierzyć poetę jego własną miarą, sądząc go ze stanowiska czasów, w których żył. Ci, którzy przykładali doń miarę jakiéjkolwiekbądź partyi, wydawali o nim, naturalnie z rozmaitych względów, sąd w wysokim stopniu niekorzystny. Leopardi nie był politykiem i nie należał wogóle do żadnéj partyi. Już we wczesnéj młodości zajął on stanowisko zwątpienia, nietylko wobec swego narodu, lecz i wobec całego świata. Jeżeli mu więc dążenia włoskiéj partyi liberalnéj były obce, nie były mu one wszakże obojętnemi i — jak tego wyżéj dowiodłem — było wielkim błędem wnioskować z jego milczenia wobec wielkich współczesnych mu zagadnień o wyparciu się wierzeń, którym dał tak jasny i piękny wyraz w pierwszych swych poezyach. Podobnież nie może on być sądzony z jakiegokolwiekbądź bezwzględnego religijnego punktu widzenia. Był on filozofem, tak wie-

*) Patrz zeszyt wrześniowy „Ateneum“ r. b., str. 484.

[1]) Najsilniéj napastował poetę *Padre* Solimani, „*Filosofia di G. Leopardi raccolta e disaminata.*“ Imola, 1853.

rzącym w swe metafizyczne idee, jak inni w Ewangelię, w Koran i w Buddę. A zwłaszcza to mu zarzucają. Wobec zaś dowodzenia innych, jakoby poeta miał się tym wierzeniom swym sprzeniewierzyć (np. Ruth. „Historya Włoch", t. I, str. 332), nadmienić tu musimy, iż twierdzenie to okazało się wymysłem Jezuitów, którzyby chętnie przypisać sobie chcieli nawrócenie człowieka takiéj miary [1]).

W dziejach piśmiennictwa włoskiego Leopardi jest uważany przez Ebersa, Rutha i wielu innych za klasyka, w przeciwieństwie do rozkwitającéj tamże, podobnież jak i w Niemczech, w początkach bieżącego stulecia, szkoły romantycznéj. W pierwszych płodach swéj twórczości przymykał się do Alfieriego, wszakże niebawem zupełnie odrębną, swoją własną, poszedł drogą. Giordani, o czém już wyżéj nadmienialiśmy, uważał go poprostu za Greka, przeznaczonego do pojawienia się na ziemi, w czasach Peryklesa i Anaxagorasa i, dzięki jakiemuś nieporozumieniu, zachowanego do tych ostatnich smutnych dni Italii. Wszakże na ten pogląd zgodzić się nie możemy. Istotnie Leopardi w swéj prostocie i wspaniałości stylu, w konsekwencyi i jasności myśli, w niewyszukaném i naturalném obrazowaniu, we właściwym, pełnym godności patosie i w plastycznéj nagości swych poglądów, zwłaszcza w pismach prozaicznych ma coś, co przypomina starożytnych. Lecz po zatém jest on nawskroś nowożytnym pisarzem, zajmującym pod wieloma względami odrębne od starożytnych stanowisko, głęboko wrosłym w czas swój i we własny subiektywizm. Nienawiść, okazywana ze względu na przestarzałe pojęcia każdéj powadze, właściwość uważania tylko tego za prawdziwe, co się samemu poznało i przeżyło, wogóle kult indywidualizmu w przeciwieństwie do kultu społeczeństwa, narodu i państwa, wreszcie głębokość umysłu, któréjbyśmy napróżno u starożytnych szukali, charakteryzują go, jako poetę nowożytnego, jako dziecię swego czasu.

Czas, na który przypada jego rozwój i działalność piśmiennicza— to okres Restauracyi, która po uciszeniu się burz rewolucyjnych i zwaleniu w proch ich reprezentanta, usiłowała ująć narody w dawne karby i w imieniu prawa z Bożéj łaski oraz kościelnego, najokropniéj tyranizowała ciała ich i dusze. Działo się to pod obłudną firmą świętego przymierza. Nigdzie tyrania ta nie przejawiała się surowiéj niż we Włoszech, gdzie duchowieństwo w połączeniu z obcemi dynastyami Burbonów i Habsburgów utrzymywało stworzony przez siebie t. zw. po-

---

[1]) Patrz gruntowne zbicie wszystkich tych fałszów w dziełach: Gioberti V. „*Il Gesuita moderno*", Firenze, 1848, Vol. I, str. 170 i nast., oraz „*Opere di A. Ranieri. Supplemento alla notizia*" i t. d. Milano, 1864, t. III, str. 161 i nast.

rządek, przy pomocy więzienia, wygnania, rusztowania, prochu i ołowiu. Partya przeciwna, dla położenia kresu temu stanowi rzeczy, posługiwała się takiemi środkami, jak tajemne związki, sprzysiężenia i rewolucye.

Naturalnie, że piśmiennictwo przyjmowało żywy udział w téj walce. Nauczanie, jakoby sztuka sama dla siebie miała być celem, któreby do kwietyzmu Goethego doprowadzić musiało, zarzucono oddawna, — nowsze czasy przekonały się, że posłannictwem literatury jest współdziałanie w odrodzeniu narodów. Podobnież jak w Niemczech, utworzyła się i we Włoszech partya, która wobec haniebnego bankructwa w czasach rewolucyi ideałów XVIII w., głosiła powrót do ideałów średniowiecznych, uważając szkołę romantyczną za pojednanie uroszczeń nowożytnych czasów z dawnemi instytucyami. We Włoszech partya ta powszechnie jest nazywana szkołą lombardzką, ponieważ jéj siedzibą bywał przeważnie Medyolan. Organ téj partyi „*Conciliatore*” samym tytułem swym zapowiadał jéj kierunek. Głównymi przedstawicielami literatury pięknéj byli tu: Alessandro Manzoni, Tommaso Grossi i Silvio Pellico, — historyi zaś oraz polityki: Cesare Cantu, Cesare Balbo, Carlo Troja i Vincenzo Gioberti. Już tutaj wspominamy o tych dążeniach, pomimo że dopiéro po rewolucyi lipcowéj poczęto energiczniéj działać w tym kierunku. Myślą ich zasadniczą było wzmocnienie, specyalnie katolickiego, poczucia religijnego, pojednanie papiestwa z ideałami nowych czasów, wreszcie zjednoczenie, związek lub téż odrodzenie Włoch z reformowaném papiestwem na czele—idea, która miała w końcu znaléść urzeczywistnienie w ofiarowaniu tyary papieskiéj Mastai Ferretti’emu (Piusowi IX), na to, by niebawem fatalnemu uledz rozbiciu.

Niezależnie od tego dążenia, opanowywał umysły z czasów restauracyi inny jeszcze kierunek, który częścią chwilowo tylko owładnął duchami chwiejącemi się w przystępie zniechęcenia pomiędzy nadzieją i złudzeniem, częścią zaś, przenikając do głębi istoty, brał myśl w wyłączne posiadanie. Był to kierunek, który, zwątpiwszy o poprawie istniejącego stanu rzeczy, rzucał się w ramiona najbardziéj beznadziejnéj ze wszystkich filozofii, polegającéj na przeczeniu wszelkiego ludzkiego szczęścia. Leopardi jest najbardziéj konsekwentnym przedstawicielem tego systematu, przy którym nie sam tylko stoi.

Tenże kierunek znajdujemy w tym okresie w Niemczech, Anglii, Francyi, Hiszpanii oraz w krajach słowiańskich, rozpowszechniony w miejszym lub większym stopniu, śród przedstawicieli ducha owego czasu i wystarczy wspomnieć tu imiona Byrona, Platena, Lenaua, Heinego, Musseta, Puszkina, Lermontowa, Mickiewicza, Słowackiego

i Schopenhauera dla zaznaczenia, że Leopardi, równie dobrze jak każdy z nich, był dziecięciem swego czasu i należną płacił mu daninę. Był zaś to okres panowania „*Weltschmerzu*".

Zapewne wielu z czytelników uśmiechnie się przy tym wyrazie, na wspomnienie przesady, wysilania się, afektacyi, miejscami zaś i nieprawdziwości tego kierunku. Nie przychodzi im na myśl, od jak dawna *Weltschmerz* jest znany; spotykamy go już w starym testamencie, u Indusów i Greków starożytnych; nie przychodzi im na myśl, iż trawił on niemal wszystkie wielkie duchy (że wspomnimy tylko „Werthera", „Prometeusza" oraz „Fausta" Goethego), iż nastrój stanowiący jego zasadę nie został z duszy człowieka wykorzeniony i nieraz jeszcze w rozwoju ludzkiego pokolenia powracać będzie, jak to dawniéj niejednokrotnie miejsce miało. Czémże inném, jak nie *Weltschmerzem* jest to, co czytamy w księdze, któréj autorstwo przypisuje się królowi Salomonowi, przedstawicielowi najwyższego szczęścia ziemskiego u Żydów, a którą nie bez słuszności odnoszą do czasów restauracyi państwa: „Ja kaznodzieja byłem królem Izraelskim w Jeruzalem, y umyśliłem w sercu moim szukać y dowiadować się mądrze o wszytkim, co się dzieie pod słońcem. Tę zabawę nagorszą dał Bóg synom człowieczym, aby się ią trapili. Widziałem wszytko co się dzieje pod słońcem: a oto wszytko marność y utrapienie ducha. Mówiłem ia w sercu moim: Póydę a rozpuszczę się w rozkoszach, y będę zażywał dobra. Y widziałem, że y to iest marność. Przyszedłech abych oglądał mądrość y głupstwa y szaleństwa y obaczyłem, iż tak dalece mądrość przechodzi głupstwo, iako różna jest światłość od ciemności, y poznałem, iż jednakie jest obu dokończenie. Y rzekłem w sercu swym: Jeśliż iedno będzie y głupiego y moie dokończenie: cóż mi pomoże, żem się więcey o mądrość starał? y rozmawiaiąc z sercem swoim obaczyłem, że y to iest marność. Nie będzie bowiem pamięci tak mądrego iako y głupiego na wieki, a potomne czasy zapomnieniem wszytko zarówno pokryią: umiera uczony, także iako nieuczony. A dla tegoż omierzł mi żywot móy, widząc, że wszytko złe jest pod słońcem, y wszytko iest marność y utrapienie ducha." Daléj znów: „Przetóż iednakie iest dokończenie człowieka y bydląt, y równy stan oboyga: iako umiera człowiek, tak y one umierają: y iednako tchną wszytkie, y niema człowiek nic więcey nad bydlę: wszytko podległo marności. Y wszytko idzie na iedno mieysce. Z ziemie są uczynione, y w ziemię się iednako obracają. Któż wie, ieśli duch synów Adamowych wstępuje wzgórę, a ieśli duch bydlęcy zstępuie na dół?" I wreszcie: „A chwaliłem więcey umarłe, niźli żywe, a miałem za szczęśliwego nad obudwu, który się ieszcze nie narodził, ani wiedział złego, które się dzieie pod słońcem." Czyż można znaleść

pogląd na życie przejęty większém zrozpaczeniem, niż ten, głoszony przez króla Salomona? I u Hioba i u Proroków znajdujemy podobne zapatrywania.

Indusi nauczają, że śmierć jest najlepszym z darów życia, że dopiéro zabicie świadomości samego siebie przywraca życie człowiekowi, oraz że roztopienie osobowości w Nirwanie, téj duszy wszechświata, jest życia zadaniem. Nauka ta chce ból z bytem związany odkupić bólem dobrowolnym.

I śród pogodnego ludu Hellenów oddawna spotykamy liczne zdania, świadczące o nędzy ludzkiego bytu, o tęsknocie za śmiercią i o bezskuteczności wszelakich dążeń. Pięknem jest miejsce u Homera („Iliada", XVII, w. 443—448), kiedy Zeus mówi do koni Achillesa, śmiercią Patrokla zasmuconych:

„Biedne, wy biedne! i czemużem was Pelejowi darował,
Śmiertelnikowi, gdy wy nieśmiertelne i młode wieczyście?
Żebyście teraz niedolę musiały z ludźmi ponosić?
Bo też z tego wszystkiego, co żyje i dyszy na ziemi,
Niemasz nic od człowieka lichszego i żałośniejszego" [1]).

Sokrates rozwodzi się u Platona (*Apologia Socratis*) szczegółowo nad życiem i mówi, że śmierć, choćby nas na zawsze pozbawiała samowiedzy, byłaby i tak wielkiém dobrodziejstwem, ponieważ głęboki sen, marzeń sennych pozbawiony, bardziéj jest pożądany, aniżeli najszczęśliwsze życie. Nie trudno byłoby zebrać z greckich tragików całą wiązankę zdań podobnych. Poprzestajemy na przytoczeniu tu słów chóru z „Edypa w Kolonie" Sofoklesa:

„To najlepszy dla człeka los przecie,
By się wcale nie rodził na świecie;
Albo gdy się raz na świat urodzi,
Niech czemprędzéj, skąd przybył, od-
[chodzi,
Bo zaledwie nastanie wiek młody,
Idą głupich obłąkań przygody;
A któż z biednych pątników na ziemi
Zdoła życie uchować przed niemi?...
To mu nędza doskwiera, to zwady,
To morderstwa, to zawiść mu w ślady;
Aż nareszcie zgrzybiała, płaczliwa,
Znów bezwładna doń starość przybywa,
Bezprzyjazna i pełna boleści:
Która, słowem, wszelakie złe mieści [2]).

Niewątpliwą reminiscencyę tego miejsca znajdujemy w wierszu Leopardiego „Zachód księżyca" (w. 44—60) [3]). Z liryków wymieniamy Theognisa i Posidippa, oraz wiersz uważany za utwór Aesopa („*Die elegischen Dichter der Hellenen*". Frankfurt a. M., 1826); wiele zdań,

---

[1]) Przekład Stanisława Mleczki.

[2]) Przekład Kazimierza Kaszewskiego.

[3]) Przekład Wł. Nawrockiego. „Tyg. Ilustr.", 1898 r., nr. 27.

z których niejedno dałoby się tu zastosować, znajduje się również w „*Stobaei Florilegium*" (wyd. Teubnera, Serm. 120, po zatém w rozdziałach: „O śmierci", „Porównanie życia ze śmiercią" i „Porównanie bogactwa z ubóstwem").

Cóż innego streszcza monolog Hamleta: *to be, or not to be* — jak nie to: Śmierć lepszą jest niż życie; lecz nie wiemy, czy śmierć jest snem pozbawionym sennych marzeń. Jest to jedyny powód, dla którego znosimy naszą niedolę i nie kładziemy samobójstwem kresu naszemu żywotowi.

Pomijając właściwy okres *Weltschmerzu* i u nowszych poetów znajdujemy liczne skargi na nieużyteczność i bezcelowość życia, bunty przeciw Bogu i przeznaczeniu, pragnienie śmierci oraz cały szereg stanów ducha, w których *Weltschmerz* początek bierze, poczynając od łagodnéj melancholi Hölty'ego i Matthissona aż do rozpaczy Werthera, Prometeuszowego opiérania się Bogu i sojuszu z piekłem Fausta. Jest to wszakże olbrzymi krok od przelotnego usposobienia, w którém znajdował się Goethe, a które uległo przejednaniu i ustąpiło miejsca pełnemu harmonii nastrojowi, do trwałego stanu ducha, tworzącego skończoną filozofię rozpaczy, posępne tło dla całego poglądu na życie. Krok ten został dopiéro uczyniony w bieżącém stuleciu. *Weltschmerz* znalazł tak potężny wyraz dopiéro w Leopardim, którego wszystkie poezye i pisma filozoficzne zajmują się tym jednym tematem: nędzy ludzkiego żywota, bezcelowości bytu, tryumfu zła nad dobrem i słodyczy śmierci. Życie człowieka maluje on w tych słowach:

„Staruszek siwy, drżący,
Bosy, w zdartéj odzieży
Z nielitościwym na plecach ciężarem
Przez góry i doliny,
Po ostrych skałach, po piaskach i krza-
[kach,
Po burzy, wichrze, raz palony żarem,
Raz chłodem siny
Pnie się strudzony, bieży,
Po grzęzkich brodzi młakach,
Upada, wstaje i znów śpieszy prędzéj,
Ni raz się nie pokrzepi,
Ni raz nie spocznie;—aż gdy się dobije,
Gdzie ta przemożna męka
Kończyć się zdaje i już piąć się lepiéj,
U nóg mu się odkryje
Przepaść; w nią wpadłszy, zapomina nę-
Taka czeka [dzy.
Marność życie człowieka".

Ludzkością, podług Leopardiego, rządzi ślepy los, złe zwycięża częściéj niż dobre, przyroda jest poddana prawom, których słucha, nie dbając o złą czy dobrą dolę człowieka, który koniecznie, z własnéj swéj natury, musi zostać nieszczęśliwym. Cel istnienia świata pokryty

[1]) „Śpiew koczującego po Azyi pasterza" (wyjątki podane są w przekładzie E. Porębowicza).

jest niemożliwą do przeniknięcia tajemnicą, „wszystko dokoła się zmienia, nic na świecie pewnego niema, prócz — cierpienia”. Dopóki człowiek nie poznał prawdy téj w młodości, dotychczas, jak powiada Leopardi, idzie jeszcze przez życie z tém złudzeniem przy boku, jest szczęśliwym; po za tém jedynie miłość szczęśliwym go czyni. O niéj to powiada poeta:

„. . . . . Miłości! Pomnę ja czas drogi,
Gdyś mi w serdeczne wstępowała progi.
Był to ów słodki czas, a niepowrotny,
Gdy się młodości otwiéra okrutny
Świat, ale rajskim śmiechem uśmiechniony:
Młodzieńczyk słyszy w sercu żądzy dzwony,
Uczuwa szczęścia dziewicze nadzieje
I opasuje się, jak na turnieje,
Na te żywota zapasy mozolne“ [1]).

W innym znów wierszu mówi, zwracając się do miłości:

„Jaką samotną postać
Ma dusza ma od chwili,
Gdyś raz ostatni raczyła w niéj postać!“ [2]).

Lecz miłość znika, podobnież jak i młodość, życie zaś wlecze się daléj śród bólu, obrzydzenia, niechęci i nudy, tak, iż po przebudzeniu się ze snów młodości, śmierć jest najlepszą.

Opowiadając życie poety, kładliśmy wielki nacisk na smutne jego szczegóły i zatrzymaliśmy się przy nich dłużéj, może nie zawsze z zadowoleniem czytelnika. Niejednokrotnie uważaliśmy téż za właściwe ustępować głos samemu poecie, dla pokazania, jak koleje tego żywota wpływały na urobienie się jego poglądów. W istocie i poezya i filozofia Leopardiego są nawskroś subiektywne; i w jednéj i w drugiéj jest on lirykiem, znającym wszakże tylko jedną strunę ludzkiego serca — strunę boleści; struna wesela obcą mu była z téj prostéj przyczyny, że całe jego życie było łańcuchem nieznośnych cierpień. Wprawdzie wypiéra się poeta téj podstawy swych poglądów poetyckich i filozoficznych, zaprzeczając w wierszu „Odwołanie” oraz w liście, pisanym do L Sinnera, jakoby filozofia jego miała grunt subiektywny. W liście tym powiada (*Epistolario*, II, str. 191): „Doszedłem w mych badaniach do rozpacznéj filozofii i nie wahałem się objąć ją całą; z drugiéj strony dowód to tchórzliwości ludzi, którzy potrzebują być przekonani o wartości egzystencyi, że chcą uważać moje filozoficzne opinie za wynik

---

[1]) „Życie samotne“ } wyjątki podane są w przekładzie E. Porębowicza.
[2]) „Myśl dominująca“ }

osobistych cierpień i upiérają się w przypisywaniu mym stosunkom materyalnym tego, co z rozumu jedynie się wysnuło. Nim umrę, muszę zaprotestować przeciw podobnym odkryciom słabości i pospolitości i prosić moich czytelników, aby szukali fałszu raczéj w mych obserwacyach i dowodzeniach, niż oskarżali moje choroby."

Wszakże wbrew temu protestowi stajemy po stronie tych, którzy są odmiennego zdania. Pomijając to, że Leopardi nie był nieugiętym, chłodnym człowiekiem rozumu, za jakiego, mianowicie w swych pismach filozoficznych się podaje, pomijając to, iż jedynie zawód w gorącém pożądaniu szczęścia, zbudził w jego duszy skargę na losy rządzące światem (porównać to co mówi o religii w młodzieńczéj pracy swéj: „*Sopra gli errori popolari degli antichi*" — z późniejszemi jego zapatrywaniami), pomijając wreszcie wyraźne zapewnienia Ranieri'ego, że stale, a nawet w ostatnim roku przed śmiercią, w rozmowach zdradzał wątpliwość, co do słuszności swych zapatrywań oraz roztrząsał pytanie, jak duchy, podobne Newtonowi i Baconowi, mogły, przy naukowéj swéj wielkości posiadać tak naiwnie wierzący umysł; pomijając wszystko to, nie wahamy się twierdzić, że wszystkie wogóle poglądy metafizyczne mają w umysłach swych wyznawców podkład subiektywny, na którego powstanie składają się: stan systemu nerwowego, warunki cielesne, koleje losu oraz doświadczenie. Pomiędzy obiektywną a subiektywną prawdą wielka zachodzi różnica i gdy w świecie materyalnym istnieją powszechnie przyjęte, przez nikogo nie kwestyonowane pewniki, metafizyka jest miejscem harców najsprzeczniejszych zasad i twierdzeń, tak, że z powodu szczupłego zakresu władzy pojmowania u człowieka, wszelkie twierdzenia metafizyczne, mogą, podług naszego zdania, ubiegać się tylko o prawdę subiektywną. Widzimy więc, w rozmaitych okresach rozwoju ludzkości, przewagę to jednego, to znowu drugiego kierunku, ulegającą wpływowi wypadków historycznych, oraz stanom ducha ludzkiego, naprzemiany to w niepokoju i naprężeniu wyczekującego, to znowu przygnębionego i przejętego boleścią; naturalnie, że przewaga ta przejawia się w sposób najżywszy u duchów niepospolitych.

Nie jest to zapewne dziełem przypadku, że w naszém stuleciu, w okresie restauracyi, znajdujemy podobny nastrój i filozofię u Byrona, Płatena, Lenaua, Heinego, Leopardiego, Puszkina, Mickiewicza i w. in., w muzyce zaś pokrewny kierunek u Beethovena i Schumanna; mniéj dziwném wyda nam się to, kiedy wspomnimy, że koleje życia wszystkich tych przedstawicieli *Weltschmerzu*, mają wiele stron podobnych, o ile zachodzą w nich pewne, wspólne okoliczności, przedewszystkiém więc cierpienia cielesne lub téż opaczne wychowywanie (Leopardi, By-

ron, Lenau, Heine), dalej pobyt na obczyźnie, wdali od miejsca rodzinnego i od swoich, ten brak ojczyzny, uniemożliwiający im założenie własnego ogniska domowego i własnéj rodziny, wreszcie brak styczności ze społeczeństwem, państwem oraz służbą, pełnioną w bezpośrednim interesie ludzkości. Wszyscy oni musieli nosić w sobie uczucie odosobnienia i wobec porządku rzeczy panującego na tym świecie, mogli zająć jedynie bezwględne, idealne, niepraktyczne, zmuszające do zaciekania się w badaniach stanowisko. Cóż nadto prostszego, że świat ten, na którym dla nich miejsca nie było, uważali za godzien pogardy i własny swój ból podnosili na wyżyny powszechnego *Weltschmerzu* (*dolore universale*); przypomina to słowa Fausta: *„der Menschheit ganzer Jammer fasst mich an!"*

Za dalekoby nas to zaprowadziło, gdybyśmy chcieli tu mówić o zupełném pokrewieństwie nastroju w dziełach wymienionych poetów, o przeważnie lirycznym ich kierunku, o ich braku uzdolnienia w epicznym i dramatycznym zakresie, o wybieraniu jednych i tych samych tematów („Faust", „Don Juan", „Ahasver") i o wielu innych, odnoszących się tu szczegółach. Nie możemy wszakże przy téj sposobności przemilczéć o Arthurze Schopenhauerze [1]), którego pojawienie się jest najlepszém potwierdzeniem tego, że w jednym i tym samym czasie, przy podobnych sobie okolicznościach, powstają jedne i te same poglądy filozoficzne. I Schopenhauer nie czuł się dobrze na tym świecie, mieszkał przez dłuższy czas na obczyźnie, z matką i siostrą był w niezupełnie harmonijnych stosunkach; pragnienie otrzymania katedry uniwersyteckiéj zawiodło go, nie stworzył własnéj rodziny, a przez czas trzydziestoletniego samotnego życia we Frankfurcie nad Menem, zasłużył sobie tylko na miano „mędrca-mizantropa." Jest on filozofem *Weltschmerzu.* Że Leopardi go nie znał, a nawet nie słyszał jego nazwiska—nie ulega to żadnéj wątpliwości; Schopenhauer—przeciwnie, gruntownie przestudyował pisma Leopardiego zwłaszcza w „Paralipomena" i „Parerga" znajdujemy miejsca, które są niezaprzeczoną parafrazą z Leopardiego (np. t. I, str. 386. T. II, str. 248 i nast.). Wszakże już w pierwszych pismach Schopenhauera (Świat, jako wola i jako wyobrażenie. I wyd. z 1869 r., nasze cytaty podajemy podług wyd. III. Lipsk 1859), występują jego zapatrywania w całéj swéj bezwzględności, w czasach, gdy z poezyi Leopardiego znane były tylko obie Canzony do Włoch i do Dantego; dowodziło to, że zgodność ich poglądów sięgała głębiéj.

---

[1]) Porównaj: *Schopenhauer e Leopardi. De Sanctis. Saggi critici.* Napoli. 1866.

Oto jak przedstawia się w prozie filozofia Schopenhauera [1]): „Wszelkie zadowolenie, czyli jak powszechnie nazywają, szczęście, jest właściwie i istotnie zawsze tylko negatywném, nigdy zaś pozytywném. Uszczęśliwienie nie jest pierwiastkiem, nie przychodzi samo z siebie, lecz zawsze musi być zadowoleniem pożądania—pożądanie bowiem t. j. brak jest warunkiem poprzedzającym każdą rozkosz. Z zadowoleniem wszakże ustaje pożądanie, a tém samém i rozkosz. Zadowolenie więc, czyli uszczęśliwienie, nie może być niczém więcéj, jak zwolnieniem od cierpienia, od potrzeby: do tego bowiem zakresu, należy nietylko każde rzeczywiste, jawne cierpienie, lecz i każde pożądanie, którego natręctwo spokój nam mąci, a nawet i zabijająca nas nuda, która nam byt ciężarem czyni. [2]) Teoretycznie przyjąć można trzy ostateczności ludzkiego bytu i uważać je za pierwiastki rzeczywistego życia ludzkiego. Popierwsze, potężne chcenie, wielkie namiętności (*Radscha Guna* Indusów). Występuje ono w wielkich charakterach historycznych; bywa przedmiotem eposów i dramatów: może się wszakże przejawiać i w mniejszych sferach, bowiem wielkość przedmiotu mierzy się tu wysokością naprężenia woli, nie zaś zewnętrznemi stosunkami. Powtóre, czyste poznawanie, pojmowanie wyobrażeń, warunkowane wyzwoleniem poznania z zależności od woli: życie geniusza (*Satwa Guna)*; potrzecie, najwyższy zanik woli i wraz z nią związanego poznawania, próżne pożądanie, nuda, dławiąca życie (*Tama Guna*). Żywot jednostki, daleki od trwania przy jednéj z tych ostateczności, rzadko z niemi w styczność wchodzi, i składa się po największéj części ze stałego i chwiejnego przybliżania się do téj lub owéj strony, mizernego pożądania drobiazgów; ciągle powracając, w ten sposób uchodzi przed nudą. Trudno rzeczywiście uwierzyć, jak upływa życie największéj części ludzi, gdy się na nie z zewnątrz patrzy, nic nie mówiące i pozbawione znaczenia, a duszne i nieprzytomne, kiedy się w jego wnętrze zaziera. Jest to słabe pragnienie i męka, ospałe zataczanie się przez cztery pory życia aż do śmierci, w asystencyi szeregu trywialnych myśli. Ludzie ci, są podobni do mechanizmów zegarowych, które bywają nakręcane i chodzą nie wiedząc czemu—i za każdym razem, gdy człowiek zostaje poczętym lub urodzonym, zégar ludzkiego życia zostaje na nowo nakręcony, dla powtórzenia sztuczki, odegranéj już niezliczoną ilość razy, nuta po nucie, i takt po takcie, z nieznacznemi zmianami. Każdy osobnik, każde oblicze ludzkie, każdy bieg ludzkiego żywota—jest tylko jednym więcéj krótkim snem nieskończonego ducha natury, wytrwałéj

---

1) Schopenhauer, t. I, str. 376 i nast.

2) Porównaj: Leopardi „*Dialogo di T. Tasso e del suo genio familiare.*

żądzy życia, jest tylko jednym więcéj przelotnym tworem, który on igrając zaznacza na nieskończonéj karcie — w przestrzeni i czasie i trwać mu każe krótką chwilkę, będącą mgnieniem oka wobec tego czasu — a potém gasi, dla zrobienia miejsca innemu. Lecz jakkolwiek bądź wielkie i małe utrapienia przepełniają życie każdego człowieka, utrzymując je w ciągłym ruchu i niepokoju, nie są one wszakże w stanie osłonić niedostatek żywota, aż do wypełnienia ducha, zająć pustkę i jałowość bytu, lub téż wykluczyć nudę, która zawsze jest gotowa, wypełniać każdą chwilę, wolną od troski. Z tego powodu duch człowieczy, nie mający jeszcze dość trosk, kłopotów i zatrudnień, które nań rzeczywisty świat nakłada, tworzy sobie w postaci tysiąca rozmaitych zabobonów, świat urojony, którym następnie w rozmaity sposób się zaprząta, traci nań czas i siły, i to w chwilach, kiedy świat rzeczywisty życzy mu spokoju, do przyjęcia którego człowiek ów nie jest wtedy bynajmniéj zdolny. Demonów, bogów i świętych tworzy sobie człowiek podług swego własnego wyobrażenia i musi ich nieustannie obdarzać ofiarami. modlitwami, ozdabianiem świątyń, ślubami, pielgrzymkami, padaniem na klęczki, ubiéraniem obrazów i t. d. Obcowanie z nimi zapełnia połowę życia, utrzymuje ciągle nadzieję, i jest dzięki urokowi złudzeń, daleko więcéj zajmujące, niż stosunek ze światem rzeczywistym. Jest ono wyrazem, oraz symptomatem dwojakich potrzeb człowieka, pomocy i oparcia się, oraz zajęcia się i rozrywki i t. d."

„I *a posteriori*,—mówi daléj Schopenhauer, da się udowodnić to twierdzenie, że życie ludzkie nie zdolne do rzeczywistego szczęścia, jest raczéj w rozmaitych postaciach pojawiającém się cierpieniem, wogóle stanem niedoli. Każdy, co się ocknie z pierwszych snów młodości, co ma na względzie swe własne, oraz cudze doświadczenie, co się rozejrzy w życiu, w dziejach przeszłości i teraźniejszości, wreszcie w dziełach wielkich poetów — jeżeli jaki nie dający się wykorzenić przesąd nie spaczy władzy jego sądzenia—dojdzie do przekonania, że ten świat jest krainą przypadku i błędu, które w rzeczach wielkich i drobiazgowych niemiłosiernie w nim się panoszą, obok których wszakże jeszcze głupota i złość biczem wywijają: dochodzi do tego, że wszystko co jest lepsze z wysiłkiem przeciska się przez życie, że szlachetność i mądrość rzadko się tylko pojawiają, znajdując posłuch i pole dla działania—za to właściwe rządy sprawiają z małemi przerwami: absurd i przewrotność w krainie myśli, płaskość i niesmak w krainie sztuki, zła wola i zdrada w krainie czynu; przeciwnie zaś doskonałość wszelkiego rodzaju zawsze stanowi tylko wyjątek, jeden z miliona, to téż kiedy się wypowie w jakiem trwalszém dziele, to ono, jeżeli oprze się złości współczesnych, stoi w odosobnieniu i jest traktowane, jak kamień

meteoryczny, który się pojawił ze sfery innego porządku rzeczy, niż ten, co dotychczas rządził na ziemi. Co się zaś tyczy życia jednostki, to każde dzieje życia są dziejami cierpienia. Gdyby każdemu pokazać straszliwe bóle i męki, dla których otworem stoi jego życie — dreszcz by go przejął; gdyby zaś prowadzić najbardziéj zacietrzewionego optymistę przez szpitale, lazarety, kliniki chirurgiczne, przez więzienia, katownie i rynki niewolników, przez pola bitew i miejsca tracenia, późniéj zaś otworzyć przed jego oczyma wszystkie mroczne legowiska nędzy, kryjące się przed wzrokiem chłodnéj ciekawości, w końcu zaś kazać mu zajrzéć do głodowéj wieży Ugolina—i on by się wreszcie przekonał, jakiego rodzaju jest ten *meilleur des mondes possibles* (Leibnitz). Zresztą, zkądże Dante wziął materyał do swego piekła, jak nie z tego naszego rzeczywistego świata? i t. d."

Kończy zaś: „Zresztą nie mogę się tu powstrzymać od wypowiedzenia, że optymizm, — jeżeli nie jest bezmyślném bredzeniem tych, pod których gładkiém czołem kryją się tylko wyrazy—wydaje mi się nietylko niedorzecznością, lecz prawdziwie niecnym rodzajem myślenia, jako gorzkie urąganie niewypowiedzianym cierpieniom ludzkości [1]). Sąd natury o stworzonych przez nią istotach brzmi krótko: „*Alles was entsteht, Ist werth, dass es zu Grunde geht. Drum besser wär's, dass nichts entstünde.*" Byron to samo wypowiada w czterowierszu:

Zlicz pasmo wszystkich szczęsnych dni
Od troski wolnych godzin nić—
I wiedz, czémkolwiek byłbyś był,
Jest coś lepszego: przestać być.

Leopardi mówi: „Nigdy nie oglądać światła, byłoby, sądzę najlepszém"—w innėm zaś miejscu:

. . . . . „Ukochana bogom
Ludzkości, szczęsnaś, jeśli ci pomogą
Odetchnąć chwilkę w bólu,
A ubłogosławiona,
Kiedy uciszysz się, śmiercią zdławiona."
(Przekład E. Porębowicza).

Temat ten niejednokrotnie powtarza się u Leopardiego; Schopenhauer powiada o poecie: „Nikt nie traktował tak gruntownie i wyczerpująco tego przedmiotu, jak w naszych czasach Leopardi. Jest on nim cały wypełniony i przejęty: wszędzie szyderstwo i nędza tego bytu jest jego tematem, na każdéj karcie dzieł swoich mówi o tém, wszakże w takiéj rozmaitości form i zwrotów, z takiém bogactwem obrazów, że nigdy nie sprawia przykrości, przeciwnie raczéj, zajmuje i pobudza. [2]) Jeżeli Leopardi i Byron są przedstawicielami patetycznego *Weltschmerzu*, to

---

[1]) „*Die Welt als Wille und Vorstellung.*" T. II. § 46 str. 654; *Parerga und Paralipomena*, t. I. str. 386 podają tylko dalsze z tego wywody.

[2]) T. II. Str. 673.

Lenau wyobraża *Weltschmerz* panteistyczny. Niejednokrotnie zestawiany z Leopardim, pod tym właśnie względem różni się od niego. Lenau szuka pociechy w przyrodzie, przedstawiając ją jako uczestniczkę i powierniczkę jego cierpień, uduchawiając ją własną swą istotą— i rzuca się do jéj serca, szukając zrozumienia tych bólów, Leopardi zaś uważa naturę za wrogą, co najmniéj za obojętną istotę, która wyższych praw słucha, nie troszcząc się ni o nasze uciechy, ni téż o smutki. To zapatrywanie przejawia się często w jego poezyach, najwyraźniéj wszakże wypowiada on je w „Rozmowie Natury z Islandczykiem.” Islandczyk, uchodząc przed cierpieniami, zgotowanemi mu przez ludzi i naturę, przewędrował świat cały i doszedł do środka Afryki, pod równik, do okolicy kędy jeszcze noga ludzka nie postała. Tu widzi skałę, będącą właściwie — co dostrzega po zbliżeniu się — olbrzymich rozmiarów kobiétą, siedzącą na ziemi w postawie wzniesionéj, opartéj plecami i ramieniem o skałę; nie jest ona udaną, lecz żywą, twarzy napół pięknéj, na pół strasznéj, czarnych oczu i włosów. Czegoś podobnego doznał Vasco de Gama na skałach Przylądka Dobréj Nadziei, gdy mu się one po raz pierwszy ukazały—(patrz Luzyady pieśń I). Islandczyk z przerażeniem od kobiéty dowiaduje się, że sama jest tą naturą, przed którą on uchodzi. ponieważ we wszystkich częściach świata doznawał od niéj prześladowań. Wypowiedziawszy jéj wszystkie żale, na nią przez ludzi zanoszone, usłyszał od niéj w odpowiedzi: „Wyobrażasz ty sobie może, że świat został dla was stworzony? Wiedz, że w pracach, postanowieniach i czynnościach moich, wyjąwszy drobną liczbę, zawsze miałam na celu co innego, niż szczęśliwość lub nieszczęśliwość ludzką. Jeżeli was w jakim bądź względzie obrażam i jakimbądź sposobem wam szkodzę, nie wiem o tém, chyba rzadko; tak samo, jeżeli was bawię lub wam dobrze czynię, nie wiem o tém; ani gdy stworzyłam lub zdziałałam to i owo, nie miałam na celu zysków waszych lub igraszki. I ostatecznie, gdyby mi wypadło zniszczyć cały wasz rodzaj, nie zauważyłabym tego.” Islandczyk zrozumiéć tego nie może i sądzi, iż byłoby to tak samo, gdyby go kto zaprosił do siebie i potém, zamiast go przyjąć gościnnie, krzywdził. Natura mu na to odpowiada: „Nie zdajesz się uważać, że życie wszechświata, jest nieustannym obiegiem tworzenia i niszczenia, związanych z sobą w ten sposób, że jedno służy ustawicznie na korzyść drugiemu, a równocześnie na zachowanie światu, który, gdyby jedno lub drugie przestało działać choć na chwilę, natychmiast popadłby w rozstrój. Wyszłoby przeto na jego szkodę, gdyby w nim było coś, wolnego od cierpienia.” Na to rzecze Islandczyk: „Słyszę, jak w podobny sposób rozprawiają wszyscy filozofowie. Że jednak to, co ulega zniszczeniu cierpi, i to co niszczy również przez to nie czu-

je się szczęśliwém, a niebawem także zniszczoném zostanie, powiedz mi więc, czego żaden filozof powiedziéć mi nie umié: komu sprawia upodobanie albo pożytek ten w najwyższym stopniu nędzny żywot wszystkiego, co może być tylko utrzymany z krzywdą i śmiercią wszystkich rzeczy, które się nań składają?" Daléj autor od siebie głos zabiéra: Islandczyk nie miał czasu wysłuchać odpowiedzi; wieść niesie, że nadeszły dwa lwy, tak wydelikatnione i wycieńczone czczością, że miały zeledwo siłę zjeść owego Islandczyka—co téż uczyniły; posiliły się nieco i na ten dzień utrzymały się przy życiu. Inni przeczą temu, opowiadając, że gwałtowny huragan, podniósłszy się w chwili, gdy Islandczyk mówił, powalił go na ziemię i zbudował nad nim przepyszny grobowiec z piasku, pod którym zasuszony wybornie i zamieniony w piękną mumię, znaleziony został późniéj przez pewnych podróżnych i umieszczony w muzeum nie wiem którego z miast Europy."

Przykry rozdźwięk kończy ową rozmowę. Lenau pojmuje naturę inaczéj; na każdéj stronie jego dzieł znajdujemy na to dowody. Że wymienimy tu, choćby prześliczny wiersz „Alpy".

W ostatniéj fazie swéj *Weltschmerz*, który ironicznie sam się niweczy, okazuje się pod egidą Heinego. Podobnież jak Platen, Immermay, i Schlegel, wstąpił Heine w szranki poezyi pod wezwaniem romantyki, przejmując się do głębi nutą ludowych pieśni ze zbioru „*Des Knaben Wunderhorn* i tworząc pod ich wpływem najpiękniejsze perły liryki, które mu nieśmiertelność zapewniły. Potém w skandaliczny sposób zerwał z romantyką i jéj przedstawicielami. Przejąwszy się wpływem Byrona, dźwignął sobie jako ołtarz *Weltschmerz*, ubiérając go po swojemu w szyderstwo i swawolę.

Tak więc *Weltschmerz* sam siebie zniweczył. Wszakże w owym czasie wystąpił już inny, do rzeczywistego świata i jego potrzeb zwrócony kierunek, który śmiało spojrzał w oblicze narodowego. wolnościowego i społecznego rozwoju ludzkości i otrząsnął z siebie zwątpienie i niemoc *Weltschmerzu*. Droga do wyzdrowienia była przez cały ten czas ta sama, przez którą wielkie duchy w osamotnieniu w poprzednich kroczyły stuleciach. I teraz ona jedynie skuteczną się okazała. Kiedy Salomon mówi: „Ale serce moje weseliło się ze wszystkiéy pracy moiéy." A toć był dział moy ze wszystkiéy pracy moiéy," kiedy Goethe na zapytanie Epimetheusza: „Ileż jest więc twojego?" każe Prometeuszowi odpowiedziéć: „Koło, które działalność moja wypełnia—ni mniéj, ni więcéj"—kiedy Faust w końcu życia oddaje się pracy praktycznéj i umierając mówi:

Das ist der Weisheit letzter Schluss:
Nur der verdient sich Freiheit wie das Leben,
Der täglich sie erobern muss;

—nie jest to nic innego, jak z jednéj strony myśl o szczupłéj, nie dającéj się przekroczyć granicy ludzkiego poznania, z drugiéj zaś o niezbędności wypełnienia poważną pracą raz zakreślonego koła. Jeżeli *Weltschmerz* rzuca się jak lew pojmany na żelazne kraty własnéj klatki, jeżeli zwątpiwszy o znalezieniu szczęścia na ziemi, dni swe niespokojnie w ponuréj senności pędzi, dochodząc wreszcie do konkluzyi: „Nigdy nie oglądać świata byłoby, sądzę najlepszém"—to nowy kierunek nie rozwiązuje wprawdzie tysiąca nierozwiązalnych kwestyi metafizycznych, lecz wyczerpany bezpożytecznem dociekaniem i systematycznem wątpieniem, zrywa z pessymizmem, zwraca się znowu do idei nieskończonego doskonalenia się, starając się usilnie przyśpieszyć urzeczywistnienie najszczytniejszych ideałów ludzkości. W początku bieżącego stulecia, przemiana ta odbywała się w niejednym potężnym duchu: Platen, który rozpoczął jako romantyk, a któremu *Weltschmerz* hamował i ograniczał życie oraz polot genialnego ducha, otrząsnął się wreszcie z niego i dał klasyczny wyraz dążenia ducha narodowego i wolnościowego w swych politycznych odach i w niezrównanych, nam poświęconych pieśniach. Nikt wszakże nie przetrwał piękniéj téj walki i nie uczynił świetniejszego zwrotu od bezowocnych przeczeń i zwątpień do czynnego wmieszania się w losy narodów, jak Byron, ojciec tego kierunku—na polach Hellady za sprawą wolności młode poświęcając życie. „Wraz z jego zgonem—mówi Gervinus[1]) duch jego począł krążyć w młodem piśmiennictwie europejskiém, nastąpiło zupełne zerwanie z romantyką (i, dodajemy od siebie, z *Weltschmerzem*)—zaświtała nowa era, kiedy poezya wystawiając na sztych surowe prawidła sztuki, poczęła sławę swą zasadzać na bezpośredniem reformatorskiém wtargnięciu w szranki teraźniejszości."

*
* *

Leopardi, na zajmowaném przez siebie stanowisku, utrzymał się do śmierci. Jakże mógł wyrzec się wszystkich swych zapatrywań nieszczęśliwy poeta, który doszedł do ostatecznego okresu fizycznych i duchowych bólów. Lecz ni spółcześni, ni tém więcéj potomni nie oddali mu należytéj sprawiedliwości. Zapoznawszy się powyżéj z dwoma starszymi kierunkami, reprezentowanymi przez dwu przyjaciół Leopardi'ego — Giordaniego i Colletę, następnie zaś ze szkołą romantyczną, musimy pod koniec rzucić przelotne spojrzenie, na wyrosłe w obliczu poety młode pokolenie, które, przeżywszy go, nie tylko dążyło do innych, realnych celów, lecz i osiągnęło je w znacznéj części. Wprawdzie znalazł Leopardi kilku naśladowców, jak: Giovanni Marchetti, Mamiani della Rovere, Alessandro Poerio, Fabio Nannarelli i w. in., lecz własnéj szkoły nie stworzył i stworzyć nie mógł.

---

1) Historya XIX wieku. T. VIII, str. 173.

Weltschmerz został pokonany; nasze czasy są odeń wolne i same Włochy zrodziły mężów, których słowa i czyny stwierdziły, że duch narodu, bez względu na wszystkiemu przeczący *Weltschmerz*, nie przestał dążyć do najwyższych ideałów ludzkości. Wytworzył się prąd, z jednéj strony wrogi usiłowaniom romantyki, z drugiéj zaś—zupełnie wolny od przystępów bezpłodnego zwątpienia o teraźniejszości; prąd ten zajął się zadaniami nowych czasów, dążąc przedewszystkiém do rozwiązania ich w zakresie społecznym oraz politycznym. Do mężów, walczących pod jego sztandarem należą: G. B. Niccolini, Giusti, Guerazzi i Antonio Ranieri, o którym wspominaliśmy już powyżéj, jako o przyjacielu i dobroczyńcy Leopardi'ego. Z jednéj strony jest to obowiązek wdzięczności, zająć się tym szlachetnym człowiekiem, co w skreślonéj przez siebie biografii Leopardiego[1]), umiał z przesadną skromnością osobę swą w cieniu utrzymać i skryć wielkoduszne dobrodziejstwa świadczone poecie, które mu, pozbawionemu domowego ogniska, pogrążonemu w nieszczęściu, nędzy i chorobie, osładzały życie—z drugiéj zaś strony uważam za właściwe scharakteryzowanie przyjaciół Leopardiego, co już powyżéj z Giordanim i z Colletą uczyniłem; ta wreszcie droga umożliwi mi wykazanie właśnie na Ranierim dalszego rozwoju piśmiennictwa włoskiego, po śmierci Leopardiego, oraz zamknięcie harmonijnym akordem gorzkiego dyssonansu jego poezyi.

Antonio Ranieri urodził się w d. 8 Września 1809 r., jako syn zamożnych rodziców w Neapolu i na tamtejszym uniwersytecie studya rozpoczął. Ponieważ jednak już, jako student, zajmował się potajemném drukowaniem pism liberalnych, rząd Ferdynanda I-go poradził mu poufnie kraj opuścić, co wówczas było rodzajem łagodnego wygnania. Ojciec posłał syna naprzód do Rzymu, potém zaś do Bolonii, dla prowadzenia dalszych studyów — a składały się na nie: historya, prawo oraz językoznawstwo. Były to czasy pomiędzy 1820 i 1830 r., kiedy w Neapolu po fatalnym wyniku rewolucyi 1820 i 1821 r. panowała najstraszniejsza reakcya, kiedy w Rzymie przemocą poznoszono wszystkie, nawet najlepsze z napoleońskich czasów, urządzenia—kiedy w Modenie Franciszek IV przy pomocy jezuitów i dragonów lud w karbach utrzymywał, sam zaś ciągnął korzyści z lichwiarskich spekulacyi zbożowych, z monopolów, a jeśli się zdarzyło to i z kontrabandy. Ten sam Franciszek IV, który, jako członek tajnych stowarzyszeń, z początku konsystoryałów oraz sanfedystów, następnie zaś karbonarów, spiskował dla własnego dobra przeciw następstwu tronu w Sardynii — kiedy w Lombardyi Austrya odpowiadała na dążenia narodowe kazamatami Spielbergu

[1]) Niezależnie od téj biografii Ranieri napisał dzieło, w którem opowiada o osobistym swym stosunku z poetą („*Sette anni di sodalizio con Leopardi*, Napoli 1880).

(S. Pellico) i kiedy w Piemoncie Karol Felix po nieudaném powstaniu z 1821 r., przywrócił z pomocą Austryaków rząd absolutny. Dążeniem polityki Metternicha było utrzymanie ludów i książąt nieszczęśliwego kraju w jednakiéj zależności i uległości (Lublana, Werona). Jedynie w Toskanii panowała łagodniéjsza atmosfera: ministrowie Fossombroni i Neri-Corsini starali się rządzić krajem podług zasad wyrozumiałego absolutyzmu, chcąc dowieść obcym mocarstwom niezależności samodzielnego, najlepszego z rządów, jakie naówczas panowały na półwyspie. Pewna religijna i polityczna tolerancya dawała zbiegom schronienie we Florencyi, gdzie téż i zgromadzili się wszyscy ci, którzy uszli z więzień i rusztowań pozostałych krajów i kraików włoskich. Tacy mężowie jak Colletta, Gabriele Pepe, Giusepe, Poerio, N. Tommaseo, Montani, P. Giordani, Borelli, Troja, oddawali się tu spokojnie studyom swoim i planom. Zatrzymał się tu dla studyowania języka ojczystego i Antonio Ranieri, prawie jeszcze dziecko z wieku i doświadczenia, wobec tych wypróbowanych męczenników idei i apostołów lepszych czasów— i zatrzymawszy się, obcował z całém tém kołem. Ztąd udał się do Francyi, dla studyowania w Paryżu historyi i filozofii; naród walczący o swe prawa zwracał tam naówczas oczy z nadzieją na Guizot'a, Cousin'a, Constanta, Villemaina i Thiersa. Mężowie ci, a także De Tracy, Lamennais i Lafayette, stanowili koło, w którém obracał się młody, chciwy wiedzy, cudzoziemiec. Doczekał się on w Paryżu rewolucyi lipcowéj i tam został w walce ulicznéj raniony. Z Paryża udał się Ranieri do Anglii i Niemiec, zatrzymując się w Getyndze, zwłaszcza zaś w Berlinie dla studyów nad filozofią i historyą. Powrócił wreszcie do Włoch; że zaś ciążył nad jego głową, wyrzeczony przez rząd neapolitański, formalny już wyrok wygnania; osiadł więc znowu we Florencyi. Jeszcze przed podróżą do Paryża, zdaje się, że w r. 1828, Ranieri wyszukał w Pizie Leopardiego, i pozostawał z nim w listownych stosunkach przez cały czas swéj nieobecności we Włoszech; po powrocie mieszkał we Florencyi z nim razem i poświęcał mu się z przyjaźnią, czyniącą wrażenie abnegacyt całego pozostałego świata, z przyjaźnią, do któréj tylko młodość jest zdolna. Leopardi ostatnie swe środki, a mianowicie honoraryum za wydanie poezyi z 1831 r., naówczas już wyczerpał, Colleta począł chłodnąć względem niego, poeta niezłomnie postanowił do Recanati żywym nie wracać, a stan jego był tego rodzaju, że wymagał przedewszystkiém troskliwego opiekuna. Ranieri z prawdziwem poświęceniem przyjął na siebie ten obowiązek i, otrzymawszy pozwolenie na powrót do Neapolu, przewiózł tam chorego przyjaciela. W rodzinném mieście Ranieri nie zastał już przy życiu gorąco ukochanéj matki, zmarłéj podczas jego wygnania; ojciec zaś, który ze względu

na polityczne i religijne przekonania syna, uważał go za zmarnowanego, nie zupełnie przychylnie przyjął szlachetny jego zamiar otoczenia opieką nieszczęśliwego poety. Pozwolił wszakże, by siostra Antonia, Paolina, naówczas dziewczę czternastoletnie, była w tém bratu pomocną. Oboje więc, związani szlachetną miłością, nie szczędzili czasu sił i pieniędzy, całego skarbu myśli swych i uczuć, przeczuwanych dni i niespanych nocy dla biednego chorego, co, kapryśny i rozdrażniony, konał przez długie lata—aż do jego śmierci, która go im z ramion wydarła. Jest to tak wzniosłe, że w żaden wyraz pochwały ująć się nie da i służy nam zarazem za dowód, że i Leopardi nie posiadał téj zimnéj, obojętnéj natury—co zdaje się niejednokrotnie przeglądać z pism jego filozoficznych—lecz łagodną, wrzącą głębokim uczuciem duszę, która do nas przemawia z jego poezyi. Czyż byłby bowiem inaczéj znalazł serca tak bezgranicznie mu oddane! Przez całe życie swe tęsknił za miłością, lecz i miłość jeszcze jest egoistyczną; tak zaś, u kresu dni swoich, znalazł poeta tą miłość bez egoizmu, przyjaźń prawdziwą.

W dwa lata po śmierci Leopardiego wystąpił Ranieri z dziełem: „*Ginerra ol'orfana della Nunziata, Capolago 1839*, poświęconém pamięci „swego nieśmiertelnego mistrza". Jest to powieść społeczna, opowiadająca dzieje życia podrzuconego dziewczęcia, które pierwsze lata spędza w neapolitańskim domu podrzutków, *Ospizio della Nunziata*, potem szuka chleba wśród ludzi, potem zrządzeniem okoliczności, dostaje się po raz wtóry do przytułku, w którym, dzięki niecnemu, haniebnemu zarządowi, niegodziwéj gospodarce, oraz systemowi wyzysku, praktykowanemu przez przełożonych, na fizyczne i moralne męki skazana, znajduje opiekunkę w osobie francuzkiéj zakonnicy, siostry Gertrudy i niebawem przez śmierć ją traci, poczem, wyrosła już przez ten czas, dostaje się niezasłużenie do domu poprawy w *Albergo de' Poveri*, nazywanego przez lud *Seraglio*, wielkiego, lecz podobnież haniebnie zarządzanego domu przytułku, zkąd pod fałszywym pozorem zostaje przez księdza Don Serafino uprowadzona i zgwałcona. Uniewinnionemu winowajcy włos z głowy nie spada, a nieszczęśliwą jego ofiarę wtrącają do oddziału dla dziewcząt upadłych w *Ospizio della Nunziata*, zkąd udaje się jéj uciec, przy pomocy młodego malarza, który w zakładzie obraz kopiował. Przybywają razem do Rzymu—lecz tam malarz nietylko, że nie zaślubia, wbrew danéj obietnicy, biednego dziewczęcia, lecz znudziwszy się niém, nawet je usiłuje w Tybrze utopić. Zbrodniarz uchodzi, tonąca ratuje się szczęśliwie, znajduje przytułek u dawnéj swéj służącéj, a późniéj w leśnéj jaskini, położonéj w odludnéj okolicy rzymskiéj Kampanii, u pustelnicy, która, niemniéj od niéj nieszczęśliwa, tam przed ludźmi szuka schronienia. W jaskini téj przepędza trzy lata,

poczém, pochwycona przez żandarmów, zostaje, jako włóczęga nie mająca dachu nad głową, odesłaną do Neapolu, gdzie nieopodal od katakumb w Convento San Gennaro dei Poveri przedwczesny zgon znajduje.

Książka z wielkiém ciepłem napisana, daje obraz stosunków panujących w wymienionych zakładach, pozwala zapuścić przenikliwy wzrok w życie niższych warstw społecznych, przedewszystkiém zaś, piętnuje tolerujący jawne zło, rząd burboński, który strwonił olbrzymie sumy, na wspomożenie ubogich przeznaczone, i gubił moralnie oraz fizycznie nieszczęśliwe dzieci, wzrastające pod rzekomą tych zakładów opieką, wychowując pokolenie, będące dotychczas jeszcze przekleństwem i plagą owego, może najpiękniejszego z pośród miast włoskich. Autor napisał książkę swą nie z nienawiści, lecz, jak sam w przedmowie powiada, z miłości dla ziomków swych; studya przedsiębrane przezeń w Anglii, w zakresie opieki nad ubogimi, a prowadzone daléj na miejscu, po powrocie do Neapolu, pozwoliły mu w zakładach téj opiece poświęconych, rozpoznać zgniliznę i wyposażyć zdjętą z niéj kopię w tak lokalne barwy, że dzieło sprawia wrażenie sportretowanéj prawdy. Że nie chybiło ono zamierzonego celu, dowodzi najlepiéj fakt aresztowania autora wślad po ukazaniu się książki, oraz zajadłość, z jaką kler względem niego wystąpił. Minister policyi Delcarretto oraz minister spraw wewnętrznych Santangelo, każdy z osobna, rościli pretensyę do uwięzionego; ostatni z nich chciał pomścić brata, stojącego na czele zarządu domu podrzutków i żądał ukarania autora conajmniéj wygnaniem, pierwszy zaś pragnął zamknąć Ranieri'ego w domu obłąkanych. Ferdynand II, który miał powody do obawiania się nowych odkryć na tém polu, po czterdziestopięciodniowém zamknięciu, przywrócił uwięzionemu wolność. Duchowieństwo napomykało coś o stosie, nie mogąc wszakże bezpośrednio dopiąć niczego, poleciło przynajmniéj wykupić z księgarni cały nakład powieści, dla zniszczenia go, tak, że pierwsze jéj wydanie stało się niezmierną rzadkością bibliograficzną. Przedruki następowały masami, książka była pochłaniana i—co autora najbardziéj ucieszyć musiało—odbiła się korzystnie na zarządzie wymienionego zakładu. W przedmowie poprzedzającéj wydanie jego dzieł zbiorowych (Turyn i Medyolan 1862)—opowiada Ranieri: „Kiedy pewnego dnia (zdaje się, że było to w 1858 r.) przechodziłem przez Via della Nunziata, pogrążony w myślach o czémś zupełnie inném, niż drogie cienie méj młodości, pomiędzy którymi do najdroższych *Ginevra* należy, zwrócił się do mnie znakomity budowniczy Fazzini, stojący w przedsionku domu schronienia, który właśnie zamierzano restaurować. Trzymał on w ręku książkę, a mi się zdawało, że ukochany cień przychodzi do mnie z pozdrowieniem z owych regionów, z których

nigdy już się nie powraca. Prosił więc, bym wszedł i przekonał się, czy wszystko jest przeprowadzone, stosownie do poglądów wyrażonych w prześladowaném niegdyś dziele.“ Późniéj zamierzano postawić autora na czele zarządu Domem schronienia, inne wszakże obowiązki względem ojczyzny nie pozwoliły mu przyjąć zaszczytnego stanowiska.

Wyżéj już nazwałem dzieło Ranieri'ego powieścią społeczną. Z tém szczególniejszym powtarzam to naciskiem, że jest to we współczesnéj literaturze pierwsza powieść tego rodzaju, którego ojcowstwo, zazwyczaj błędnie przypisują Eugeniuszowi Suemu, gdy tym czasem, zaszczyt tego wynalazku niezaprzeczenie przypada mało po za granicą swéj ojczyzny znanemu Włochowi—*Mystères de Paris* ukazały się bowiem dopiéro w 1842 r.

Uprawianiem społecznéj powieści różnią się nowsze czasy od okresu romantycznego, w którym niepodzielnie panował romans historyczny. We Włoszech, podobnież jak we wszystkich innych krajach, kierunek ten rozpowszechnił się dzięki Walter Scottowi. Włoskie przekłady utworów tego powieściopisarza, dokonywane przez p Borsieri'ego, Barbieri'ego i Ferraria poczęły się ukazywać od r. 1820 i wyprzedziły *Promessi Sposi* Manzoni'ego (1825). Powieść ta, ciesząca się wielkiem powodzeniem, wywierała stanowczy wpływ przez długi szereg lat. G. Rossini w dziele swem *Monaca di Monza* (1829), opracował epizod z „*Narzeczonych*" Manzoni'ego; w jego ślady weszli niebawem: Falconetti, Varese, Bazzani, Defendente Sacchi oraz inni. I Tommaso Grossi, który rozpoczął, podobnie jak Walter Scott, od poetycznych, sławiących średnie wieki epopei, (*la Fugitiva i Lombardi alla prima crociata*, *Ildegonda*, *Ulrico e Lida*) przeszedł niebawem do prozaicznéj epopei, do powieści historycznéj (Marco Visconti 1835). Wymienić tu również należy zięcia Manzoni'ego, M. d'Azeglio („Ettore Fieramosca" i „Niccolo de Lapi") oraz Cezara Cantu („Margarita Pusterla").

Gdy powieść historyczna cofa się w przeszłość, biorąc postaci dziejowe za swych bohatérów, którzy nie rzadko bywają piastunami zwyciężonych ideałów i bojownikami obcych dla nas walk, powieść społeczna bierze swe postaci i akcyę ze świata współczesnego, odbija codzienne nasze radości, a zwłaszcza bóle, otwarcie zawsze dążąc do podniesienia mas, pod względem moralnym, politycznym i ekonomicznym. Wychodząc z założenia, że państwo powinno być urzeczywistnieniem idei moralnéj, zgodzić się trzeba na to, że zadaniem powieści społecznéj jest obnażanie sprzeczności zachodzącéj pomiędzy tą ideją a rzeczywistością, oraz malowanie walk i bólów, przez które się prze-

chodzi, dążąc do niéj. Jeżeli powieść historyczna bywa przeważnie natury arystokratycznéj, to społeczna jest w znacznéj części demokratyczną; jeżeli pierwsza wyprowadza na światło zamierzchłe cienie świata średniowiecznego, feodalnego, boje o władzę świecką i duchowną i wskrzesza wyższe sfery towarzyskie ubiegłych stuleci — druga bierze swych bohatérów bezpośrednio ze świata współczesnego i maluje walki oraz bóle tych nieszczęśliwych, którzy, pozbawieni dobrodziejstw, jakie wyższym, zamożniejszym sferom daje wykształcenie, nędzny prowadzą żywot, jeśli zaś porywają się do boju, mającego na celu losu ich poprawę—nielitościwa czeka ich zagłada. Rzecz prosta, że ten kierunek musiał się wydawać złowrogiem straszydłem rządowi burbońskiemu oraz władzom duchownym, to téż wszyscy hołdujący mu pisarze zostali pomieszczeni na listach proskrypcyjnych.

Jeżeli *Ginevrę* sądzić będziemy z estetycznego punktu widzenia, to przedewszystkiém podnieść należy, że pod względem czystości języka, prostoty stylu oraz przezroczystéj i jasnéj koncepcyi, dzieło to należy do najcelniejszych płodów współczesnéj prozy włoskiéj. Jest ono najzupełniéj godne wielkiego mistrza, Leopardiego. Razi nas natomiast wyrafinowana szkarada wizerunków prawie wszystkich w dziele tém występujących osób, które zda się wybrały biedną *Ginevrę* na jagnię ofiarne dla brutalstw wszelkiego rodzaju — i poważanie, jakie żywimy dla charakteru autora, nie staje na przeszkodzie stwierdzeniu, że nienawiść, żywiona przezeń względem księży i rządu burbońskiego którym nie jedną zawdzięczał katuszę, nieraz mu pozwoliła przeoczyć różnicę, zachodzącą pomiędzy poezyą, a nagą prawdą, jaka czasem w aktach sądu kryminalnego spotykać się daje. Lecz i do *Ginevry*, podobnież zresztą jak i do całego tego kierunku, zastosować można przytoczone przez nas powyżéj zdanie Gervinusa: „Poezya, wystawiając na sztych reguły surowéj formy, odtąd poczyna sławę swą zasadzać na bezpośredniém, reformę na celu mającém wtargnięciu w granice teraźniejszości.”

Uwaga ta wykazuje nam różnicę pomiędzy tym kierunkiem, a *Weltschmerzem*. Bez względu na zupełne, niepodzielne oddanie się Ranieri'ego poecie—niosącemu sztandar *Weltschmerzu*, już pierworodném dziełem swém zapowiada on, że nie staje po stronie zasad przyjaciela, lecz hołduje idei doskonalenia stosunków współczesnych. Jeżeli Leopardi skarżył się, że cnota jest czczym wyrazem, urojeniem, to Ranieri wyraźnie do tych słów stosuje to, co Ginevra mówi do swego spowiednika: „Z tego, co ci o moich losach opowiedziałam, oraz z tego, co mi jeszcze do opowiedzenia pozostaje, nie przypuścisz, że zbyt mocno

w cnotę wierzę. A jednak uwielbiam ją, korzę się przed nią i nie uważam jéj za czcze słowo, lecz za coś realnego, rzeczywiście istniejącego." Jeżeli Leopardi uważa los i naturę za obojętne względem ludzi, nieszczęście człowieka za wewnętrzną konieczność, uwarunkowaną przez całą jego organizacyę, wszelkie zaś urządzenia państwowe za niezdolne do zmiany na lepsze tego stanu rzeczy, to Ranieri czyni człowieka odpowiedzialnym za los własny i swoich bliźnich, mówiąc co następuje: „Ziemia wystarcza do wyżywienia o wiele większéj ilości ludzi, niż te 600 milionów, które ją obecnie zamieszkują. Jeśliby to wszakże było możebném, że jedyny człowiek opanowałby ją rzeczywiście, to ten jeden żyłby sam, owe zaś 600 milionów z głodu umarłoby razem. Nie potrzebowałby wtedy ni jeden być na ziemi, coby był istotnie nieszczęśliwy, ni jeden, któremuby rzeczywiście niezbędnych do życia rzeczy brakowało. Przypuściwszy jednak, że to nie jest możliwém, to przecie społeczeństwo ludzkie powinno wystarczyć do udzielenia pomocy o wiele większéj liczbie nieszczęśliwych, niż ta, która pomocy téj potrzebuje. Jeżeli wszakże nikt nie chce się stać skutecznym tłómaczem nędzy tych nieszczęśliwych, lub téż jeżeli to, co społeczeństwo daje dla ich wspomagania, bywa na inne cele obracane, to nie jest to ni winą opatrzności, ni téż przypadku, ni losu, ni téż przyrody, ni — jakkolwiekbądź byśmy to nazwali — owéj tajemnicy wszechrzeczy... lecz jedynie winą samego człowieka." *Weltschmerz* nacechowany był sceptycyzmem i mizantropią, nowy zaś prąd, kierujący sobie drogę w piśmiennictwie, znowu do Boga prowadzi. Ginevra opowiada, jak, po zakosztowaniu wszystkich bólów tego świata, w odludnéj Kampanii, w owéj leśnéj jaskini, wzorem zamieszkałéj tam od wielu lat pustelnicy zwróciła się do Boga, ofiarując się nazawsze niebieskiemu oblubieńcowi. Mówi ona: „Nie mogłam mu już złożyć na ofiarę kwiatu mojego dziewictwa, ale oddałam mu moje serce, które czystém pozostało; nie na ołtarzu Ś-go Piotra, ni S-ta Maria Maggiore, lecz na wielkim kamieniu w owéj jaskini; i ten, który urodzeniem swém zlał łaskę nie na Rzym, lecz na Judeę, może właśnie dlatego nie pogardził mą ofiarą. O jakże słodkie były spożywane przez przez nas zioła i chléb, przyprawione tą inną niebieską potrawą, która nas dniami i nocami żywiła. Jakże było wszystko w jaskini téj miłością i weselem. Nawet dzikie zwierzęta, które wiedziały zapewne, że nie potrzebujemy ich mięsa dla naszego pożywienia, przychodziły do nas w odwiedziny, jak cisi, pełni miłości przyjaciele, lizały nam ręce i wyjaśniały mi w żywy sposób większą część cudów, o których się opowiada w żywotach świętych. Dni przepędzone przezemnie w owéj jaskini były jakby odbiciem owego celu,

do którego wcześniéj czy późniéj podąży życie ludzkie. Człowiek, którego śmierć nie porwie w połowie drogi żywota, wcześniéj czy późniéj dochodzi do tego, że go nic wspólnego nie łączy z pozostałymi ludźmi i że jest im podobnież obcy, jak oni jemu. A wtedy, jak nieznacznem nieszczęściem jest wykluczenie się z tłumu i czasu, w którym się żyje i byt w samotności pędzony. Wiedzie się byt w samotności, by nie być zupełnie samotnym; bowiem jeżeli tam nie mówią do ciebie ludzie, którzy zresztą i tak już z tobą nie mówili, Bóg natomiast przemawia do ciebie głosem wiatru i wszystko to co otacza ciebie jest Bogiem. — W jaskini téj przemieszkałam trzy lata, na parę tylko kroków po za obręb jéj się wydalając. Nie rozumiem, czemu ludzie, tworząc sobie pojęcie raju, wyobrażają sobie wielkie zgromadzenie zamiast samotności. Orły i róże wiekuistego światła oraz wszystkie przedwieczne sfery, nie uciszyły tęsknoty Dantego, która zwracała się tylko ku promieniejącéj miłości, co słońce i gwiazdy rozjaśnia oraz porusza. Ku tym promieniom, ku owéj miłości i ja z głębi naszéj jaskini zwracałam myśli moje i, zapominając, że jeszcze na ziemi goszczę, już się naprzód rajskiém szczęściem upajałam."

Aczkolwiek nowy ten kierunek w literaturze zwracał umysły ku Bogu oraz religii, należy jednak zauważyć, że nie ujmował jéj po kościelnemu, tém mniéj zaś po katolicku, lecz posiadał charakter na wskroś deistyczny. W ten sposób dochodzimy do właściwych znamion, cechujących rozmaite partye i kierunki włoskie, zwłaszcza zaś ich stanowisko w kwestyi kościelnéj, jak zaś w tym kraju — w kwestyi papieskiéj. Szkoła romantyczna dążyła do przywrócenia dawnych stosunków, co najwyżéj zaś starała się o zreformowanie papiestwa,—nowy zaś kierunek stawał względem niego w otwartéj opozycyi i, wierny wymaganiom stawianym przez się piśmiennictwu, że bezpośrednio i praktycznie ma się zajmować rozwiązywaniem kwestyi będących na dobie, że nie powinno tworzyć obrazów fantastycznych, lecz, odpowiednio do swych ideałów przekształcać rzeczywistość — w pierwszéj linii zwalczał papiestwo, jako źródło duchowéj i materyalnéj niedoli, gnębiącéj ojczyznę. Ranieri, który z zamiłowaniem poświęcał się studyom historycznym, ogłosił w r. 1841 w Brukselli owoc tych studyów. p. t. „Dzieje Włoch od V do IX-go stulecia, od Teodozyusza do Karola Wielkiego". Dzieło to obejmuje okres wędrówki narodów, owe najmroczniejsze wieki historyi wogóle, w szczególności zaś dziejów włoskich; zawiéra ono tajemnicę powstania rządów teokratycznych, które zdawało się, że zniknęły wraz z upadkiem dawnych państw azyatyckich, oraz przekształcenia starożytnych stosunków w nowożytne. Zbyt daleko-by nas to zaprowadziło, gdybyśmy pokazać chcieli, jak autor w dziele swém rozwią-

zał postawione sobie zadanie. Zamyka on je odtworzeniem postaci Karola Wielkiego oraz jego wieku, potém zaś mówi: „Ostatniemi płodami czasów tych, które w zestawieniu ze starożytnością i z nowożytnym okresem nazywamy średniemi wiekami, były we Włoszech wiek XIV i XVI-ty, we Francyi zaś, w Anglii, oraz w Niemczech wiek XVII-ty. Obecnie zdaje się, że dziwny przewrót zaszły w XVIII-ym, oraz we współczesnym nam XIX-ym wieku, zapowiada początek trzeciéj epoki, któréj następstwa, mające się dopiéro naszéj potomności objawić, rozwiążą stary problemat, czy rodzaj ludzki został stworzony na to, by się wiecznie obracał w kole jednych i tych samych bólów oraz błędów, czy też nieprzeparte, każdego człowieka od kołyski do grobu ożywiające pragnienie szczęścia, którego dotychczas na ziemi znaléść nie można było, nie jest złudzeniem, lecz obietnicą urzeczywistnienia, mającego nastąpić po długim szeregu wieków i nieszczęść.” Że autor hołduje tym ostatnim zapatrywaniom, wypływa to z jego pism i z jego całego życia, o którém powiedziéć można, że je niemal od dzieciństwa poświęcił odrodzeniu ojczyzny. Wyraźnie to wypowiada w przedmowie do omawianéj przez nas powyżéj historyi: „W myślach mych i w wyobrażeniu, które o sobie tworzę sam, ostatni Włoch co do talentu, lecz żadnemu nie ustępujący w płomiennéj, niewypowiedzianéj miłości, żywionéj od urodzenia dla téj świętéj Nioby narodów, dla téj wielkiéj matki, Italii, któréj przyniosłem w ofierze całe me życie i wszystkie cierpienia — już w młodzieńczym wieku, prawie nim jeszcze z lat chłopięcych wyrosłem, stała mi przed oczyma zjednoczona niepodległa moja ojczyzna, pod panowaniem jedynego króla i zniweczenie świeckiéj władzy papieża.”

Jakeśmy już zanważyli, dzieło Ranieri'ego ukazało się w Bruxelli, bowiem w Neapolu niepodobna go było drukować. Można sobie wyobrazić, jaka burza, po jego ogłoszeniu, rozsrożyła się nad głową autora, w mieście tém, w którém już samo wymówienie wyrazu „*Italia*” było przestępstwem. Jezuici smagali go w pismach swych, jemu zaś nie wolno było się bronić, choć mu grozili więzieniem i stosem. Lecz czasy całopalenia przeminęły bezpowrotnie i, aczkolwiek Ferdynand miał w sobie coś z natury Filipa II-go, był wszakże dość roztropny na to, by poznać, że panuje w XIX-ym, nie zaś w XVI-ym wieku. Nacierano na Ranieri'ego również ze szkoły Manzoni'ego, Troi, Balba i Gioberti'ego, lecz wycieczki te były godziwie prowadzone, mianowicie zaś przez Manzoni'ego w wydanym przezeń w Medyolanie 1845 r. zbiorze pism treści mieszanéj. Wiemy, że szkoła ta również dążyła do odrodzenia ojczyzny, lecz pod wodzą samego papieża, którego spodzie-

wała się dla reform pozyskać. Prąd czasu sprzyjał temu kierunkowi, wypadki zaś 1847 r. zdawały się zapowiadać ziszczenie nadziejom téj partyi, mającéj wielu stronników. Pozostańmy wszakże przy wypadkach związanych z życiem Ranieri'ego, oraz z jego literackiemi dążeniami.

Po r. 1840 rządy Leopolda II-go w Toskanii przybrały na pewien czas charakter liberalny. Władzca ten chciał zreformować szkolnictwo, powołując w tym celu najznakomitszych Włochów na katedry uniwersyteckie. Wskutek tego i Ranieri został wezwany na profesora historyi w uniwersytecie pizańskim. Napisał on w tym celu „Uwagi dla sposobiących się do studyowania umiejętności historycznych", w których wykładał metodę, jakiéj przy téj nauce trzymać się należy. Wielki książę toskański odwiedzał w owym właśnie czasie swego szwagra w Neapolu; tam przedstawiono mu, że dzięki powołaniu Ranieri'ego na profesora historyi w uniwersytecie, wychowywać się będzie rewolucyonistów we własnym kraju — nominacya téż została cofniętą.

W r. 1842 napisał Ranieri p. t. „*Frate Rocco*", szereg drobnych fragmentów moralnych, które miały się ukazać pod pseudonimem Anzelma Neri, z przeznaczeniem dochodu na rzecz neapolitańskich domów schronienia dla dzieci. Naturalnie, że autor, pragnąc cel zamierzony osiągnąć, nie mógł na pracy położyć nazwiska — i rzeczywiście manuskrypt przeszedł przez cenzurę. Dopiéro, dzięki nieostrożnemu rozpowszechnianiu wiadomości, iż rzekomym Anzelmem Neri nie jest kto inny, jak autor „Ginevry" oraz „Historyi Włoch", cenzor przeglądając dziełko po raz wtóry, wiele miejsc wykréślił i wogóle byłby najchętniéj nie przepuścił książki, gdyby nie dobroczynny cel wydawnictwa, który mu w tém stanął na drodze. Zamiast przekréślonych wierszy umieszczono kropki, które w jednem miejscu dziewięć stronic zajmowały. Wywołało to wielką sensacyę i rząd neapolitański nie pozwolił od téj chwili zastępować kropkami wykréślonych miejsc w książce. Dopiéro w r. 1859 ukazał się „*Frate Rocco*" we Florencyi w zupełnem, wspaniałem wydaniu.

„*Frate Rocco*" była to w zeszłem stuleciu popularna w Neapolu osobistość, Dominikanin, kaznodzieja uliczny, wielki wpływ na lud wywierający. Autor kładzie mu w usta iście ewangeliczne nauki, zwrócone do ukochanego ucznia, z którym obchodzi miasto i jego okolice i któremu ukazuje upadek oraz moralną i materyalną nędzę ludu, jego próżniactwo, ciemnotę, namiętność do gry, mściwość, żebractwo, zamiłowanie w pieniactwie, swawolę żołdaków i t. p., prowadząc go po wy-

brzeżu przy Santa Lucia, to znowu do Portici, to na Capodimonte, to znowu do więzień i sądów w Castel Capuano, wreszcie do szpitala. Tu przy łożu chorych i umierających, gdzie autorowi niewątpliwie ocknęło się w duszy wspomnienie tyloletniéj opieki nad mrącym Leopardim— *Frate Rocco* do młodego swego towarzysza temi odzywa się słowy: „Dla złagodzenia ran naszych współbraci, ręka, synu mój, nie wystarcza, potrzeba jeszcze miłosierdzia (*carità*). Jest ono dla udzielającego pomocy tém, czém cierpliwość dla cierpiącego. I jedno i drugie bywa jedyną pomocą wtedy, gdy znikąd już pomocy spodziéwać się nie można. Niema tak wielkiego nieszczęścia, tak strasznéj boleści, którychby pieszczota, wyraz pociechy, westchnienie, wzrok—to lube odbicie światła w tajemniczych zwierciadłach duszy, oczyma nazywanych — nie mogły uczynić znośnemi, napoić ukrytą, niewypowiedzianą słodyczą. Pomnij, że lekarstwo jest rzeczą ludzką, miłosierdzie zaś ma w sobie coś boskiego. Przekonaj się, że jest ono najpiękniejszym darem, który niebo udzieliło ziemi, a Bóg ludziom, zaszczepiając im własną swą naturę."

Ranieri poświęcał się w owym czasie z wielkim zapałem i ze znakomitém powodzeniem adwokaturze, że zaś jego majątek uszczuplił się przez podróże i studya oraz przez wydatki, ponoszone dla zmarłego przed niedawnym czasem wielkiego przyjaciela, a praca piśmiennicza raz na zawsze została mu zamkniętą, powodzenie to tém bardziéj było pożądane, że pozwoliło mu żyć przyzwoicie, wraz z siostrą Paoliną, nieodstępną jego towarzyszką.

Zmiana porządku rzeczy we Włoszech, datująca się od ofiarowania tyary papieskiéj Piusowi IX (1846 r.), co miało urzeczywistnić utopie Gioberti'ego i jego partyi, przejęła niewypowiedzianym smutkiem głębiéj patrzącego Ranieri'ego, przewidywał bowiem daremny przelew krwi i bolesny zastój na drodze do zjednoczenia Włoch prowadzącéj. W ruchach z następnego roku nie brał wcale udziału. Jakże mógł zasadniczy przeciwnik papiestwa połączyć swój głos wraz z innymi w okrzyku: *Viva Pio Nono*! Zasady te nie zawiodły go, okrutna zaś reakcya r. 1849 i lat następnych utwierdziła jego przekonania. Zapanowało straszne dziesięciolecie, kiedy dość było najsłabszego podejrzenia, by na zawsze uciszyć jednostkę, przez rząd o nielojalność posądzaną. Miecz zawisł i nad głową Ranieri'ego, jako znanego liberała. Wypadki z r. 1859 i awanturniczy, lecz płodny w następstwa pochód Garibaldiego zostały powitane jak zbawienie. Ranieri był pierwszym z owych sześciuset patryotów, których neapolitański komitet narodowy wysłał do dyktatora, by prosić go o opanowanie tego miasta (6 wrze-

śnia 1860 r.). Później był on również jednym z tych, którzy się udali do Grottamare, dla doręczenia królowi Wiktorowi Emanuelowi adresu Neapolitańczyków.

Od owego czasu poczyna się w życiu Ranieri'ego nowy okres — parlamentarny. W zasłużoném uznaniu wieloletnich jego dążeń i cierpień, poniesionych za sprawę wolności i zjednoczenia ojczyzny, rodzinne miasto obrało go na deputowanego do parlamentu i trzykrotnie potém jeszcze wybór ten ponawiało. Podczas dyktatury Garibaldiego, Ranieri'emu, jako autorowi „*Ginevry*", ofiarowano dozór zwierzchni nad wielkim domem schronienia dla biédnych mieszkańców Neapolu. Odmówił przyjęcia dochodów z tém stanowiskiem związanych, lecz zażądał nieograniczonego pełnomocnictwa do wszelkich zmian, które będzie uważał za konieczne przeprowadzić w zarządzie zakładu. Rzecz się o to rozbiła z jawną szkodą dla tysięcy nieszczęśliwych, cierpiących z powodu błędów oraz złéj woli owego zarządu. Wkrótce potém Ranieri został powołany na profesora historyi w uniwersytecie medyolańskim, oraz na profesora filozofii historyi we florenckim *Reale Instituto di studii superiori pratici e di perfezionamento*, wzorowanym na *Collége de France*. Ostatnią z tych katedr byłby chętnie objął, przez pamięć na gościnne przyjęcie, doznane w mieście tém, w czasach wygnania oraz dla wielu stosunków, łączących go jeszcze z owych czasów ze wszystkimi pozostałymi tam wybitnemi mężami. Zwyciężyło wszakże powołanie go do wykładów w uniwersytecie neapolitańskim. Specyalnym dekretem królewskim, zawierającym jego nominacyę, zostali również do objęcia katedr wezwani: Gino Capponi, Alessandro Manzoni oraz Giuseppe Ferrari. Ranieri zgóry zrzekł się wszelkiego wynagrodzenia, wogóle bowiem na całe życie postawił sobie za obowiązek nie przyjmowanie od rządu wynagrodzenia, bez względu na to, w jakiéj formie. Kiedy wydano prawo orzekające, że tylko pewna liczba zajmujących posady rządowe może zasiadać w izbie deputowanych, kiedy przytém uznano, że zrzeczenie się pensyi nie wystarcza — Ranieri ustąpił z profesury. Po rozwiązaniu izby, jakkolwiekbądz należącemu do opozycyi rząd przywrócił katedrę, z której ustąpił z chwilą, gdy go znowu deputowanym obrano. Cavour mianował go radzcą stanu — nie przyjął téj godności; ministeryum Ratazzi'ego mianowało go w maju 1862 r. członkiem senatu—i tę godność, najwyższą w nowo-utworzoném państwie włoskiém, odrzucił, mówiąc, że chce przedewszystkiém przedstawicielem ludu pozostać i że zaufanie, okazane mu przez wyborców, nadewszystko cenić musi. Podobnież odrzucił i wielki krzyż orderu św. Maurycego i Łazarza. Natomiast z radością przyjął mianowanie

go członkiem *Accademia della Crusca*, jako uznanie jego zasług literackich. W izbie deputowanych należał do lewego centrum, do owéj grupy niezawisłych monarchistów, opiérającéj się energicznie, choć bezskutecznie, tak zwanéj Consorterii, która na wszystkie ministerya wpływ wywierała. Cztery jego mowy, wypowiedziane w izbie deputowanych, zebrano i wydano p. t. „*Quattro discorsi di A. Ranieri deputato, circa le cose dell' Italia meridionale.*" Torino e Milano, 1862 roku.

Zbiorowe pisma Ranieri'ego ukazały się w latach 1862 — 1864, w trzechtomowém wydaniu w Medyolanie u Guigoni'ego. Rozpoczęta przezeń „Historya Neapolu" została przez rząd burboński skonfiskowana, a potém spalona. Czas wolny od czynności politycznéj, w ostatnich latach pracowitego żywota, poświęcał wykończeniu dawno jeszcze rozpoczętego dzieła, mającego objąć historyę Włoch od Konstantyna do Wawrzyńca Medyceusza. Otoczony powszechną czcią wszystkich warstw narodu, zmarł w d. 9 stycznia 1888 r.

Jesteśmy u kresu naszéj pracy, rozpoczynającéj się od Leopardiego i kończącéj się jego imieniem. Staraliśmy się odtworzyć jego samego, jego życia i dzieła, współczesne mu prądy i dążenia, wreszcie koło jego przyjaciół. Widzieliśmy, jak po jego śmierci wystąpiło w literaturze nowe pokolenie, ściśle związane z polityczném i religijném bojowaniem, oraz z cierpieniami zjednoczonych Włoch; poznaliśmy bliżéj przynajmniéj jednego z tych bojowników, na którego Leopardi wywierał jeszcze wpływ bezpośredni i który najlepszą część młodego swego żywota poświęcił mrącemu powoli poecie. Przelotnie tylko wspominaliśmy o współdziałajacych w tém kole: Niccolinim, Giustim i Guerrazzim. Wkrótce po nich wzrosło nowe pokolenie, dążące do zespolenia dążeń Manzoniego oraz Leopardiego, a mające swych przedstawicieli w Aleardo Aleardim, Giulio Carcano, Seolarim i Bellinim; potém przyszedł weryzm z Carduccim i Stecchettim— ...zjawiła się Ada Negri-wreszcie wystąpił d'Annunzio. Ostatecznego wyroku o ich działalności piśmienniczéj wydawać jeszcze nie możemy, zaś zagłębianie się w szczegóły wyprowadziłoby nas daleko po za granice, niniejszéj pracy zakréślone. Zauważymy tylko to, że polityczne oraz religijne kwestye czasu wypierają na poślednie plany wszelkie inne dążenia, narzucając poezyi obce lub téż zgoła dla niéj nieodpowiednie pierwiastki. Połączmy nasze życzenia z życzeniami najlepszych patryotów włoskich, by udało się wreszcie kwestye te rozwiązać i odrodzić, wyposażony w najpiękniejsze przymioty, przez długie szeregi wieków ciemiężony, a dziś tak jeszcze upadły naród! Wtedy i poezya włoska, co pierwsza puściła latorośl na drzewie nowożytnej poezyi europejskiéj, bujném pokryje się

kwieciem i nie ziści się przepowiednia Giordaniego, że jak w Dantem jutrzenka, tak w Leopardim wieczorna zabłysła gwiazda na niebie poezyi włoskiéj. Miejmy nadzieję, że po mrokach nocy wzejdzie nowe rano dla nieszczęśliwego kraju i że ruch, budzący się w nim na każdém polu pracy jest tego odrodzenia zapowiedzią. To, co przy uroczystości, poświęconéj pamięci bohatérów padłych pod Thermopilami, Leopardi wypowiada, jako życzenie przez usta Simonidesa: — „Tak więc błagam bogów, by imię waszego pieśniarza było czczone po wszystkie przyszłe czasy, a sława jego trwała, jak długo wasza trwać będzie!" — ziści się napewno samemu słów tych twórcy.

G. B.



TOMASZÓW RAWSKI,

miasto fabryczne.

„Ci, co szanują ojczysty kątek,
Błogosławieni!
Każdy ma skarbiec drogich pamiątek,
Lecz czy go ceni?“

Możnaby postawić sto przeciw jednemu, że większość ziomków naszych, znających Paryż, Rivierę, albo znających genezę ognisk kultury lub przemysłu zagranicznego, ani wié, że Tomaszów, jedno ze znaczniejszych środowisk przemysłu krajowego, w początkach naszego stulecia, na całéj przez 23-tysiączną ludność zamieszkałéj obecnie przestrzeni, niebotycznym szumiał borem.

Tu, gdzie dziś liczne fabryki strzelają w górę wysokiemi kominami, a świstem i stukiem hałaśliwie zaznaczają wrące w nich życie, w przeszłém stuleciu tylko dęby i sosny, poważne między sobą prowadząc rozhowory, szmerem gałęzi niezakłóconą mąciły ciszę.

Właściciel tych borów, Tomasz Adam hr. Ostrowski, kasztelan czerski, a późniejszy prezes senatu Królestwa Polskiego, dziedzic pobliskiego miasteczka Ujazdu, człowiek przedsiębiorczy (wówczas już

posiadający magazyny zbożowe w Odesie), zapragnął w dziedzictwie swém ulepszyć rolnictwo i zaprowadzić przemysł.

Dobréj woli traf przyszedł w pomoc:

Między robotnikami, sprowadzonymi dla osuszenia błot, znajdował się i grabarz z Kielc, który w trakcie robót niebezpiecznie zachorował, a gdy dziedzic zajął się nim troskliwie, leczył go i doglądał, ów przez wdzięczność wskazał wykrytą przy kopaniu rudę żelazną, w nadzwyczaj obfitych pokładach.

Sprowadzeni z „Miedzianéj Góry" górnicy odkrycie to potwierdzili, i to dało początek osadzie przemysłowéj.

Już w r. 1789 księgi parafii chorzęcińskiéj wzmiankują osadę „Tomaszów".

Miejscowość, odległa od Warszawy mil 14, od granicy szląskiéj o mil 16—18, od Berlina 63, Wrocławia 30, Opatówka, Kalisza, Wieruszowa po 18, od Krakowa, Podgórza 22, od nowych miast fabrycznych: Zgierza, Ozorkowa, Łodzi, Aleksandrowa, Zduńskiéj Woli, Przedborza, Skierniewic 6—8 mil, od Wisły 12, od Radomia 10, Uściługa 40, od Brodów 50, od wolnego wówczas portu Odesy (na którą liczono, jako na poważny rynek zbytu) 130 mil, przez szczęśliwe swe położenie geograficzne obiecywała stać się ważném centralném ogniwem owego handlowo-fabrycznego łańcucha.

Tak téż przepowiadał téj osadzie założyciel.

W r. 1815-ym, po utworzeniu Królestwa, syn Tomasza, Antoni hr. Ostrowski, człowiek rozumny i wielkiego serca, posiadacz rozległych obszarów, obfitujących w glinę, wapno, drzewo budulcowe, wełnę z owiec własnych i wiele innych produktów, mogących w przemyśle szerokie znaléść zastosowanie, podjąwszy myśl ojca, postanowił zaprowadzić tu napraszający się dzięki pomyślnym warunkom zewnętrznym przemysł tkacki.

Party poczuciem obywatelskiém (o czém świadczy nagłówek jednego z jego pamiętników: „Arystokracyo! chceszli nie paść ofiarą nieuchronney a iuż blizkiej świata reformy, wcześnie umysł twóy, położenie twe, osobiste y maiątkowe do takowey naginay"), pozostawiając po za sobą przesądy kastowe, które każde, z wyjątkiem rolnictwa, zajęcie uważały za ubliżające, a porównywając w podróżach swych różnice dobrobytu na Szląsku, w Saksonii, Austryi i u nas, zapragnął warunki onego przeszczepić na grunt ojczysty.

Wkrótce téż królestwo swawolnych nimf i boginek leśnych zajął poważny Merkury.

Do umiłowanego tego przez siebie kąta począł założyciel ściągać osadników.

Dziś jeszcze wokół Solingen nad Renem spotkasz robotników, których dziadowie otrzymali zaliczkę na przyjazd do Tomaszowa.

Sądzono z początku, jak sam założyciel opowiada, że „dla romantyzmu lub oryginalności" wybrał to dzikie pustkowie, on jednak „wolał kraiać z materyi nowey jak ze starey i wyszarzaney".

Na forpoczty nie wysyłają marszałków; i tutaj nie bogacze ciągnęli w przedniéj straży, lecz „lud bardzo ubogi, a nie bardzo chędogi". Zimą, wśród najtęższych mrozów, poczęli ze wszech stron przybywać nowi osadnicy. Kierowano się wtedy zasadą: „kto pierwszy, ten lepszy". Każdy przybysz, byle miał świadectwo, że nie zbrodzień i nie włóczęga, otrzymywał grunt pod swoją siedzibę.

Zagospodarowanie się tych biédaków, którym po większéj części żywność na pierwszy czas udzielana być musiała, zasadzało się początkowo na wykopaniu w suchym, piaszczystym gruncie tutejszym dołka, który trzeba było ocembrować, żeby się nie osypywał. Daléj: kilka krokiewek, zamiast łat kładziono napoprzek dyle jakie takie, a gdy i tych nie stało, to i gałęzie. Walono na nie mech i obsypywano piaskiem. Znajdująca się pod piaskiem glina służyła do wylepiania szczelin i kominów.

I ot, w ciągu dni trzech, jak z pod ziemi wyrastały pałace *à la* Robinson, z których właściciele szczęśliwszymi się czuli, niż niejeden magnat ze swéj wykwintnéj siedziby. Cóż bo może iść w porównanie z rozkoszą poczucia: rano przybyłem nędzarzem z dziesięcioma palcami za cały kapitał, wieczorem jestem właścicielem kawałka gruntu, jutro miéć będę nad głową dach własny.

Budowali się w równéj linii dla symetryi. Przeszło 40,000 morgów było na kolonie przeznaczone.

Najpierwszą z tych kolonii właściciel nazwał „Precz biedo" (dzisiejsze baraki) i ta w lat parę przeobraziła się w porządnie zabudowaną wioskę.

Mała ta osada kuźnicza, położona wśród lasów wysokopiennych, sosen i dębów, przeglądających się jakby przed zgonem w pyszném wód źwierciedle, ulaném przez pełną życia Wolbórkę, ponad któréj cienistemi brzegami niedawno jeszcze lęgły się bobry (o czém świadczyły misterne, porzucone przez nie domki), gdzie żyły jeszcze puszystém futrem okryte wydry, posiadała ludności trzydzieści kilka dusz, 4 domy, 2 fryszerki, a za cały dochód 400 złp.

Za wieczyste wydzierżawienie gruntu dziedzic nie żądał wkupnego. Osadnicy i ich dzieci uwolnieni być mieli od konskrypcyi wojskowéj.

Własność obudziła przemysł, a z nim wiarę w lepszą przyszłość u tych, co dotąd bezowocne z nędzą staczali walki, rodziło się przywiązanie do własnego kąta.

Ludek nie próżnował, nie kradł, „bo nie głodny był i nie w nędzy". Powstał Wielki Piec z odlewnią, a przy nim domki dla robotników.

Zakłady jednak po rok 1794 wskutek nieprzychylnych warunków ekonomicznych słabo się rozwijały.

Właściwe zapoczątkowanie Tomaszowa przypada na r. 1815-ty, w którym to roku dziedzic sprowadził z Görlitz i Grünberga pierwsze rodziny tkaczów. Pod godłem: „*ars longa, vita brevis*" poczęta została osada fabryczna Tomaszów. Pod drugiém „*ora et labora*" stanęła pierwsza filatura, t. j. przędzalnia, urządzona na wyrób najcieńszych materyałów sukienniczych.

I tak: przy trakcie pocztowym warszawskim, między Rawą a Piotrkowem, o kilkadziesiąt kroków od spławnéj Pilicy, tuż przy wartkiéj Wolbórce wyłaniać się począł z mroku leśnéj gęstwy dzisiejszy Tomaszów.

„Miesce to — opowiada w pamiętniku swym założyciel — od samey natury iest obdarzone nadobną, nieco pagórkowatą, zdrową, w wody i lasy obfituiącą okolicą: wznoszą się nad powierzchnią ziemi, skaliste łomy wapienia, kamienia i głazu do budowy murowanéj wyśmienitego. Wnętrze ziemi wydaie rozmaite kopalniane produkty, a mianowicie rudę żelazną. Miesce to iuż w ogólności od znawców, iako za wyborne do rozmaitych zakładów rękodzielniczych i przemysłowych usposobione, uznane zostało."

I nie mylili się ci „znawcy".

Osada, licząca początkowo cztery marne chałupy, w ciągu lat ośmiu rozrosła się do gromady kilkudziesięciu pięknych, murowanych po większéj części domów, zamieszkałych przez pięciotysięczną cudzoziemską coprawda przeważnie, ludność.

Charakterystyczne, że nie przesiedlali się tu Francuzi, ani Anglicy, jeno Niemcy, których przyniesiona na świat dewiza „*ibi patria, ubi bene*" ściągała całemi gromadami.

Tym z osadników, którzy zobowiązali się porządnie, podług przyjętego planu stawiać domy, dawano bezpłatnie drzewo na belki, krokwie, łaty, rygle. Wolno było darmo zbiérać kamienie polowe, wydobywać je w łomach skalnych, używać gliny, wapna, żużla, co przyczyniało się do zmniejszenia kosztów budowy. To téż większość stawianych wówczas domów wznoszona była z kamienia. Nadto materyały budowlane, jak: cegłę paloną, dachówkę, żelazo, otrzymywali sposobem

awansu ci z kolonistów, którzy wyższą od drugich na zajętym przez siebie gruncie wykazać potrafili użyteczność, jeśli np. za nimi pociągnęła znaczna liczba ludu pracowitego, lub jeśli u siebie dużo zatrudniali ludzi.

Nie pogardził téż placem w Tomaszowie i nie jeden szlachcic, właściciel wioski, urzędnik nawet, gdyż umiarkowany czynsz, swobodna organizacya, pomoc budowlana, zabezpieczenie własności nęciły widokami świetnych nadziei. Każdy téż kwapił się wznieść sadybę swoją w miejscu, które za najdogodniejsze uważał.

Po obu stronach szosy, prowadzącéj do Piotrkowa, wyciągnął się sznur domków przeznaczonych na mieszkania robotników.

Miejsce to Niemcy ochrzcić chcieli nazwą „*Spinnlinie*”, miejscowi jednak od założyciela nazwali „Nowym Ostrowem”, hr. Antoni zaś ku uczczeniu pamięci rodzica swego, Tomasza—„Tomaszowem”, pod którą to nazwą ostało się po dziś dzień.

Na obecnéj ulicy Piotrkowskiéj, która w roku 1897 zabrukowana, opatrzona w szerokie chodniki, z urządzoną pośrodku aleją spacerową, o lepsze walczyć usiłuje z ulicami miast wielkich, stanął jeden jedyny długi budynek na dom familijny dla robotników. Dziś, w końcu wieku, kiedy ich liczba wzrosła do dziesiątków tysięcy, nikt o domach familijnych nie myśli, a robotnik gnieździć się musi ciasno, brudno a drogo.

Pałac rodziny Ostrowskich już w r. 1812 stał tu, gdzie go dziś widzimy.

Dla robotników ewangelików wystawiono „za wodą” drewniany kościołek, a pierwszym pastorem był tu ks. Otto, w lat kilka po nim ks. Beni.

Ludności katolickiéj dozwolony był wstęp do kaplicy pałacowéj, gdzie służbę Bożą pełnił naprzód ksiądz Klonowski, po nim ksiądz Dittrich. W r. 1823 przeniesiony został tu za zezwoleniem władzy duchownéj drewniany kościołek ze wsi Tobiasze.

Dojeżdżając do Ujazda, widać opuszczone przezeń groby, nad któremi, litując się jakoby ich sieroctwa, stare olchy pieśń nucą żałobną.

Za kościołkiem, takim jakim go dziś jeszcze oglądamy, z niszami, w których, zamiast świętych, rozsiadły się mchy szare i porosty, z omszałą, pozieleniałą od starości dzwonnicą, przytuliło się ostatnie schronisko umarłych.

Kiedy w pół prawie wieku potém rozpoczęto budowę kościoła na Brzostowskiéj, a za miastem pod Starzycami urządzono cmentarz, nikt nie chciał tam chować swych zmarłych, — siłą przyzwyczajenia trzy-

mano się starego cmentarzyska. Dopiéro w r. 1854, kiedy pochowano tam pierwszych zmieciony przez cholerę, dali się jakoś ludziska do nowego przekonać cmentarza.

Wrota starego kościołka, a z nim i cmentarzyska, pokryło zapomnienie, a dziś zasnute przędzą lat dziesiątków, otwierają się one gościnnie raz tylko do roku: w Dzień Zaduszny.

Stare pokolenie wymarło. Opuszczone groby, ramionami poprzechylanych krzyżów, jakby zmiłowania błagały dla tych, co tam cicho śpią pod niemi. Niema tu dłonią kochającą ukwieconych mogił, niema świateł zapalonych, gdzieniegdzie tylko ręka pobożna kilka kwiatów w spękany zatknie kurhan, wiatr jesienny mogiły pękami uschłego przystroi liścia, a jeśli na „wieczne odpoczywanie" łzą żalu zasnutą ujrzysz źrenicę, to na pewno w oku starca, młode bowiem pokolenie nic już ze starym nie ma wspólnego cmentarzem.

„Lecz ziemi, już dosyć."

Wytchnęliśmy w ciszy i cieniu grobów, czas wracać do żaru i gwaru życia.

Jednocześnie z przeniesieniem z Tobiaszów kościołka, stanęła w Antolinie pod Ujazdem pierwsza fabryka, a nad Wolbórką pałac. — W r. 1822 w Tomaszowie były 3 domy i mieszkało 30 ludzi, zajętych przy fryszerce. Wkoło szumiały bory. W r. 1823 było już 100 warsztatów wyrabiających cienkie sukna, 8 postrzygalni, 3 folusze, fabryka tkanin wełnianych o 16 warsztatach (merynosy i czerkasy) płócien, płócienek kolorowych, tasiemek i t. d. Pierwszym, który otworzył fabrykę, był Lewek Silber, „*factotum*" i prawa ręka założyciela. Wkrótce dwa rynki, na których niewykarczowane jeszcze sterczały pniaki, napełniły się ludem wiejskim, o mil kilkanaście dla zbytu przybywającym. Nawet ogrodnicy przyjeżdżać poczęli z kwiatami i drzewiną do sadzenia.

Wysokie zyski, jakie przy pomocy taryfy celnéj osiągnęli pierwsi fabrykanci, ściągnęły więcéj przybyszów. W ciągu roku przybyło 1,200 ludzi i 30 murowanych domów. W r. 1824 otrzymał Tomaszów prawa osady fabryczno-handlowéj i wójta. Powstały dwie przędzalnie: Barchwitza i Huetmana, z najprzedniejszemi niderlandzkiemi maszynami i wyśmienitą apreturą. Doskonałe urządzono folusze, najlepszych sprowadzono farbiarzy. Wszystko to przyczyniło się odrazu do postawienia fabrykacyi na takim stopniu doskonałości, że zasłynęła szeroko. Szły téż wyroby tutejsze nietylko do kraju i Cesarstwa, ale nawet „do Kiachty i daléj w państwo Chińskie".

W drugim i trzecim zaraz roku od założenia porządne, na sposób zagraniczny urządzone oberże i domy zajezdne zapełniać się poczęły krajowymi i zagranicznymi kupcami.

Kipiało życiem. Na szumnéj Wolbórce dudniały mosty pod kupieckiemi brykami, „z gotówką zaieżdżaiącemi i piękny nader towar zabieraiącemi". Otwiérać się poczęły kantory handlowe, tworzyć spółki. Zakłady przemysłowe tak się nagle do Tomaszowa przenosić zaczęły, jak wiatrem pomyślnym na żyzną glebę przerzucane soczystych roślin zarodki.

Ten bujny rozkwit młodości mimowoli nasuwa porównanie Tomaszowa z owemi cudownemi dziećmi, co tak wiele gwałtownym swych pierwszych lat rozwojem obiecując, stają wśród drogi, aby tak mało dotrzymać. Mimo doskonałą markę, jaką bezsprzecznie cieszą się jego wyroby, mimo tak szczęśliwe warunki zewnętrzne, jak obfitość wody i budulca, taniość placów [1]) i robotnika, co za kolosalna różnica z młodszą od niego Łodzią, na którą niedawno jeszcze Tomaszów patrzał przez ramię, a na któréj usługach zostają obecnie jego przędzalnie, apretury, cegielnie i tartaki.

A Łodzi brak właśnie owych szczęśliwych warunków zewnętrznych. Ale Łódź ma motor rozwojowi jéj siedmiomilowe nakładający buty: energię, na którym to punkcie Tomaszów szwankuje absolutnie.

Po tym nawiasie powróćmy do opowiadania.

Wszystko to, co w przemyśle piękném, pożytecznem lub zyskowném było, przyswajano sobie raźno. Wyrób udoskonalał się z dnia na dzień, zamożność mieszkańców i sąsiednich włościan wzrastała. Cyrkulacya pieniędzy obfita sprowadziła w naturalném następstwie zniżkę stopy procentowéj. Założyciel nie przestawał myśléć nad tém, co z jakiéjkolwiek strony korzyść lub ulepszenie stanowić mogło. Zaprowadzono nawet uprawę roślin farbierskich, jak: marzanna, *krappe de garance* i t. p. Próby téj kultury, jak niemniéj ostów do kardowania, na które duże teraz zagranicę wychodzą sumy, udawały się wybornie pod nadzorem dwu sprowadzonych z pod Wrocławia specyalistów. Przybył też ogrodnik z ogrodu botanicznego w Paryżu do hodowania drzew owocowych.

W przeciągu lat siedmiu z czterech domków kuźniczych osada wzniosła się formą do typu zamożnych miast europejskich niższego

[1]) Oto jaka była ta taniość placów podówczas: plac pod teraźniejszy hotel Paryski nabyto za 10,000 złotych polskich na 12-letnią rozpłatę: pod obecny dom Herknera za 500 złp.; gdzie teraz magistrat, za 4,000 złp. na rozpłatę. Mniejsze lub gorzéj położone place można było miéć darmo; między innemi plac, gdzie się pierwsza mieściła apteka Lange'go, późniéj Eborowicza, a dziś Knabego.

rzędu. W roku 1827-ym urząd skarbowy oplombował 4,800 postawów sukna.

Osada posiadała już wówczas: dwie wielkie przędzalnie poruszane wodą, wyborne maszyny niderlandzkie, apreturę urządzoną podług najnowszéj metody, przeszło 300 warsztatów, kilkunastu biegłych postrzygaczy, 4 folusze; nadto fabrykę powozów, poczynając od zwykłéj bryczki, do najwykwintniejszych pojazdów, Wielki Piec, mniejszy giserski, 2 fryszerki, 2 kościoły, bóżnicę, ekspedycyę pocztową, aptekę, doktora, felczera, akuszerkę, kilka sklepów, resursę zaopatrzoną w pisma zagraniczne i krajowe, kantor informacyjny i obstalunkowy (którego dziś niema), kilkanaście domów zajezdnych, dziesięć jarmarków zwyczajnych, dwa walne oraz targi tygodniowe.

Nie trzymając się jedynie wydeptanéj ścieżki tylko wyrobów wełnianych, jak to dziś ma miejsce, Tomaszów posiadał, niezależnie od głównéj produkcyi, fabrykę płótna, płócienek, tasiemek, tkanin wełnianych (o 16-tu już warsztatach) oraz fabrykę perkalu.

W rogu rynku mieścił się obszerny teatr, gdzie Ratajewicz ojciec ze swém towarzystwem uznojone całodzienną pracą rozweselał czoła. Dziś w miejscu tém, zamiast brawa dzieciom Melpomeny, biją się pokłony cielcowi złotemu.

A ołtarze jego rozsiadły się tak szeroko, tak wszechwładnie, że przysłoniły sobą wszystko, co było lepszych aspiracyi, podnioślejszych dążeń. Opowiadają sobie, jak o żelaznym wilku, że przed laty kwitły tu serdeczne stosunki, że umiano się bawić ochoczo, że organizowano wycieczki, urządzano szkółki, że kwestye społeczne obchodziły ogół cały.

Gdzież to wszystko?

Wrogowie cywilizacyi na usprawiedliwienie tego zaniku nie mogliby na ten raz nawet dosiąść swego konika. Postęp bowiem, jakby zaklęty, zatrzymał się u bram tutejszych, zabarykadowanych szczelnie od wszelkiego z szerszego świata świéżego prądu. Kiedy dawniéj ceniono tu, jak mówią, człowieka dla jego osobistéj wartości, dziś blaskiem bryłantów olśniona ograniczoność każdéj chwili oczy zmrużyć gotowa nie na jeden, ale na wszystkie siedm grzechów głównych. Byle kasa nabita, bodaj dla celów społecznych na dziesięć spustów zamknięta, hołd wielkości należny obudzi.

Lecz nie tu miejsce na refleksye.

W r. 1830 Tomaszów wyprodukował już samego sukna za 4 miliony złotych polskich, w tym też roku osada podniesiona została do stopnia miasta, co dnia 8 września 1830 r. uroczyście ogłoszono.

„Ogłoszenie Tomaszowa miastem — pisze do bawiącego podówczas zagranicą założyciela plenipotent tegoż, Olszewski — odbyło się z naywiększą przyzwoitością y powagą iakiey akt ten wymagał. Ceremonię rozpoczęła procesya y poświęcenie Domów, aż do Pałacu y Sali posiedzeń, która była w Sali Apolina; poczem Komisarz w asystencyi 4-ch Burmistrzów sąsiednich w zwięzłey przemowie wystawił usiłowania Dziedzica, pomyślnego skutkiem dla mieszkańców—uzyskania przywileiu na Miasto. Mnóstwo ludzi było obecnych, lecz Niemcom przyszedł grymas i tylko kilku ich przybyło, to jest: Stumpf, Goldszmit, Hertel, Blachman, Fryderyk Müller, Felsch, Hayde. Reszta, to jest znaczniejsi, uproiektowali sobie polowanie na ten dzień — mnieysza o to, obyło się zupełnie bez nich, zapewne bali się, aby ławnikiem który z nich nie był obrany."

„Mowa komisarza odczytana była następnie w języku niemieckim, poczém komisarz ogłosił Miasto, Burmistrza i Ławników zainstalował i przysięgę od nich odebrał publicznie, i na tém akt cywilny ukończony został, poczém z procesyą wszyscy udaliśmy się do kościoła, gdzie odbyło się wielkie Nabożeństwo z Kazaniem przez ks. Klonowskiego powiedzianém."

„Kazanie było dobre, ale że nasz Ksiądz, iak zwykle uszczypliwy, wiele niepotrzebnych rzeczy nagadał — obraził obecnych urzędników. Mszę celebrował ks. Ratyński, Dziekan,—obecnych na Nabożeństwie było oprócz tego 2 Xsięży, to jest: X. Zaremba i X. z Lubochni. Po skończoném nabożeństwie dla Miasta nowego odśpiewano „*Te Deum*", w czasie którego dał się słyszéć huk naszego pułku Artyleryi mieyscowego. Nakoniec po skończonym kościele Burmistrz z Trębaczami po wszystkich Rynkach y Ulicach znacznieyszych obwoził i ogłosił Miasto i na tém Ceremonia ta zakończyła się."

„O godzinie 3-éj z południa rozpoczął się Obiad i trwał do piątey, było na nim osób 36 Samych tylko Urzędników z Warszawy przybyłych,—po 3-godzinnym odpoczynku rozpoczął się Wieczór, na który zaproszone było przezemnie z Obywateli Tomaszowa Osób 70, lubo nie wszyscy przyszli, jednakże co było wybornie się zabawili. Ci, co nie byli, odżałować tego nie mogli. Wieczór tego dnia przyiemny y ciepły mnóstwo ludzi sprowadzał na Ulice przypatruiących się Illuminacyi, w czasie którey słychać było odgłosy wiwatów. Żydzi przebrani w postaci Heroldów na koniach po mieście ieździli strzelaiąc, —iednem słosłowem, okazale, przystoynie i z wszelką spokoynością odbyliśmy ten ważny Akt dla Tomaszowa i pamiętny w Dzieyach Jego."

Tomaszów, już miasto, miał podówczas 500 domów, pocztę, urząd skarbowy, ekspedycyę towarową, dwa kościoły, parę domówą modlitwy, hotel, otrzymał téż 12 jarmarków, z tych dwa trzydniowe.

Dziedzic w dalszym ciągu dawał darmo grunta pod budynki: w Starzycach na przędzalnię bawełny o sile wodnéj i na drugą po drodze do Lubochni, już poruszanéj parą. Wykończone fundamenta téj drugiéj oddawna porosły lasem.

Ponieważ w projekcie było połączyć Tomaszów z Ujazdem, jako początek właśnie tego łącznika, stanęła fabryka starzycka. Na drodze ku Brzostówce miał być po jednéj stronie rynek zbożowy, po drugiéj targ na bydło. Znajdowały się tam nawet przysposobione już na przyszłe potrzeby porządne dwie studnie. U początku szosy założono fundamenta pod kościół katolicki. Plebania była już pod dachem. Pod Zawadą stanęło 32 domków (Nowo-Ostrów), gdzie mieszkać mieli tkacze płóciennicy.

„Trzeba zacząć od końców — mówił założyciel — ku środkowi budować się będą sami".

Czy można było spodziewać się tak szybkiego a pomyślnego rozrostu, kiedy tak niedawno jeszcze pierwszy farbiarz Stumpf, chciał zwrócić 500 rs. zadatku i uciekać z tego pustkowia. W środku lasu, na krzyżowych drogach, z których jedna biegnie ku Zawadzie, druga zwraca się do Dąbrowy, znajdował się jeden ogród spacerowy, a w saméj Zawadzie, na drodze do Piotrkowa, drugi, oba z restauracyami. Dziś niema ani jednego odpowiedniego do spaceru miejsca, ani jednéj szerszéj przestrzeni, tylko w dolince pod lasem kilka krzaczków sterczy, jakby na świadectwo lepszéj, dawno minionéj przeszłości. Boć przecie miejscem spacerowém nie nazwać ogródka klubowego, gdzie tak zwaną aleją nie przejdą obok siebie dwie osoby, ażeby się nie trącić łokciami. To téż to jedyne miejsce, mające zogniskować ruch towarzyski, nie jest bardzo uczęszczaném. Pomyślny rozrost miasta dawał nadzieje ujrzenia go drugim Manchestrem, tak przynajmniéj obiecywał sobie założyciel, kiedy nadszedł rok 31. Hrabiego Antoniego nie stało. Miasto powoli w gruzy rozpadać się zaczęło. Przemysł sukienniczy upadł. Fabryki: Starzycka, Batawia i inne ledwie mizerną wlokły egzystencyę. W pałacu, kupionym z licytacyi wraz z kilkoma morgami lasu za 10,000 złotych, rozsiadła się fabryka niemca, Krama. Ścieżki przepysznego parku, przytykającego od wschodu do mostu wjazdowego, od zachodu do poczty, od północy pod browar za miasto, od południa do rynku, zarosły chwastem. Fundamenta pod kościół na drodze ku Zawadzie rozpadły się. „Co się tam bezemnie dzieje — z bólem wykrzykuje z obczyzny założyciel — nie wiem wcale, ale wiem coby się działo, gdyby mię przeznaczenie nie było z pola spędziło."

Domki, wystawione dla sukienników, częścią porozpadały się same, częścią porozbierała je na opał niesumienna ręka mieszkańców. Miasto, produkujące już wówczas za pół miljona rubli, jakby w letarg popadło. Zewsząd wiało pustką. W dwadzieścia sześć lat z górą, w r. 1857, ruch przemysłowy, acz nie w tak gorączkowém, jak początkowo, tempie, do którego chyba że niepowróci już nigdy, na nowo toczyć się począł. Syn założyciela, hr. Stanisław Ostrowski, sierotą powrócił do kraju.

Z pod popiołów przeszłości wyłaniać się poczęła teraźniejszość.

Żydkowie, którzy przy konfiskacie za bezcen nabyli ruchomości i nieruchomości, pamiętni obywatelskiéj tolerancyi ojca, podążyli skwapliwie zwrócić jedne i drugie spadkobiercy. Tylko niemiec Kram robił trudności ze zwrotem zajętego na fabrykę pałacu, z którego kompletnie Augiaszowa zrobiła się stajnia.

Na parę już lat przedtém, wskutek cła protekcyjnego, zakłady zaczęły prosperować na nowo. Miasto miało wówczas 4000 mieszkańców, a produkcya dochodziła do miliona rubli. Scheibler, będący podówczas w Ozorkowie w przędzalni Schlessera dyrektorem-mechanikiem, wystudyowawszy w podróży swéj do Anglii budowę maszyny parowéj, przyswoił ją w kraju. Ponieważ jednak tamtejsi robotnicy nową współpracownicę przyjęli z nienawiścią, rąbali i palili, wprowadzenie tutaj pierwszéj maszyny powitano z wielką obawą. Pierwsza machina parowa natrafiła na charakterystyczną tutejszą apatyę. W roku 1858 miasto posiadało już 5 maszyn parowych. W r. 1866 ludność wzrosła do 7000 głów, wyrabiano już sukna za 2 miliony rubli.

W latach następnych nowy zastój. Przybytek ludności bardzo nieznaczny, produkcya nie zwiększa się.

Rok 1874 jednak zaznaczył się rozkwitem. Otwarcie drogi żelaznéj odsłania szersze rynki zbytu. Ludność wzrasta do 9000, produkcya dochodzi do 4-ch milionów. W r. 1878 powstają znaczne fortuny, a w roku następnym ludność dochodzi do 12,000. Miasto posiada już 22 zakłady z motorami parowemi, 200 fabryk i warsztatów ręcznych, obrót wynosi $6^1/_2$ miliona rubli.

Od tego czasu przemysł, z powodu peryodycznych przesileń ekonomicznych, wznosi się bardzo wolno.

Ludność wzrosła, ubyły natomiast 3 znaczne fabryki: Starzycka, Goldmana i Jahna. Na ich miejsce przybyła jedna — Landsberga. Poczęta jeszcze w r. 1857 na kilku ręcznych warsztatach przez nieżyjącego już Hilarego Landsberga, w roku, o którym mowa, ulokowała się w fabryce Boesiga, już jako samodzielna przędzalnia, dzięki czemu w latach 1877-8-9, mogła powiększyć znakomicie naówczas rentującą produkcyę, a wreszcie w r. 1881 zbudować już własną fabrykę w szczu-

płym zakresie, składającą się z tkalni mechanicznéj, farbiarni i folusza. Dzięki nadzwyczajnym wysiłkom i uczciwéj pracy zdołała przetrwać najkrytyczniejsze dla przemysłu tutejszego lata 1884 — 1887, poczém miarowo powiększać i uzupełniać się poczęła tak, że w roku 1894 dawała już pracę 300 przeszło parom rąk, przyswajając sobie przy tém wszystkiém ulepszenia tak pod względem technicznym, jak i higienicznym.

Powodzenie swe fabryka zawdzięcza w znacznéj części staraniom pracujących w niéj od lat 26-ciu dyrektora p. Aleksandra Landsberga, a od ostatniego lat dziesiątka syna właściciela, p. Feliksa Landsberga. W r. 1885 widzimy już w Tomaszowie 15,000 mieszkańców, 4 przędzalnie parowe i wodne, 5 fabryk parowych, 1 młyn za mostem, 1 browar, 3 kompletne fabryki sukna, t. j. takie, do których wełna dostawszy się surowym produktem, wychodzi gotowym już towarem, razem 19 zakładów parowych i wodnych. Robotników, pracujących w fabrykach 8000; zbyt głównie do Cesarstwa, a nawet do Buchary.

W r. 1884 bardzo pierwotna komunikacya na Rokiciny ustąpiła miejsca dogodniejszéj: Na wschód od miasta, wybudowano stacyę kolei Iwangrodzko-Dąbrowskiéj, odległą z jednéj strony od Koluszek o 10 minut, od Opoczna o 25.

Ponieważ jednak w przeznaczeniu Tomaszowa leży zawsze jakieś „ale“, koléj nie dochodzi do miasta samego, lecz się odsunęła od niego o $2^1/_2$ wiorsty.

Obecnie to już bagatela, biegną bowiem po przez las pod osadą Gustek jedna, a za pocztą druga, dwie wygodne szosy, na których przynajmniéj całość kości pasażerów nie jest na szwank narażona.

Tu jednak drugie „ale“: jedynie ku utrapieniu rodu ludzkiego wymyślony most olbrzymi, na który po to tylko trzeba się wspinać z jednéj strony, aby fizycznie rozbitym zejść zeń na drugą. Most ten niejedno życie ludzkie ma na sumieniu. Patrząc z jego wysokości, pozostawiwszy po za sobą ruch i gwar w Koluszkach, widzisz w dole ciemną, jakby styxowa dolina, czeluść, pośrodku któréj majaczeje coś, do charonowéj podobnego łodzi. Zapanuj jednak nad nerwami. To nie żadna lokomocya potęg podziemnych. To poprostu dwa marne wagony oszczędnéj kolei Iwangrodzkiéj, tak po części zapchane, że przyczepiony bywa trzeci, aresztancki, zamiast obrzydzenia, uczucie ulgi w biednym nie mającym się gdzie podziać budzi pasażerze.

W owym czasie ludność *robocza* dochodziła do 8,000. Naturalną rzeczy koleją, cyfra ta z upływem lat wzrość winna była znacznie, a tymczasem liczba ludności wogóle wzrosła do 23,000, ilość zaś robotników zredukowała się do $^3/_4$ poprzedniéj cyfry.

To téż myliłby się ktoby sądził, że miasto nasze wielkiego wyłącznie przemysłu jest siedliskiem. Przeciwnie, statystyka przechyla w znacznéj części szalę na stronę drobnego handlu i drobnego przemysłu. I tak np. w r. 1896 na ogólną liczbę 862 świadectw handlowych, siedmdziesiąt kilka zaledwie było drugiéj gildyi.

Druga przyczyna redukcyi zastępów robotniczych leży w ciężkich burzach ekonomicznych, które peryodycznie zmiatają z globu drobne efemerydy przemysłu. I nie dziw: byle rok pomyślny, szewc, rzeźnik i t. d. z dnia na dzień promuje się na fabrykanta.

W r. 1894 np. wszystkie rudery w mieście, jakby pod czarodziejskiém dotknięciem, przedzierzgnęły się w fabryki, które, jak owe z bajki na kurzych nóżkach domki, piérwsza zawierucha zdmuchnęła z powierzchni, gdy tymczasem te z zakładów, co zdrowemi korzeniami silnie się w grunt wparły, istnienie swe coraz pomyślniéj rozwijają.

Do prowadzenia fabryki, tak jak do prowadzenia wojny, potrzeba trzech rzeczy: pieniędzy, pieniędzy i jeszcze raz pieniędzy. I jeszcze trzech: pracy, pracy, pracy. I to pracy rozumnéj, wytrwałéj, a zasadzającéj się na jakiéj takiéj przynajmniéj kompetencyi. Tylko grzybom daném jest wyskoczyć nagle z pod ziemi. Obecne, ciężkie warunki bytowe wyparły przysłowie: „głupi ma szczęście."

Skończywszy na ile nas stać sumarycznie z historyą starożytną i średnią, przejdźmy do mniéj ciekawéj nowożytnéj. Wędrówkę po mieście nowéj doby zacznę od kościoła na Brzostowskiéj, którego budynek, rozpoczęty w r. 1862, w dwa lata późniéj, 23 października 1864 roku, dla pobożnych otwartym został. W r. 1891 rozszerzony, z utworzoném od głównéj ulicy wejściem o nowéj misternéj kracie żelaznéj, wielką téj ulicy stanowi ozdobę.

Ulica sama, szersza od Marszałkowskiéj w Warszawie, zyskawszy obecnie kilka pięknych domów, cukiernię, któréj miejsce zastępowały dotąd jedynie knajpy, bruki i wygodne chodniki, zabudowuje się coraz bardziéj ku kresom miasta, gdzie wystawiony w r. 1887 szkielet szpitala patrzył przez 4 lata jamami niewykończonych drzwi i okien z wyrzutem na ospałość tutejszą. W r. 1891 szpital wykończony i ku pożytkowi bezdomnéj nędzy otwartym został. W r. 1891 staraniem miejscowego lekarza zyskał budynek na salę sekcyjną i dom przedpogrzebowy. Obecnie projektuje się powiększenie gmachu, który na potrzeby miasta okazuje się niewystarczającym.

W bliskiém sąsiedztwie szpitala położono w r. 1897 kamień węgielny pod kościół ewangelicki. Śliczny, w gotyckim stylu budynek doszedł już do dachu.

Na obocznéj ulicy Pilicznéj pomieszczono w r. 1887 filię banku państwa. Arcypożyteczna ta dla państwa instytucya mieściła się poprzednio, od daty założenia w r. 1884, na Rynku w domu Śpiewaka.

Ulica sama zabrukowała się, dostała flizy. Domy jéj, otynkowane świéżo, patrzą balkonami i oknami swych frontów na porządny, gęsto zadrzewiony skwer przed pocztą.

Trzecia, Piotrkowska szersza jeszcze od Brzostowskiéj, zadrzewioną została w tym roku trzema rzędami lip, klonów i kasztanów. Nie estetycznie tymczasem wygląda owa aleja przyszłości, gdyż wobec nieszanującego nic wandalizmu proletaryatu trzeba ją było otoczyć ogrodzeniem.

Wszystkie wogóle główniejsze ulice zyskały w ostatnich dwu latach bruki i chodniki.

To, co my tu nazywamy ożywionym już ruchem budowlanym, jest w gruncie rzeczy tylko ospałą parodyą ruchu, bo kiedy Łodzi w ciągu roku przybywają setki budynków, nam, w tym już ożywionym, przybyło zaledwie 12 (nie licząc chałupek, stawianych od Bociana i Gustka ku miastu, do którego zbliżają się coraz bardziéj, obiecując w końcu duże te wsie z niemi połączyć).

A takie wielkie a tanie obszary leżą odłogiem.

Zajmująco wyglądają obok olbrzymów kilkopiętrowych teraźniejszości zabytki przeszłości, karzełki, z zasuniętym w ziemię fundamentem. z płotkiem grochem obrosłym i żórawiem po środku.

Na ogół wziąwszy, miasto niezgorsze robi wrażenie. Roślinności wszędzie mnóstwo; po za każdym prawie domkiem ogródek, pomiędzy dolną a górną częścią miasta przepyszny staw, w którym przegląda się kilka fabryk i willa Elbla, jakby w koszu zieleni schowana.

W stronie południowo-wschodniéj—Pilica, na wysokości Tomaszowa zwraca się ku wschodowi, przyjmując w punkcie swego załomu wartką Wolbórkę, pod osadą Gustek (ongi wielki piec Stan. Lud. Kronenberga, późniéj własność B. Handkego), dziś, jako posiadłość Hr. Juliusza Ostrowskiego, urządzona wyłącznie na letnie mieszkania, zajęte w części przez tutejszych mieszkańców, przeważnie jednak przez Łodzian.

W bliskości Gustka już nad samą Pilicą, „Bocian" ma téż letnie mieszkania. Okolica w téj stronie wogóle malownicza. Daléj od Gustka „Modre wody", coś, czego całéj piękności zrozumiéć nie może ten, co tego własnemi nie widział oczyma. Wyobraź sobie, czytelniku, spokojną, gładką, nieruchomą, niby z cieniutkiego szkła ulaną taflę wody, na któréj dnie każdy, zda się, kamyk policzyć możesz. Brzegiem ja-

kieś, jakby miniaturowe rafy, jakieś wężowe skręty dziwnych roślin podwodnych. A tam dalej na środku wiecznie kotłujące się wiry, jakieś drobne fontanny, kłęby wypychanéj od spodu wody, wytryski,—a wszystko to nakryte ową szklanną taflą, mieniącą się o południu cudnemi, seledynowemi barwami. Aż się w głowie zawraca od tego ciągłego ruchu, od tego tajemniczego wrzenia i kotłowania.

Zagranicą wyzyskanoby takie cudo, zbadano własności téj, bądź co bądź, niezwyczajnéj wody, odbywanoby pielgrzymki do tak pięknego miejsca. Tutaj, kto to raz widział, ma dosyć na całe życie, a znajdziesz i takich, którzy się o to nie kuszą wcale.

Ciekawe też pieczary mają Nagórzyce na krawędzi wyniosłego brzegu rzeki. Daléj – klasztor św. Anny. Daléj jeszcze o 9 wiorst w lasach nadpilickich,—pałac cesarski „Spała".

Najwięcéj wdzięku dotąd dodawało to, że miasto stało w istnym wieńcu lasów. Dziś w wielu już miejscach „*nec locus ubi Troja fuit*". Niezadługo też piękny las ku Piotrkowu, prawdziwe płuca zadymionego i zapylonego miasta, należéć będzie do przeszłości.

A co wtedy stanie się ze zdrowotnością?

Widząc dotąd okalający nas zielony wieniec lasów, wijącą się dookoła srebrną wstęgę wody, gotówbyś sądzić, że droga do cmentarza chwastem zarasta, a grabarz motyki ze rdzy oczyścić nie może; tymczasem, nigdzie chyba gruźlica tylu nie porywa ofiar, żadnych bagien malaria nie trzyma się tak stale, jak gruntu tutejszego. A przyczyna?

Tych wiele. A przedewszystkiém, miasto, jak niechlujna kokietka wystrojona po wierzchu, ma bocznice, na których kałuże wody, zielonéj od gnilnych pleśni, czekają na uśmiéch słońca, od którego zaledwie osuszone, po pierwszéj ulewie na dawne wracają stanowisko.

Znakomity też rozsadnik chorób stanowią mieszkania proletaryatu, duszne, brudne, przeludnione, dziedzińce cuchnące i t. d.

Fabryk w obrębie miasta, nie licząc drobnych warsztatów, posiada Tomaszów 46. Wszystkie znaczniejsze oświetlone elektrycznością.

W ostatnich czasach z powodu taniości obszarów przyjął się system t. zw. „*Schetbau*" z oświetleniem z góry (fabryki Wohla, Herbsta). Wchodzą też w użycie nafto- i gazo-motory.

W wielu gmachach mieści się po kilka fabryk, dzierżawionych wraz z siłą pary.

Extra muros znajdują się: fabryka Starzycka, sięgająca początków Tomaszowa, ze słynną na całą okolicę za czasów pierwszego posiadacza Stumpfa farbiarnią i foluszem. Po śmierci właściciela, fabryka przebywa różne perypetye, aż w końcu w r. 1886 doszczętnie strawiona przez pożar, stoi nie odbudowana przez lat kilka. W r. 1889,

przechodzi na własndść Susmana Bornsztajna, a po śmierci tegoż w ręce spadkobierców, którzy ją znowu do kwitnącego przywracają stanu.

Daléj fabryka „Józefów,” a w sąsiedztwie Starzyc, po drugiéj stronie plantu kolejowego—„Wilanów,” największa swojego czasu przędzalnia. Znał ją doskonale każdy z dawnych fabrykantów, dochodząc dzięki niéj do gotowéj przędzy.

Po za fabrykami głównego produktu wełny, posiada miasto jeszcze kilka parowych ślusarni, fabrykę zapałek nowego systemu, tartaki, młyny, cegielnie, a na zachód w dolinie Wolbórki—fabrykę dywanów Rolanda, wyrobami swemi konkurującą z Moskwą. Założona w r. 1855 przez Edwarda Rolanda, nieżyjącego ojca obecnego właściciela, wytrwałą pracą wyrób swój do takiéj doprowadziła dobroci, że się na wszystkich rynkach Królestwa i Cesarstwa cieszy wielkiém uznaniem. Pierwsza zaprowadziła u nas wyrób chodników z rośliny „Piasteva”.

Z instytucyi, największą żywotność wykazuje straż ochotnicza, licząca już obecnie 140 członków. Od roku szczególniéj 1896-go instytucya ta, tak wielkiéj dla bezpieczeństwa publicznego doniosłości, pod energicznym kierunkiem obecnego komendanta, kwitnącym cieszy się stanem. Dobrze się téż dzieje telefonom, zaprowadzonym tu w 1892, które z liczby 5-ciu połączeń doszły w mieście do ilości 65, nie licząc w to 5-ciu połączeń z Łodzią.

W r. 1893, z polecenia władzy, przy fabrykach ustanowiono „kasy chorych,” instytucyę, która nietylko zabezpiecza byt robotnika na wypadek choroby, ale i wpływa nań umoralniająco, wiodąc za sobą solidarność i przywiązując go do miejsca.

Już poprzednio fabryka J. Halperna, przyswajająca sobie każdy nowy dorobek, czy to na drodze ulepszeń technicznych, czy dla dobra pracowników podjęty, zaprowadziła u siebie taką kasę.

Od Nowego roku 1898 zaprowadzono unormowanie dnia roboczego do 11 i pół godzin. Nie wglądającym w istotę rzeczy taka redukcya godzin pracy wydać się mogła krzywdą dla fabrykantów, w praktyce jednak wykazuje ona rezultaty wielce dodatnie.

W końcu października 1897 r. gmina ewangelicka zapoczątkowała dom, a raczéj domek przytułku. Drobny to posiew dobréj woli, który dalsze zabiegi w obfity plon zamienić mogą.

Gdybyż choć drobne zapoczątkowanie jednéj bodaj ochrony, niezbędniejszéj niż w innych miejscach tu, gdzie świt wprzęga do taczki życiowéj rodziców, aby ich noc zaledwie z niéj wyprzęgła.

Przedstawicieli prawa miasto ma aż czterech, żadnego jednak przybytku Temidy, tak że sędzia pokoju, dla załatwiania spraw miejscowych, zjeżdża tu co dwa tygodnie na dni parę.

Projektuje się co prawda przeniesienie do Tomaszowa sądu pokoju, banku hypotecznego, ale te, jak i wiele innych projektów i ulepszeń, jak na tymczasem, spoczywają w owéj szufladzie, w któréj Tomaszów tyle już nieziszczonych złożył projektów i pragnień.

Mówi się np. od lat kilku o wystawieniu budynku na teatr, ale skutku napróżno wyglądamy.

Toż samo i ze szkołami.

Szkół początkowych tak niedostateczna jest liczba, że przeszło połowa dzieci w wieku szkolnym skazana jest na mimowolne próżniactwo. Szkoły średniéj niema ani jednéj, ani jednéj téż szkoły zawodowéj.

Ale co najdziwniejszém, to to, że nie licząc Pilicy, kąpiel reprezentowaną jest jedynie przez mykwę żydowską.

Już to, czytelniku, na punkcie spotrzebowanego mydła i zadrukowanéj bibuły nie próbuj do Tomaszowa europejskiéj przykładać miary, bo jeśli czytelnia klubowa na wzór wieży Pizańskiéj wiecznie chyli się do upadku, to mniéj wytrwała prywatna, syta wędrówki z rąk do rąk, od roku już przeszło lary swe i penaty w gościnniejsze przeniosła progi.

I tak: reasumując dorobek Tomaszowa w ostatnim okresie, znajdujemy, że gwoli zadowoleniu oka, wygodzie nóg nawet stało się zadość, tylko wołanie „*fiat lux*" z żadnéj strony znaléść nie potrafi dostępu. Bo jeśli tych parę rzadkich, migotliwych latarń po ulicach nie jest w stanie przebić czarnych prawdziwie ciemności bezksiężycowych nocy, to gorzéj jeszcze z umysłowością, która nawet takich marnych wytycznych punktów światła nie posiadając, przesypia spokojnie rok za rokiem, aby co raz do nowéj przewracać się drzemki.

To téż kiełkowaniu wszelakiemu w kierunku postępu zawsze na drodze stanie coś, co mu z embryologicznego wyłonić się nie pozwala stadyum.

Na potwierdzenie powyższego stają w szeregu fakta tak poważnéj natury, jak: brak szkół, kąpieli, cechów w spoczywających jeszcze w kolébce rzemiosłach.

O ileżby wzmógł się dobrobyt miasta, gdyby nie było skazane na importowanie wszystkiego, co w lepszym pragnie mieć gatunku: miejscowym bowiem wyrobem kontentować się niepodobna.

Zobaczysz np. w willi, przed kilkoma zaledwie zbudowanéj laty, posadzkę tak spękaną, jakby ją już co najmniéj kilka wydeptało po-

koleń. I tak ze wszystkiém, począwszy od buta, a kończąc na szafie lub stołku.

Brak wszelkiéj organizacyi. Tak silnie nawet reprezentowany cech tkacki egzystencyę swą manifestuje jedynie pompatyczném powiewaniem chorągwi na pogrzebach.

A ochrony? A tak łatwe tu z powodu tanich obszarów i blískości lasu kolonie letnie, o które modlą się bezwiednie blade, nędzne twarzyczki wydziedziczonéj dziatwy?

A uporządkowanie dobroczynności publicznéj, któréj sumieniu wystarcza setki rubli co miesiąc pochłaniająca, łatwa, a źle zrozumiana jałmużna, rzucana owym zastępom roznosicieli wszelkiéj infekcyi fizycznéj i moralnéj?

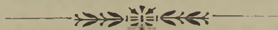
Miejmy nadzieję, że świt stulecia nowego świeże, odżywcze prądy w anemiczny ten, umysłowo stępiony organizm wprowadzić potrafi.

„Kto chce utrzymać byt swój, musi bronić tego co posiada, musi bezustannie iść naprzód, czy jest jednostką, czy téż społeczeństwem."

Emilia Topas-Bernsztajnowa.



Pierwotne nasze szkoły.



Dr. Antoni Karbowiak. „Dzieje wychowania i szkół w Polsce w wiekach średnich. Część pierwsza, od 966 do 1363 roku.“ Petersburg, 1898, str. VIII i 339 (nakładem księgarni Kazimierza Grendyszyńskiego).

Pół wieku prawie upłynęło od czasu, jak Józef Łukaszewicz wydał tom pierwszy swego dzieła, p. t. „Historya szkół w Koronie i Wielkiém Księstwie Litewskiém“. Pomnikowa ta monografia, będąca, jak dotychczas, jedyném u nas dziełem naukowém, obejmującém całokształt dziejów oświaty naszéj, jest już jednak dziś nie wystarczającą nietylko ze względu na metodę, lecz i na ilość zużytkowanego materyału, który jest obecnie, dzięki wciąż ogłaszanym źródłom dziejowym, o wiele bogatszy. Tém przeświadczeniem wiedziony, zamierzył dr. Antoni Karbowiak podjąć na nowo pracę około napisania historyi wychowania i szkół w Polsce od najdawniejszych czasów, t. j. od czasów przyjęcia chrześciaństwa, aż do roku 1510, t. j. aż do synodu piotrkowskiego, którego datę poczytuje autor za kres epoki średniowiecznéj oświaty polskiéj. W roku bieżącym ukazał się tom pierwszy zamierzonéj monografii, mieszczący w sobie historyę oświaty aż do roku 1633-go, czyli do założenia przez Kazimierza Wielkiego uniwersytetu w Krakowie.

W pracy swojéj sumiennie zużytkował autor źródła historyczne, jako to: roczniki, katalogi biskupów, kroniki, żywoty świętych, kodeksy dyplomatyczne i t. p. Że jednak te wszystkie źródła nie wystarczają

do odtworzenia pełnego obrazu oświaty, stąd, wychodząc z zasady, że podstawy i urządzenie szkół średniowiecznych były zupełnie te same w Polsce, co w Europie zachodniéj, posługiwał się p. Karbowiak metodą porównawczą, opierając się na monografiach, oświaty niemieckiéj i ogólno-europejskiéj dotyczących, jakiemi są: „*Geschichte des Unterrichtswesen in Deutschland*“ Specht'a, „*Klassische Studien im Mittelalter*“ Bursian'a, „*Die Erziehung im Mittelalter*“ Masius'a, „*Die Universitäten des Mittelalters*“ Denifle'a, „*Les écoles épiscopales et monastiques de l'occident*“ Maitre'a, a nawet na studyach specyalnych, jak np. „*Geschichte des mathematischen Unterrichtes im deutschen Mittelalter*“.

W korzystaniu z tych dzieł i w stosowaniu zawartych w nich wiadomości do historyi oświaty polskiéj postępuje autor umiejętnie i ostrożnie, tam tylko uciekając się do pomocy analogii, gdzie tego konieczna zachodzi potrzeba, t. j. tam, gdzie źródła krajowe są niewystarczające. Wogóle monografia p. Karbowiaka jest to rzecz ściśle naukowa, opracowana bardzo sumiennie, z widoczną miłością przedmiotu, oparta na szczegółowych badaniach i wszechstronném zgłębieniu źródeł.

W historyi polskich szkół średniowiecznych wyróżnia autor cztery okresy. Okres pierwszy obejmuje czasy od roku 966 do 1215, t. j. do czwartego soboru lateraneńskiego, który uchwalił prawne podstawy do tworzenia nowego rodzaju szkół łacińskich, tak zwanych szkół parafialnych. Okres drugi kończy się w roku 1363, jako poprzedzającym rok założenia akademii krakowskiéj. Wraz z tym faktem rozpoczyna się okres trzeci, który trwa aż do wystąpienia Grzegorza z Sanoka z wykładami humanistycznemi w uniwersytecie Jagiellońskim, a więc do roku 1433-go. Okres czwarty wreszcie, nazwany przez autora przejściowym, obejmuje czasy od r. 1433 do 1510, w którym to roku synod piotrkowski domaga się reform we wszystkich szkołach. Tym sposobem tom pierwszy dzieła p. Karbowiaka jest historyą oświaty w dwu pierwszych okresach; rokiem granicznym pomiędzy niemi jest rok 1215, który, jak twierdzi autor, „musi być z wielu względów uważany za początek nowego... w dziejach edukacyi i szkół w Polsce... okresu.“ Jakież to względy? Ten przedewszystkiém, że po roku 1215 zaczęły powstawać, jak w całéj Europie zachodniéj, tak i u nas, szkoły parafialne. Lecz, właściwie mówiąc, one istniały i przed czwartym soborem lateraneńskim, tylko że nie jako szkoły odrębne, lecz jako części szkół wyższych; wszak sam autor powiada na str. 178, że „téj saméj nauki, któréj udzielano w szkołach parafialnych, można było nabyć w najniższym oddziale szkół katedralnych, kolegiackich i klasztornych“, a na str. 195, że w planie nauki elementarnéj „nie zaprowadzono... żadnych

istotnych zmian". Ten więc wzgląd w żaden sposób nie wystarcza, aby od r. 1215 rozpoczynać nowy okres w historyi oświaty. Nie wystarcza i wzgląd drugi, że zakon św. Dominika, zatwierdzony w tymże 1215 roku przez Inocentego III-go, wytworzył potężną szkołę teologiczno-filozoficzną z Tomaszem z Akwinu na czele, wskutek czego wyjazdy Polaków zagranicę w celach naukowych stały się częstszemi. Prawda! lecz to bezpośrednio szkół polskich nie dotyczy, bo dominikańska szkoła teologiczna niewielki wywarła wpływ na umysłowość i na zakres nauk szkolnych w Polsce. Cel wychowania i w pierwszym i w drugim okresie był jeden i ten sam — przygotowanie młodzieży do stanu duchownego; nauka języka łacińskiego, mimo że w drugim okresie autorowie średniowieczni rugują po części ze szkoły pisarzów starożytnych, jest taka sama; w systemie nauczania nie zaprowadzono ani jednéj ważniejszéj zmiany. Słowem, że podział historyi oświaty polskiéj przed założeniem uniwersytetu krakowskiego na dwa okresy nie ma właściwie żadnéj podstawy. Ten zaś podział pociągnął za sobą rzecz, bardzo nie korzystną dla układu książki p. Karbowiaka: kréśląc dzieje oświaty osobno w okresie pierwszym, a osobno w drugim, autor z konieczności musi się powtarzać, tam mianowicie, gdzie opowiada o programie nauk i zarządzie szkolnym.

I w niektórych pomniejszych szczegółach autor często się powtarza, kilkakrotnie mówiąc np. o wytworzeniu nowéj szkoły teologicznéj przez dominikanów, o tém, że arytmetyka w szkołach średniowiecznych była konieczną do zrozumienia teoryi muzyki, o tém, że retoryka w wiekach średnich nie miała tego znaczenia, co w średniowiecznym Rzymie i t. d. Wogóle pod względem kompozycyi nie jest książka p. Karbowiaka bez zarzutu, to jednak nic nie obniża jéj wartości, polegającéj na tém, że jest ona ściśle naukową historyą szkół i wychowania w Polsce średniowiecznéj.

Oto są główniejsze wiadomości w niéj zawarte.

Oświata w Polsce zaczyna się jednocześnie z przyjęciem chrześciaństwa — była ona niezbędnym warunkiem i koniecznym środkiem krzewienia wiary Chrystusowéj. Duchowieństwo zakładało szkoły przy katedrach biskupich, kolegiatach i klasztorach; stąd powstały szkoły tak zwane katedralne, kolegiackie i klasztorne. Przyjmując za zasadę, że każde nowe biskupstwo musiało odrazu zorganizować szkołę, wylicza autor w pierwszym okresie dziesięć szkół katedralnych (Gniezno, Julin i Kamień, Kołobrzeg, Kraków, Kruszwica, Lubusz, Płock, Poznań, Włocławek, Wrocław); w drugim zaś przybyło jeszcze 5 lub 9 (Braunsberg, Chełm?, Chełmno, Frauenburg, Kijów?, Królewiec, Kwidzyn,

Lwów?, Przemyśl?). Autor zebrał skrzętnie ze źródeł wiadomości, dotyczące dziejów poszczególnéj szkoły.

Wiadomości o szkołach kolegiackich w pierwotnym okresie nie posiadamy prawie żadnych, jeżeli jednak znów przyjmiemy za zasadę, że każda kolegiata miała swoją szkołę, w takim razie liczba szkół kolegiackich będzie wynosiła 13 (Głogów, Kalisz, Kielce, Kołobrzeg, Kraków, Kruszwica, Łęczyca, Opatów, Opole, Sandomierz, Stobnica, Wrocław, Zawichost); w drugim zaś okresie mamy już pewne wiadomości o istnieniu 14 szkół kolegiackich (Głogów, Gutstadt, Kalisz, Kielce, Kołobrzeg, Kruszwica, Łęczyca, Opatów, Sandomierz, Skalmierz, Stobnica, Szczecin, Wiślica, Wrocław); o szkołach przy innych kolegiatach pewnych wiadomości nie posiadamy.

Najwięcéj jednak było w Polsce szkół klasztornych; ponieważ władza duchowna wymagała, aby każdy klasztor kształcił młodzież w zajęciach, potrzebnych do zawodu duchownego, stąd wolno przypuszczać, że przy wszystkich opactwach i większych klasztorach były szkoły wewnętrzne, t. j. takie, w których kształcili się oblaci i nowicyusze; w takim razie ilość szkół klasztornych wynosiłaby w okresie pierwszym 49. Z wszelką jednak pewnością twierdzić tego nie można, gdyż źródłowych wiadomości w tym względzie mamy bardzo niewiele; tak np. o szkołach kanoników regularnych lateraneńskich, którzy przed rokiem 1215 mieli ośm klasztorów, nie posiadamy żadnéj wzmianki w źródłach; nie wiemy także nic o szkołach Bożogrobców i t. d. O szkołach klasztornych okresu drugiego są już wiadomości pewniejsze: przy obecnym stanie źródeł da się dowieść istnienie trzydziestu szkół klasztornych [1]); gdyby zaś udowodnić było można, że przy każdym klasztorze istniała szkoła wewnętrzna, liczba szkół klasztornych doszłaby mniéj więcéj do 190, przyczém najwięcéj szkół posiadaliby cystersi, dominikanie i franciszkanie. Ta jednak dość wysoka cyfra szkół klasztornych wyższych nie może bynajmniéj służyć za dowód rozpowszechnienia oświaty w kraju, gdyż klasztory w Polsce średniowiecznéj rozwijały bardzo słabą działalność na polu wychowawczém; zresztą szkoły zakonne miały na widoku jedynie prawie cele klasztorne, a stąd na rozwój wykształcenia całego narodu nie oddziaływały.

---

[1]) Tak więc ogółem szkół wyższych w drugim okresie byłoby: 15 lub 19 (katedralnych) + 14 (kolegiackich) + 30 (klasztornych) = 59 lub 63, jeżeli zaś do téj cyfry dodamy ilość szkół parafialnych—56, otrzymamy ogólną liczbę szkół w drugim okresie—115 resp. 119, co zgadza się z obliczeniem ogólném p. Karbowiaka (str. 127).

Wszystkie szkoły tak pod względem zarządu, jak programu i zakresu nauk, zależały od władzy kościelnéj, któréj państwo pozostawiało w sprawach edukacyjnych najzupełniejszą swobodę. Tak więc rozporządzenia, dotyczące szkół, wychodziły od papieża lub soborów, najwyższym zaś zwierzchnikiem i opiekunem szkół w kraju był arcybiskup gnieźnieński, który wywiązywał się ze swéj opieki w szkołach katedralnych i kolegiackich — przez biskupów, w szkołach zaś klasztornych — przez opatów. Biskupi znów i opaci przelewali nauczycielską część swojéj władzy na zakonnika — w klasztorach, lub na jednego z członków kapituły — w katedrach i kolegiatach. Kierownik szkoły klasztornéj nazywał się *magister principalis*; pomagali mu w dozorze nad uczniami dozorcy i tak zwani *circatores*; nadto był w klasztorze urząd bibliotekarza (*armarius*), który niekiedy pełnił także obowiązki nauczyciela śpiewu (*cantor*). Podobnież i w szkołach katedralnych był jeden zwierzchnik naczelny — *magister scholarum*, pospolicie zwany *scholasticus*, który był jednocześnie nauczycielem; po trzecim soborze lateraneńskim szkoły katedralne i kolegiackie miały oprócz scholastyka nauczycieli pomocniczych (*magister*, *magister secundus*, *secundarius*, *rector scholarum*, *magister puerorum*, *submagister*).

Do szkół wyższych, przed utworzeniem parafialnych, przyjmowano młodziutkich chłopców, którzy w szkołach klasztornych nazywali się *oblati*, t. j. poświęceni Bogu, w szkołach katedralnych i kolegiackich — *scholares canonici*. Uczniowie, którzy, acz kształcili się w klasztorach, nie mieli jednak zamiaru wstąpić do stanu duchownego, nazywali się *extranei*; z początku uczyli się oni wespół z oblatami, późniéj jednak zakładano dla nich szkoły osobne, zwane zewnętrznemi.

Szkoły stały otworem wyłącznie dla tych, którzy przygotowywali się do stanu duchownego. Uczeń, wstępujący do szkoły, musiał już umiéć cokolwiek, a mianowicie czytać i pisać po łacinie, znać najgłówniejsze zasady wiary chrześciańskiéj i umiéć na pamięć po łacinie choć kilka psalmów Dawidowych. Zresztą przyjmowano i uczniów, nie umiejących nic, zapewne ze względu na trudności, z jakiemi było połączone wychowanie domowe; w takim razie nauki elementarnéj udzielano w szkołach, zanim uczniowie mogli przystąpić do nauki właściwéj. Rozpoczynano naukę początkową od bezmyślnego uczenia na pamięć pacierza i psalmów w języku łacińskim (jak ta nauka trafiała dzieciom do serca, świadczy najlepiéj przykład św. Wojciecha, który uciekł do domu); następnie uczono sylabizować i czytać po łacinie, początków gramatyki i wokabuł, pisać i wreszcie śpiewać, nauka bowiem elementarna, oprócz przygotowania do nauki wyższéj, miała i ten jeszcze cel, aby

uczniowie mogli jak najprędzéj brać udział w nabożeństwie, jako ministranci i pomocnicy.

Po ukończeniu nauki elementarnéj, rozpoczynała się właściwa nauka szkolna, któréj celem było przysposobić ucznia do nauki, stanowiącéj w wiekach średnich koronę wszystkich nauk — do teologii. Koniecznym stopniem do téj ostatniéj było przejście tak zwanego *trivium* i *quadrivium*. *Trivium* obejmowało gramatykę, dyalektykę i retorykę, *quadrivium* zaś — muzykę, arytmetykę, geometryę i astronomię.

Najważniejszą ze wszystkich nauk była gramatyka łacińska, występująca w przedstawieniach alegorycznych, jako królowa z koroną na głowie, spoczywająca pod drzewem wiedzy. Uczono gramatyki zazwyczaj z podręczników wierszowanych, z których najpopularniejszy był podręcznik Donata (IV w.); dodawano do niéj naukę metryki oraz czytanie autorów zarówno starożytnych, jak i średniowiecznych. Nadto uczniowie musieli ćwiczyć się w samodzielném układaniu wierszy łacińskich (*dictamen metricum*). Dyalektyka, która w szkołach średniowiecznych wysunęła się w XIII i XIV wieku na pierwszy plan nauk wyzwolonych, odpowiadała, mniéj więcéj, dzisiejszéj logice; w jéj skład wchodziły *praedicabilia*, kategorye, roztrząsania *de contrariis vel oppositis*, sylogizmy, nauka o definicyi, topy i wreszcie rzecz *de perihermenias*. Najważniejszym podręcznikiem dyalektycznym były słynne „Etymologie” Izydora z Hispalis, t. j. z Sewilli, późniéj zaś, od połowy XIII wieku, pisma Arystotelesa. Nauka retoryki miała przedewszystkiém na celu wprawienie uczniów do pisania listów, dokumentów, protokułów i t. p. (*dictamen prosaicum*); przy wykładzie retoryki czytywano z uczniami prozaików rzymskich oraz uczono ich praktycznie głównych wiadomości z zakresu nauki prawa. Główném zródłem wiedzy retorycznéj w wiekach średnich były naturalnie pisma Cycerona, a zwłaszcza „*De inventione*” i „*Rhetorica ad Herennium*”; nadto w szkołach polskich, jako podręcznik do praktycznéj retoryki, służyła kronika mistrza Wincentego.

Uczeń, ukończywszy kurs *trivium*, przystępował do *quadrivium*, które to jednak nauki traktowano w szkołach polskich zazwyczaj dość pobieżnie, ograniczając się do niezbędnych wiadomości jedynie; zwłaszcza po macoszemu obchodzono się z muzyką i geometryą. Muzyka uchodziła za rzecz bardzo trudną zarówno dla nauczycieli, jak dla uczniów; nauka polegała teoretycznie na zrozumieniu teoryi muzyki, praktycznie — na śpiewie kościelnym. Arytmetyka, która w *quadrivium* zajmowała równie ważne stanowisko, jak gramatyka w *trivium*, była

nauką, konieczną do obliczania kalendarza kościelnego, do zrozumienia teoryi muzyki, do obliczań astronomicznych i geometrycznych; wyższą jednak arytmetykę uwzględniano rzadko, poprzestając na czterech działaniach oraz na nauce o mistyczném, symboliczném znaczeniu liczb. Co się tyczy geometryi, to objaśniano wprawdzie uczniom terminologię geometryczną, lecz przedewszystkiém pojmowano pod tą nauką geografię, kosmografię i historyę naturalną. Elementarna znajomość astronomii była potrzebna do obliczania świąt kościelnych; stąd przedewszystkiém dawano uczniom pojęcie o latach przestępnych, o porównaniu dnia z nocą, o epaktach, t. j. o liczbie dni, którémi rok słoneczny przewyższa rok księżycowy, a po za tém — o pomiarze czasu, o biegu planet, o znaczeniu znaków zwierzyńca i t. d.; z astronomią łączyły się rozmaite kwestye astrologiczne; wiadomo jednak, że rozkwit astrologii przypada dopiéro na czasy humanizmu.

Kréśląc powyższy program siedmiu sztuk wyzwolonych, autor poprzestaje na najogólniejszych wiadomościach, uzupełniając je suchém wyliczeniem podręczników, tych zwłaszcza, które posiadała biblioteka szkoły katedralnéj krakowskiéj. Dokładnéj ich charakterystyki nie podaje, a szkoda, ona bowiem dałaby najlepsze pojęcie o zakresie nauki średniowiecznéj; zwłaszcza dotyczy to podręczników gramatycznych i dyalektycznych. Zbyt mało uwagi poświęca także autor ćwiczeniom praktycznym z zakresu gramatyki (*dictamen metricum*), pomimo iż miał już w tym względzie drogę utorowaną przez pracę prof. Brücknera o średniowiecznéj poezyi łacińskiéj w Polsce.

W szczegółowy rozbiór studyów teologicznych nie zapuszcza się autor również, jako nie specyalista, znów poprzestając na wyliczeniu podręczników szkolnych. Zresztą poziom teologii w szkołach polskich był dość niski, podniósł się dopiéro w wieku XIV-ym, jak to wnosić można np. z programu, wydanego dla dyecezyi krakowskiéj przez biskupa Nankera w r. 1320. Specyalne studya, przedsiębrane w téj sprawie, rzucą zapewne ciekawe światło na stan edukacyi teologicznéj w Polsce, gdyż materyału do nich nie brak; tymczasowo jednakże można twierdzić, że nauka teologii miała przedewszystkiém kierunek praktyczny, — jéj głównym, jeżeli nie jedynym, celem było zapewne nabożeństwo kościelne i należyte wywiązywanie się z obowiązków kapłańskich. To ostatnie zaś byłoby niemożliwém bez znajomości prawa kanonicznego i ustawodawstwa synodalnego; dlatego téż w szkołach katedralnych i kolegiackich istniały kursa prawnicze; dla szkół klasztornych ich istnienie jest wątpliwe.

Zadaniem szkół parafialnych [1]) było z jednéj strony ukształcenie śpiewaków i ministrantów dla kościoła parafialnego, z drugiéj zaś — przysposobienie uczniów do szkół wyższych. Miały one w zasadzie jednego tylko nauczyciela (*eruditor*, *informator*, *magister*, *doctor parvulorum v. scholarium*, *rector scholae*, rzadziéj *scholasticus*), któremu jednak wolno było mieć pomocników *(socii* lub *locati)*. Siedmiu sztuk wyzwolonych, a témbardziéj teologii nie wolno było uczyć w szkołach parafialnych, w takim bowiem razie robiłyby one konkurencyę szkołom wyższym; uczono więc w nich tylko początków łaciny i śpiewu kościelnego, z czasem uwzględniano krótkie wiadomości z arytmetyki i stylistyki (retoryki, pomocnéj do *dictamen prosaicum)*. Z podręczników używano gramatyki Donata, pism Aleksandra z Villedieu, „Dwuwierszy moralnych" Katona i sielanki Theodulusa.

Językiem wykładowym we wszystkich bez wyjątku szkołach była łacina: język polski nie był nigdy nawet przedmiotem wykładu, posiłkowano się nim tylko dopóty, dopóki młodzież nie rozumiała po łacinie. Stąd nauczyciele powinni byli znać język polski. Nie zawsze jednak tak było (w jaki sposób odbywała się w takim razie nauka, osobliwie elementarna, trudno naprawdę zrozumiéć), — nauczycielami częstokroć bywali Niemcy, którzy, nie znając mowy krajowéj, nie mogli, jak należy, uczyć; to samo zresztą bywało nietylko w nauce szkolnéj, lecz i w kościelnéj, a skutkiem był naturalnie brak znajomości zasad wiary w parafianach. Lecz skargi ludności polskiéj zmuszały duchowieństwo do wydawania rozporządzeń językowych, dotyczących zarówno kościołów, jak szkół: na synodzie, odbytym dnia 14 października 1257 roku, pod prezydencyą arcybiskupa gnieźnieńskiego Pełki, uchwalono obowiązkową znajomość języka polskiego dla nauczycieli szkół parafialnych i kolegiackich. Synod zaś łęczycki z roku 1285-go rozciągnął ten przepis na wszystkie wogóle szkoły. Że jednak to rozporządzenie częściowo tylko wykonaném zostało, świadczy ustawa synodu uniejowskiego z roku 1326, która poleca karać tych, co dają posady nauczycielskie ludziom, nie umiejącym po polsku. Bądź co bądź, ma zupełną słuszność p. Karbowiak, twierdząc, że duchowieństwo polskie, jak mogło, tak walczyło z niebezpieczeństwem germanizacyi narodu. Trafném jest również przypuszczenie autora, że liczny napływ Niemców do kościołów i szkół polskich tłómaczy się w znacznéj mierze emigracyą z Niemiec do Polski wędrownych studentów, tak zwanych

[1]) Szkołom parafialnym poświęcił p. Karbowiak jeszcze dawniéj osobne studyum: „Szkoły parafialne w Polsce w XIII i XIV wieku" (Rozprawy Akademii Krakowskiéj, wydział filologiczny, XXV, 1896).

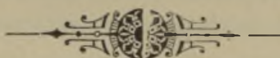
wagantów lub goliardów, którzy stali się w wieku XIII prawdziwą plagą i zarazą moralną dla swego kraju, których przeto w połowie tegoż stulecia zakazano przyjmować na ministrantów i nauczycieli, których wreszcie wypędzono z kraju.

Oprócz szkół krajowych, źródłem oświaty polskiéj były już od najdawniejszych niemal czasów szkoły zagraniczne — przedewszystkiém francuskie i włoskie. Ta część monografii p. Karbowiaka jest najmniéj wyczerpującą, gdyż autor nie miał możności czynienia poszukiwań archiwalnych, sam nawet przyznaje, że i źródeł drukowanych dokładnie w tym kierunku wyzyskać nie mógł. W każdym razie, o ile to było w jego możności, zgromadził wiele szczegółów, dotyczących wyjazdów młodzieży polskiéj zagranicę w celach naukowych, chociaż niektóre z nich mają wartość tylko hypotetyczną. Dla pierwszego okresu wiadomości o studyach zagranicznych Polaków posiadamy bardzo mało; autor wymienia około trzydziestu zaledwie Polaków, którzy wykształcenie swe zawdzięczają zagranicy, a może i ta liczba, po przeprowadzeniu specyalnych badań, będzie musiała być zmniejszona. Głównem ogniskiem nauki dla Polaków była początkowo prawie wyłącznie Francya, mianowicie Paryż. W drugim okresie, dla którego źródła są i obfitsze i pewniejsze, młodzież wyjeżdża przeważnie do Włoch, a więc do Bononii, Padwy, Rzymu i może innych jeszcze uniwersytetów. Ze szkół francuskich najwięcéj Polaków wykształcił Paryż, potém—Montpellier i Avignon, z czeskich — Praga. Możliwą jest także rzeczą, że Polacy kształcili się w Niemczech, jako to w szkole erfurckiéj lub kolońskiéj. Ze spisu magistrów i doktorów od r. 1215 do 1364, sporządzonego przez p. Karbowiaka, wynikałoby, że w tym przeciągu czasu około 319 Polaków kształciło się zagranicą.

Pomijamy w niniejszém sprawozdaniu inne szczegóły w monografii p. Karbowiaka, jako to rozdziały o rygorze szkolnym, o udziale laików, a w szczególności Piastowiczów, w edukacyi książkowéj, o wykształceniu kobiét, o sprawach edukacyjnych ruskich i żydowskich, — zaznaczając tylko ogólnikowo, że i te części pracy zostały wykonane umiejętnie i sumiennie.

Wogóle „Dzieje wychowania i szkół w Polsce w wiekach średnich" zajmą bezwątpienia trwałe stanowisko w naszéj literaturze naukowéj.

Ignacy Chrzanowski.



WALKA O WIARĘ.

(Z powodu dzieła: *The Will to believe and other Essays in popular plilosophy, by William James*, New York, 1897).

Profesor James jest oddawna znany, jako jeden z najznakomitszych psychologów współczesnych, a jego podręcznik psychologii może być poczytywany za najlepsze dzieło na polu téj nauki, wydane w ostatniém dziesięcioleciu. Niedawno wystąpił w nowéj roli, wydając dzieło, zawierające jego wyznanie wiary—a stanowiące zbiór odczytów popularnych, wygłoszonych na różnych zebraniach młodzieży amerykańskiéj. William James jest profesorem psychologii w Harvard Uniwersity, w Cambridge pod Bostonem w stanie Massachusetts. Jak dalece powszechném cieszy się uznaniem, dowodzi fakt, że niedawno został zaproszony do Europy, jako prelegent tak zwanych „*Gifford Lectures*" w Edynburgu odczytów treści etycznéj, powierzanych zwykle znakomitym uczonym wielkiéj Brytanii. Odznaczenie to prawdopodobnie zawdzięcza nadzwyczajnemu powodzeniu świeżego dzieła, zatytułowanego „Pragnienie Wiary." Dzieło to, wydane w lutym 1897 roku, w przeciągu sześciu miesięcy doczekało się trzech wydań, co nawet w Ameryce jest niezwykłém zjawiskiem dla dzieła filozoficznego.

Wobec tego warto poznać przekonania myśliciela amerykańskiego tém bardziéj, że jest on chrakterystycznym przedstawicielem tego po-

glądu na świat, który i u nas miał i ma najwięcéj wyznawców w teoryi i praktyce: indywidualizmu, czyli, jak James go nazywa, pluralizmu.

Indywidualizm jest to przekonanie, że każda jednostka jest rzeczywistą siłą i może się przyczynić swoją własną wolą do ogólnego wyniku działań wszechświata. Według tego zapatrywania, każdy z nas powinien działać według swoich własnych przekonań, pod żadnym względem nie oglądając się ani na autorytety, ani na tradycyę, ani na pomoc z góry. Taki indywidualizm, uznający jednostkę jako byt niezależny, jest zarazem pluralizmem, bo przeczy bezwarunkowéj jedności wszechświata, przyjmowanéj dotąd prawie przez wszystkich filozofów i prawie przez wszystkie religie. Indywidualizm, czyli pluralizm, jest przeciwległy zarówno materyalizmowi, jak i idealizmowi, gdyż oba te krańcowe poglądy uznają bezwarunkową jedność Bytu: materyalizm—jako jedność materyalną, idealizm—jako jedność idealną. Dla idealisty prawda jest jedna i bezwzględna, dla indywidualisty prawda istnieje tylko w indywidualnéj świadomości i ma tyle stopni rozmaitych, jak piękno lub dobro. W dziedzinie sztuki indywidualizm został najwcześniéj uznanym, jak świadczy przysłowie o rozmaitości gustów. Ale konsekwentny indywidualizm rozciąga względność sądów także na inne dziedziny, uznając stopniowe szczeble dobra i prawdy, w podobny sposób odróżniające jednostki od siebie, jak estetyczne gusta nas różnią.

To znaczy, że dobro nie może być wszystkim duszom narzucone zgóry, lecz w każdém sumieniu musi powstać niezależnie. Człowiek powinien to czynić, co jego własne sumienie mu każe, nie ulegając zewnętrznym autorytetom, tradycyom, obyczajom, a nawet prawom, jeśli one w jakimkolwiek szczególe sprzeciwiają się jego sumieniu. Taki indywidualizm moralny u nas miał energicznego obrońcę w Towiańskim, który dzięki fałszywym interpretacyom jego pod wszelkim względem szlachetnéj działalności tak źle jest powszechnie zrozumianym. Najżywszy wyraz tak pojmowanego indywidualizmu etycznego zawiéra improwizacya Mickiewicza. Poeta sam tu stawia sobie cel swojéj woli i żąda pomocy nawet najwyższéj Istoty dla urzeczywistnienia tego osobistego celu. Według takiego wyobrażenia indywidualny cel pojedyńczéj jednostki może posiadać taką bezwzględną wartość, jak te cele, które uchodzą za cele samego Boga. Indywidualista czyni dobrze nie dlatego, żeby Bogu się podobać, lecz dlatego, że sam kocha dobro.

Ten indywidualizm etyczny doprowadził nas do zasady jednomyślności w obradach, bo nie uznawaliśmy za słuszne, żeby wola więk-

szości była komukolwiek narzucana bez jego zgody. Więc opornych nie zmuszaliśmy przemocą, lecz błagaliśmy ich o odstąpienie od swych przekonań w imię miłości braterskiéj, jaka łączyła obradujących, i w ten sposób osiągaliśmy jednomyślność.

W nauce indywidualizm praktykuje się oddawna i żadne odkrycie nie wchodzi w zakres istotnych zdobyczy naukowych, dopóki wszyscy fachowi znawcy własnym swym rozumem go nie uznają. Stoi to napozór w sprzeczności z pojęciem niewzruszonych i obiektywnych praw naukowych, które mają być niezależne od subiektywnych mniemań. Ale każde nowe prawo wśród uczonych zyskuje uznanie dopiéro wtedy, kiedy każdy badacz niezależnie od innych może je sprawdzić. Dopiéro po takiém sprawdzeniu wszechstronném, jednomyślne uznanie uczonych nadaje odkrytym prawom ów charakter obiektywności, cechujący je w oczach profanów.

Indywidualizm, oparty na uznaniu bezwarunkowéj doniosłości każdéj jednostki, jest przeciwległym uniwersalizmowi, dla którego każda jednostka jest tylko kółkiem w organizmie ogólnym i ciągle jest kierowana jakąś władzą wyższą, bądź praw przyrody, bądź woli Boskiéj. Dotąd ogromna większość filozofów uznawała taką bezwarunkową zależność ludzkich jednostek bądź od praw materyalnych, bądź od idei ogólnych, bądź od wspólnego dla wszystkich Stwórcy. Indywidualizm jest zjawiskiem względnie nowém w filozofii, choć pewne pierwiastki tego poglądu na świat znajdujemy w religii chrześciańskiéj, która przyznaje każdéj duszy daleko większą władzę, niż dawne religie Grecyi, Indyi i Chin,—a także większą niezależność, niż mahometanizm.

Dzieło James'a nie traktuje systematycznie wszystkich kwestyi z indywidualizmem związanych, tylko wybiéra niektóre najważniejsze, specyalne zagadnienia i przedstawia je w sposób nadzwyczajnie jasny, przystępny i przekonywający.

Zaczyna od kwestyi prawa do wiary. Każdy z nas ma niewątpliwe logiczne i moralne prawo wierzyć w wiele rzeczy, których dowieść nie może. Wiedza czysta, którą idealizm stawia jako jedyny ideał przekonań, dać nam zadowolenia zupełnego nie może, bo tyczy się zaledwie drobnéj części tych przedmiotów, które nas najwięcéj obchodzą. A gdy coś nas obchodzi, mamy prawo a nawet obowiązek rozstrzygnąć, które z dwóch przeciwległych przekonań chcemy przyjąć, choćbyśmy nie mieli nawet żadnych dowodów na poparcie naszego przekonania. Nie wolno jest uchylać się od takiéj decyzyi pod pozorem zawieszenia sądu, bo przekonanie jest nam niezbędne, jako motyw działania, nawet w tych wypadkach, kiedy nie może być oparte na lo-

gicznych podstawach. Jeśli ktoś w takich wątpliwych wypadkach wyrzeka się decyzyi, to również staje się stronnym, jak i ten, co, idąc za własném uczuciem i sumieniem, jedną z możliwości przyjmuje za prawdę. Działanie według pewnego przekonania może z czasem potwierdzić i usprawiedliwić to przekonanie.

Więc naprzykład, jeśli kilku rozbójników napadnie na karawanę, złożoną z wielu podróżników, to żaden podróżnik nie może na pewno wiedziéć, czy inni będą się bronić. Jeśliby wszyscy wskutek braku téj pewności oglądali się z nieufnością jeden na drugiego, to kilkuset podróżników byłoby rozbrojonych przez kilku rozbójników pewnych siebie i liczących na siebie wzajemnie. Ale jeśli jeden podróżnik, pomimo braku pewności, odważy się zaufać nieznanym swoim towarzyszom i zacznie bronić się od napaści, wtedy to zaufanie, czyli wiara, stanie się istotną siłą, bo zachęci innych do oporu rozbójnikom i uwolni ich od napaści.

W ten sam sposób wiara religijna ma decydujący wpływ na nasze powodzenie życiowe i nie godzi jéj się wyrzekać jedynie dlatego, że nie możemy naukowo dowieść jéj dogmatów. Wystarcza, jeśli nikt nie jest w stanie dowieść ich mylności, aby wierzący mieli prawo żyć według swoich przekonań i uważać te przekonania za niezawodną prawdę. James potępia agnostycyzm, jako najgorsze bałwochwalstwo, wobec tego, że rozum nasz nie jest nieomylny i nie może nigdy stawiać granic rozumowi innych ludzi. Więc nie godzi się ograniczać naszych przekonań jedynie do takich zdań, których można dowieść obiektywnie, bo wtedy będziemy pozbawieni przekonań w sprawach największéj dla nas doniosłości. Każdy powinien szanować przekonania innych, starając się udzielić im swoje przekonania, o ile je dobrowolnie przyjmą, lecz nie żądając od nich, by oni swojéj wiary się wyrzekali, dopóki nie mamy nic lepszego, czém byśmy mogli ich wiarę zastąpić.

W drugim rozdziale James zastanawia się nad związkiem pesymizmu i sceptycyzmu i dowodzi, że sceptycyzm jest jedném z najważniejszych źródeł pesymizmu tak dalece, że często prowadzi do samobójstwa. Życie bez wiary w świat niewidzialny, doskonalszy niż świat widzialny, który nas otacza, staje się ciężkiém do zniesienia, podczas gdy wiara ta, gdy zostanie przyjęta, wzmacnia ów świat niewidzialny jeśli on istnieje. Życie jest prawdziwą walką, w któréj chodzi o sprawy daleko ważniejsze, niż nasze doczesne interesy. W téj walce wiara w dobro jest potęgą, która powiększa i nasze własne siły i samą siłę dobra. Nie trzeba zgóry potępiać życia i obawiać się go, tylko śmiało

wierzyć, że ma ono wartość i dla nas samych i dla całego ogółu, w którego sprawach bierzemy udział. Przez tę wiarę urzeczywistnimy to, w co wierzymy, to jest obiektywną wartość naszego indywidualnego żywota. Ta wartość może będzie dowiedziona obiektywnie kiedyś w bardzo odległéj przyszłości; dziś musi być przyjęta na wiarę przez każdego, co w téj odległéj epoce nie chce uchodzić za tchórza.

W dalszych rozdziałach James coraz to jaśniéj rozwija konsekwencye swojego indywidualizmu i wyraża te przekonania, które poczytuje wprawdzie za niedowiedzione, ale uznaje za niezbędne. Potępia jednostronność rozumu i w tém potępieniu idzie tak daleko, że nauka wydaje mu się usprawiedliwioną jedynie o tyle, o ile znajduje zastosowanie do etycznych wymagań życia. Broni wolności woli, dowodząc, że determinizm jest konsekwencyą pesymizmu i wewnętrznéj słabości myśli i uczuć. Tłómaczy, że, aby wierzyć w Boga, wcale nie potrzeba mieć logicznych po temu powodów. Wystarczy psychologiczne doświadczenie, że ci, co wierzą, lepiéj żyją i więcéj są pożyteczni bliźnim, niż niewierzący.

Nasz stosunek do złych czynów innych ludzi jest całkiem inny, jeśli oceniamy tylko widzialne krzywdy przez nich popełnione, niż jeśli przypuszczamy, że sam Bóg od nas żąda obrony Dobra. Religijna wiara budzi energię i wytrwałość, odwagę i siłę. Wybór między złém a dobrém nie może zależéć od ścisłéj wiedzy prawd naukowych; ludzie kierują się tu wiarą swoją i wolną wolą, nie zaś zewnętrznemi pobudkami.

Wobec tego James kładzie wielki nacisk na rolę wielkich ludzi w postępie ludzkości. Z wielką siłą i słusznością zwalcza przesąd, szerzony przez deterministów, jakoby wielcy ludzie mogli być produktem otoczenia. Przytacza z wielkiém uznaniem pracę rodaka naszego Gryzanowskiego, który porównał Sardynię i Sycylię, jako kraje posiadające bardzo zbliżone warunki naturalne rozwoju, a jednak historyę tak różną. Sardyńczycy mieli w blizkiém sąsiedztwie tyle ognisk kultury i cywilizacyi, a jednak w niczém się nie przyczynili do postępu ludzkości. Ich dyalekt nie stał się językiem i nie posiada literatury. Ich doskonałe porty nie zostały wyzyskane dla marynarki, choć wielkie lasy zawierają dostateczny materyał dla budowy okrętów; piękności ich krajobrazów nie natchnęły żadnego artysty; ich legendy nie znalazły poety, któryby je wyzyskał; naturalne bogactwa nie wywołały handlu ani przemysłu. Jakże inaczéj przedstawia się historya sąsiedniéj Sycylii! James tłómaczy tę różnicę działalnością wielkich ludzi, którzy często się pojawiali w Sycylii, a nigdy nie rodzili się w Sardynii. Cokolwiek się stało godnego uwagi w świecie, zawsze było dziełem wyjąt-

kowych jednostek. A każda jednostka, nawet przy najmniejszych osobistych zdolnościach, może wytrwałością i pracą podnieść swoje otoczenie. To też James oświadcza się, jak przed nim Carlyle, za czcią dla bohatérów i ostro krytykuje deterministyczne teorye o wyłącznym wpływie środowiska i o konieczności zjawisk historycznych, prowadzące do sparaliżowania woli i ślepego fatalizmu.

Aby téj ostateczności uniknąć, James nie waha się przyznać duszy ludzkiéj władze o wiele potężniejsze, niż te, jakie uznaje większość psychologów. Śmiało występuje w obronie faktów telepatyi i świadczy o ich rzeczywistości. Przemawia z wielkiém poważaniem o „*Society for psychical Research*” — towarzystwie badań psychicznych, zawiązaném w 1882 r. przez grono uczonych angielskich w celu badania zjawisk telepatyi, spirytyzmu i t. p. Towarzytwo to wydało w ciągu ubiegłych lat obfite materyały, dowodzące, że wzajemne działania między ludźmi nie są ograniczone do materyalnéj przyczynowości i że bardzo często wiele osób doznaje wrażeń, które się nie dadzą wytłómaczyć fizyologicznie ani fizycznie. Sam James, robiąc doświadczenia z medium Mrs Piper, osobiście się przekonał o możliwości zdobywania pewnych informacyi bez pośrednictwa zmyslów, drogą telepatyczną. Świadectwo Jaemes'a jest bardzo doniosłe, gdyż wiedza jego psychologiczna i fizyologiczna są powszechnie znane, a także ostrożność, z jaką zawsze prowadził swoje badania naukowe tak, aby uniknąć błędu.

Całe dzieło znakomitego psychologa amerykańskiego ma ogromne znaczenie dla młodzieży kształcącéj się, jako wymowne ostrzeżenie przed bałwochwalczą uległością dla samozwańczéj negacyi wiary w imieniu nauki. James dowodzi, że prawdziwa nauka wiary nie obala, ani jéj nie przeczy—tylko wręcz przeciwnie — upoważnia nas w zupełności do ufania naszéj wierze w takich sprawach, co do których nie możemy zdobyć wiedzy.

Jeden tylko poważny zarzut można i należy zrobić autorowi. Zalicza on do wierzeń takie twierdzenia, które oddawna w zupełności należą do budowy nauki ścisłéj, mianowicie nieśmiertelność duszy i wolność woli. Niema w całym zakresie nauk doświadczalnych żadnego twierdzenia pewniejszego, niż te metafizyczne prawdy, oddawna zgodnie przyjęte przez wielkich myślicieli, a zwalczane dotąd jedynie przez pretensyonalną ignorancyę takich pisarzy, którzy podejmowali się dyskusyi o zagadnieniach filozoficznych bez gruntownéj znajomości wielkich pomników myśli filozoficznéj. Prawdziwi filozofowie godzą się między sobą w uznaniu istnienia duszy nieśmiertelnéj i wolnéj,

poczynając od Platona, a kończąc na licznych filozofach współczesnych, wśród których nie brak i naszych ziomków. [1])

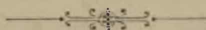
W. Lutosławski.

---

[1]) Niedawno (w N. 36 „Kraju“) ks. Czeczott z Petersburga napisał artykuł p. t.: „Gdzie szukać prawdziwéj filozofii?“—twierdząc, że takiéj filozofii niema po za teologią. Wręcz przeciwnie, teologia chrześciańska w znacznéj części spoczywa na filozofii greckiéj, gdyż św. Augustyn był wyznawcą Platona, a św. Tomasz —Arystotelesa. Jak dalece sama teologia jednak nie wystarcza dla wielu umysłów żądnych wiedzy, widać ztąd, że ogromna większość młodzieży uniwersyteckiéj, nie mogąc, dla powodów łatwo zrozumiałych, znaleźć prawdziwéj filozofii— ulega pokusie przyjęcia téj fałszywéj filozofii, przeciwko któréj teraz występuje James, a z którą u nas już kilkadziesiąt lat temu w niezrównany sposób walczył Gołuchowski w swoich „Dumaniach nad najwyższemi zagadnieniami człowieka“ (Wilno 1861).



O Krysi Prasołównie.



Jeden z uczonych naszych powiedział, że rauty i *five o'clocki* będą się z pewnością w czyścu odbywały!

Chcąc się może zahartować na przyszłą pokutę, grono przyjaciół i znajomych pani Julii Mileskiej odbywało ją co wtorek i to bardzo gorliwie.

Wieczorem, gdy już wizyty grzeczności oddano, zwykle kółko się zacieśniało, salonik wyglądał poufniéj, a tych kilka dusz pokutujących, zainstalowanych każda na ulubioném miejscu i krzesełku, chciałyby ten czyściec przedłużyć w nieskończoność.

W téj atmosferze wykwintu, miękkiego czaru i wdzięku, jedną rozkoszą więcéj było dyskutowanie o karkołomnéj wyprawie Fridtjofa Nansena, i w świetle lamp, przesiewających łagodny, różowy półblask, podziwiać w ilustracyach przepych zórz biegunowych. Nasz sposób pokuty wydał nam się jeszcze milszym wobec tego dzielnego syna północy i kilku lat jego życia, spędzonych w kraju, gdzie każdy krok może być śmiertelny, a każdy oddech zabójczy.

Prawdziwy bohater! odezwał się jeden z pilnych czytelników „*Ill. London News*". Nansen przed wycieczką do bieguna północnego rozwiódł się z swoją żoną. Oczywiście dlatego jedynie, aby nie zawiązywać losu młodéj kobiecie. Gdyby wyprawa skończyła się niepomyśl-

nie, trudno byłoby znaleźć dowody przypuszczalnéj jego śmierci między białemi niedźwiedziami i jeszcze bielszą masą lodów, a pani Nansenowa nie mogłaby załatwić formalności możliwego powtórnego małżeństwa.

— No, ale na szczęście powrócił cały i zdrów, ażeby się ożenić powtórnie z swoją żoną i wydać piękne dzieło: „Wśród nocy i lodów“.

Gruby tom krążył raz jeszcze wokoło; panie z westchnieniem odczytywały na pierwszéj karcie słowa dedykacyi „Téj, która umiała czekać”, bo każda z nich czułaby się mile podrażnioną w swéj miłości własnéj, widząc imie swoje na początku pracy, na którą składało się kilka lat wielkich trudów, z myślą, że to to imie właśnie było skrzydłem anioła stróża wśród niebezpieczeństw.

Panowie podnosili szlachetność Nansena i brak wszelkiego samolubstwa Jeden z nich (wprawdzie nieżonaty) aż się zżymnął na tak wysoko posunięty altruizm.

— Znaleść swoją żonę po powrocie panią X, Y albo Z! Byłbym gotów raczéj podwoić i zacieśnić śluby małżeńskie, gdyby mi tak wypadło ekwipować Fram drugi i puścić się śladami Nansena dla wyprawienia fokom i psom morskim śniadania z własnéj skóry!

Panie stanowiły sentymentalną nutę tego wieczoru i orzekły prawie jednomyślnie, że ta praktyczna córa Skandynawii jest prawdopodobnie przeciętną kobiétą, jeżeli pozwoliła na rozwód, bo największém jéj szczęściem powinno być nigdy się tytułu żony Nansena nie zrzekać, nie dla tego, że cała Europa a za nią świat cały miał zwrócone za nim oczy ku północy, trochę tylko dla tego, że dzielny i od wielu odważniejeszy, ale głównie że zmęczony, że sam, że pewnie smutny, jedném słowem dlatego że „on“.

— Ho, ho, wielka sztuka czekać dwa lata i pół!

Na to powstają protesta.

Płeć silna dowodzi ze zwykłą sobie świadomością rzeczy, że to jest wielka sztuka! że Małgorzaty z Żębocina są rzadkie, na pewno można twierdzić, że jedna dotąd się tylko znalazła, a kto wie zresztą, coby się okazało, gdyby tak który z historyków wziął się na ostro do badania téj zamglonéj historyi.

I posypały się zaraz anegdoty, fakta autentyczne, to na poparcie, to przeciw wygłaszanym tezom o wierności niewieściéj.

Mówiono oczywiście

„o téj co to na gorącym uczynku schwytana
Psuła to czasu nocy, co utkała zrana“

o roztropnéj Penelopie, która

„ze łzami się w Odysseja objęcia rzuciła,
„Garnąc k'sobie, a twarz mu całując mówiła...“

Ale cóż, audytoryum „*fin de siècle*“ nie jest wcale ciekawe wiedzieć, co Penelopa mogła mówić do Odysseusza po dwudziestoletniéj rozłące. Więcéj powodzenia miała powiastka z końca XVII wieku i równie jak u Homera wcale nie problematycznéj autentyczności.

W drugi dzień zielonych świąt, po nieszporach, cała Wieliczka wyległa na łąkę od strony górnéj Lednicy.

Gromada dzieci bawi się osobno, to w derkacza, to w żaby i bociany naprzemian,

Teraz kolej na żaby, więc rozhowor:

— Hi, he, krum, krum,

— Hi, he, krum, krum.

— Siostro! A cóż?

— Umarł! A któż?

— Nasz pan! Bocian!

A my z tego rade, rade, rade, rade.

I krzyku, uciechy, hałasu co niemiara, aż prawdziwe tymczasem żaby w sąsiednim stawku zaniemiały z przerażenia, wyłupiły jeszcze więcéj okrągłe oczy i nadsluchują, co to z téj wrzawy będzie!

Na wzgórku zasiadło kilka leciwych niewiast, kilku starych burtowych i wozaków, a opodal chłopcy i dziewczęta zabawiają się w ulubioną grę, którą nazywają: dziewką na wydaniu.

Posadzono Kachnę Gieraszową, najkształtniejszą z mężatek, na wysokim kamieniu tak, aby od wszystkich była widzianą, a u jéj nóg dziewczęta na wydaniu skupione w rozmaite grona, będące pod jéj władzą i opieką.

Do niéj przybywają poselstwa z dalekich i blizkich miejsc. Kachna pyta, co je w te strony sprowadza.

— Przychodzim do wielkiéj carycy, żądamy dla druha oblubienicy!“

— A którejżto chcecie?—pyta królowa.

Swaty robią przegląd oczyma.

— Dajcież nam tę oto dziewę!

— O nie, zapóźno, moi mili, Anusia już innemu przyrzeczona.

— No, to prosim o Bronię Klimuntównę.

— Taż to nielatka jeszcze; ta, ani międlić, ani prząść nie umié; jagody i grzyby w lesie niech zbiéra; dużo jeszcze wody ze Zrawy do Wisły upłynie, zanim ją za żonę oddam.—Nic z tego, innéj szukajcie.

I tak drożyła się jeszcze długo Kachna, bo w myśli inną dziewczynę przeznaczała swatom.

Ci skłonili się nisko raz jeszcze i prosili o dorodną Krysię.

— A wiécie wy, mówi królowa, że ojciec Krysi jest prasołem, ma składy z pierwszéj ręki w Krakowie! Sam król jegomość Kazimierz Wielki za żupnictwa Wierzynka nadał prasolstwo jego pradziadom!

— Wiemy, wiemy, zamożny to przekupień, ale téż i nasz młody dzielny chłopak!

— A któż to taki?

— Janek z Kutnéj Hory; zdaleka przybył i nie ma tu rodziny, ale między nami znalazł jakby drugą ojczyznę, bo mu jak bratu dobrze życzym.

— Dałabym wam Krysię, jeśli dobry zrobiliście wybór, a godnyż on jéj?

— Złoto nie chłopiec, kruszakiem jest od lat dwu a pan bachmistrz zrobi go pewnie podsztygarem, niech tylko wróci z dostawy soli dla Króla Jegomości i szlachty z Mazowsza.

— Młodzi się wielce miłują, jak słyszę, bierzcież więc dziewę, przyjaciele.

Na to posłowie pytają dziewicy, czy umié piec chléb?

Przez skromność i żeby nie okazać, jakoby jaknajprędzéj pragnęła wyjść za mąż, Krysia przysłania na pół oczy długiemi rzęsami i odpowiada.

— Nie umiem – ale jéj uśmiech co innego znaczy.

Królowa utrzymuje, że umié, i rozkazuje, aby natychmiast chléb piekła. Krysia, posłuszna, wesoło udaje wszystkie ruchy przy pieczeniu chleba.

— A, widzicie! — jak jéj gładko idzie, woła z radością królowa.

Dziewczęta się śmieją, starsze niewiasty klaskają w pomarszczone dłonie, a posłowie chcą daléj wyrozumiéć, czy umié gotować obiad, uszyć koszulę, uprać bieliznę, drób zwołać, czy wié jak dziecko ukołysać, jak mu do snu zanucić.

Dziewczę pomimo wstydliwych zapewnień, że nic tego nie potrafi, pod posłuszeństwem wykonywa w miłéj pantominie żądane czynności.

Z kolei troskliwa o losy swéj wychowanki królowa każe zbliżyć się oblubieńcowi i czyni mu zapytania.

— No a ty, Janku, umiész-że solne bałwany ciosać, kłopcie rozrywać, kruchy nabijać w solówki, wycinać zboje i ławy?

Janek wykonywa wszystkie ruchy górników.

Znowu śmiechy, żarty, klaskania.

— To nie dosyć—mówi królowa,—a wiész jak orać i zasiać pole przy chacie? Zręcznyś ty kosarz, a szybko drwa rąbiesz?

Udając każdą z tych czynności, Janek okazał równą biegłość.

Po wzajemnych zapewnieniach, podziękowaniach carowéj i pożegnaniu z przyjaciółkami i krewnymi wreszcie oddano ją posłom.

Krysię otoczyli młodzieńcy kołem, a ta jeszcze wymknąć się im usiłowała.

Zabrzmiały gęśli i skrzypkowie żupni, a chór chłopców ścigając Krysię zaczął śpiewać:

Jak rybka tuż za rybką,
Jak jaskółka za jaskółką
W pląsach, w skokach krążą szybko,
A Krysieńka w środku koła,
W tę i ową bieży stronę,
Wszędy wyjście zagrodzone,
Wszędy piosnka brzmi wesoło,
Fil, fil, fil, fil, przepióreczko,
Przepióreczko piękna, hoża,
Nie ucieczesz nam do zboża,
Nie ucieczesz, kochaneczko!

Zaledwie dotykając ziemi, umykało dziewczę żwawo, aż Janek pochwycił ją i wpół objął.

Krysia stanęła zapłoniona, a serce trzepotało się jéj w piersi, jakby ją chciało rozerwać!

I przez mgnienie oka cała ta ziemia rozkwiecona, cały ten ma, wspaniały błyszczał przepychem barw, tętniał bogactwem dźwiękówj aby uroczyściéj święcić tę chwilę w sercach dwojga młodych; od reszty ludzi oddzielał ich jakiś czarowny krąg szczęścia, tego wielkiego a nieuchwytnego szczęścia, które się wyłania, jak woń z kwiatu, odczute przez innych instynktownie jakimś zagadkowym zmysłem.

Tony piosenki stawały się coraz skoczniejsze, aż przeszły w raźny mazurek, sławny na cały kraj mazur okolic Krakowa.

Mikołaj Leszcz, sztygar Nowego Pola, począł taniec z Kachną Gieraszową, za nim wzięli dziewczęta do tańca inni kruszacy, warcowni hutmani. Śpiewano i tańczono, aż ostatnie promienie słońca zadrżały na szczytach drzew, a dzwonek farny na Anioł Pański powołał rozhukaną gromadkę do modlitwy, wieczerzy i snu krzepiącego do jutrzejszéj pracy.

Zabawa świątkowa zaczęła przybierać kształty rzeczywistości. Ojciec Krysi, zamożny prasoł, dał na zapowiedzi. Młodzi mieli się pobrać na Ś-ty Michał.

Janek, lekko raniony w rękę przy rozrywaniu kłopcia, nie mógł pracować w żupie czas jakiś, a że był sprytny, trzeźwy i obrotny, przeto podżupek przeznaczył go do odstawy bałwanów i solówek do Oświęcima miejsca, zbytu soli na wielką skalę.

W drodze miał się wywiedzieć u wójta oświęcimskiego, jak stoi sprawa z pretensyami do Wieliczan o naprawę mostów na Sole i Włósience.

Liczono, że dostawy i sprawy żupne miały mu zająć czas dwumiesięczny, a potem na św. Michał miał już sprowadzić do swéj zagrody młodą gosposię.

Zaraz po suchedniach majowych poczynano wozy i galary ładowne rozsyłać na wszystkie strony. Te—O.O. Benedyktynom Tynieckim, te—dla OO. Cystersów w Mogile, inne do królewskich składów, albo jako wypłatę darowizn Akademii Krakowskiéj, która bodaj czy nie z większą wówczas gorliwością, niż o sól atycką, dbała o przechowywanie donacyi:

„*ad magnum salem korito*"...

Przez całą Wieliczkę, górną Lednicę, aż ku Chorągwicom szły podwody. Janek miał się przysiąść do jednego z wozów, aby jeszcze przed wieczorem stanąć w Krakowie.

Załatwił wszystkie sprawy, pokłonił się z pożegnaniem gospodarzom swoim, dzieciom ich obiecał przywieźć gościniec z drogi; wyszedłszy z zagrody, spojrzał, ku chacie Krysi, pożegnał ją raz jeszcze w myśli i skierował się ku wozom, które postępowały jedne za drugiemi, jak niegdyś podczas praźników widywane w dzieciństwie może i komiegi pokuckie.

Janek niewielkie zawiniątko przewiesił przez plecy i zbliżył się do szybu Regis.

Do kopalni musiał jeszcze zejść, aby zabrać narzędzia i potrzebne papiery.

Dla chwilowéj naprawy kieratu, od kilku tygodni spuszczano się drabinami do komory, gdzie górnicy starego pola zgromadzali się po szychcie, obliczali i mierzyli robotę dzienną.

Jak zwinny kot, przebiegł Janek stopnie drabiny sznurowéj i znikł w czarnéj czeluści szybu; tylko kaganiec rozświecał smolne ściany kaszty, jak błędny ognik mogilny.

Po kilku minutach stanął na pierwszém piętrze. Dobrze znanym

chodnikiem skierował się do komory, gdzie górnicy zostawiali swe narzędzia i odzież

Zabrał kilof, przekonał się, że papiery oddane mu przy wadze przez ponderatora były w porządku, włożył je do skórzanéj torby, a że ostry świst wiatru przeleciał szybem i zadął głucho a przeciągle, włożył guńkę i opuścił komorę.

Wychowany prawie w podziemiach wielickich, znał niektóre pola w żupie, jak leśniczy zna swoje dęby i sosny, a rolnik łany pszeniczne.

Były mu bliskie i znajome; nie bez dumy poprawiał na ramieniu kilof, bo mu nieraz wspominano, że nigdzie na świecie pono człowiek tak głęboko się nie zarył i tyla skarbów z wnętrza ziemi nie wydarł.

Czasem przebiegał sam te otchłanie i wtenczas przejmowało go uczucie dziwnego lęku; dzisiaj zdawału mu się, że zręby olbrzymie ciążą więcéj, niż kiedykolwiek, nad urwiskami!

Ta otchłań bez dna jest dziełem rąk ludzkich do najmniejszéj okruszynki; ale téż ta praca krecia pochłonęła powoli życie tylu a tylu braci górników.

Żupa brała jako daninę młode siły, żylaste ramiona.

Było w tych naciętych skałach jakby skrzywienie szyderskie i bolesne jakichś potwornych olbrzymów i w odgłosie kroków powtarzanych przez setne echa zgrzyt przytłumiony i chichot, który to słabnął, to wzmagał się znowu; była w téj ciemności groza tajemnicza, która wszystko kryje, i rozświetlona na jedném miejscu i przez jedną chwilę, z oddali straszy, wzmaga się i przeraża.

Janek nie był tchórzem, ale dziś pilno mu było do światła, do dnia jasnego.

Wiedział, że z ciężkim kilofem po drabinie wychodzić będzie bardzo trudno; chcąc się dostać do schodów, musiał zejść na niższe piętro ku Wodnéj Górze, a stamtąd skierować się do szybu Seraf, który wychodził d o d n i a, i był urządzony nader wygodnie dla schodzenia i wychodzenia tak górników, jak zarządzających, a od jednych i drugich roiła się ta linia po szychcie.

W ten sposób obmyślana droga prowadziła przez długi krużganek Boczańca dawno zawalonéj góry przez nieostrożność i nieuctwo żupników, Hieronima Radziejowskiego i Łomżyńskiego.

Mógł wprawdzie skrócić o połowę, staczając się z śliskiéj, pochyłéj powierzchni od strony zawalonéj komory Bokler, ale ten sposób spuszczania się do niższych pięter żupy był zakazywany surowo.

Kruszak wprawdzie nie mógł nigdy zrozumiéć dlaczego, bo dawniéj z rozkoszą oddawał się téj igraszce, ile razy był pewien, że go któ ry ze starych burtowych nie zobaczy i za uszy nie wytarga.

Zawsze wychodził cało z téj próby, dlaczegóżby i teraz nie udało mu się potoczyć po ile ziarnistym szybikowego pokładu, zwłaszcza, że mu to oszczędzi i czasu i trudu.

Nie namyślając się długo, o kilkaset kroków opodal rzucił z góry kilof, który z głuchym trzaskiem spadł z sążnistéj stroméj pochyłości i zatrzymał się gdzieś u podstawy zawalonéj kaszty. Kruszak przyjął postawę poziomą, ramiona wydłużył i żywym ruchem potoczył się zwysoka.

Jakkolwiek lat kilka nie pracowano tutaj, znał dobrze Boczaniec i wiedział, że za chwil parę zatrzyma się na dole obok szczeliny, gdzie dawniéj naciekową sól wyrębywano.

Czy jednak ciężki młot spadając odkrył jaki kant kryształu, lekko dotychczas przysypany, czy ił wilgotny osunął z biegiem czasu i obnażył poprzeczną warstwę pokładu spiży, dość, że Janek kruszak zabił się na miejscu przez jedno z tych zgięć kręgosłupa, które w oka mgnieniu zabija wiewiórkę, czy konia w niezręcznym skoku.

Wieść o zniknięciu Janka z Kutnéj Hory nie zaraz rozbiegła się po Wieliczce. Dostawy szły równocześnie na Niepołomice Wisłą do Krakowa i Puław, a wozami do Oświęcima.

Według poleceń pana podżupnego miał Janek dostać kwit od Ojców Cystersów w Mogile za otrzymaną część rocznéj darowizny. W Krakowie na kuchnię Jego Królewskiéj Mości zostawić miał beczek 324. Jako „*doni nuptialis*“, Królowéj Jejmości szybikowéj soli beczek 4000. Na szlachtę mazowiecką beczek 10,540 suchedniowéj soli, którą szlachta pobierała cztery razy do roku i to po cenie niższéj od kosztów wydobycia.

Reszta szła według ściśle obliczonéj liczby na dyarye urzędnikom krajowym, O. O. Benedyktynom na Tyńcu innym zakonom z dawien dawna na żupach wyposażonym.

Wszędzie czekano na pisma salinarne z miarą bałwanów, wagą kruchów i solówek.

Dziwiono się, że za wzorowego żupnictwa Jana Przebendowskiego i hrabiego Teodora Reyny nie pilnowano porządku w dostawie.

Wreszcie jeden z hutmanów stanął z resztą dowozu na Wiśle i dowiedziawszy się, że przy odbiorze było zamieszanie, posłał z raportem do żupy.

Ponderator wydał raz drugi żądane pisma, nie mogąc zrozumiéć, co się stało z jego poprzednim wykazem i z Jankiem, któremu papiéry osobiście wręczył.

Rozpytywał się woźniców, wracających po nowe ładunki, czy który z nich Janka nie odwoził; posyłał nad Wisłę do flisaków i trybarzy z podobném zapytaniem, ale jedni i drudzy mało znali górników i żadnéj wskazówki dać nie mogli.

Szukano go napróżno w składach na Turówce, w Krakowie na jarmarkach w czasie, kiedy zbyt soli byl największy.

Nikt nie widział go wchodzącego do salin. Pomimo to, na rozkaz podżupka górnicy przebiegli wzdłuż stare i nowe pole. Przetrzęśnięto szyby Leszno, Bużenin i Przykos, szukano go na Lizaku, w Sielcu, Wałczynie i Słupowie.

Warcowni stukali w ściany danielowickiéj jamy, gdzie się niedawno pokazały osunięcia i gdzie jednemu z kopaczy kaszta o mało nogi nie zdruzgotała.

Krysia śledziła te poszukiwania z naprężeniem i rozpaczą, to z błyskami nadziei. Całowała ręce górników z niemém błaganiem, nadziei, a ci strudzeni, po skończonéj szychcie, brali pozwolenie od sztygara i z kagankami z własnéj ochoty szukali jeszcze zaginionego.

Tak natrafili na szczątki dwu domów, pochłoniętych przed laty, kiedy w Słabuszowie zapadła się znaczna część ziemi; kaganki ich oświecały nawet spadzistość Boczańca; ale nikomu na myśl nie przyszło na tém właśnie miejscu rozgrzebywać spadzistą górę; szybik ten nie wychodził d o d n i a, zawały jarkiéj perłowéj siemlotki i szaréj hałdy utrudniały dostęp i tak pokrywały szczeliny ociosowe, jakby tam od setek lat ręka ludzka nie spoczęła.

Pies Janka, czarny Żuber, byłby może zaskomlał tutaj, byłby zwietrzył pana swego i skowyczał tak długo, ażby zwrócił uwagę górników.

Ale Żuber, oddany w opiekę Krysi, nie odstępował jéj teraz ani chwili; położył pysk na jéj kolanach, wlepił w nią mądre, poczciwe oczy, aż ta z jękiem osunęła się na ziemię, otoczyła rękami psa i płakała długo, mieszając łkania ze skomleniem Żubra, a ociérając łzy długą czarną wełną, szeptała: gdzie twój pan i mój!

Stare gospodynie, młode towarzyszki Krysi, każda na swój sposób dzieliła się domysłami z sąsiadką.

— Et, co tam, gach zwodny — mówiła Magda z Sandrowy, która już na niejedno patrzyła w swém długiém życiu;—gdzieś mu się w drodze na darzyła podwika, ulubił ją i przepomniał swego dziewczęcia, a ta sobie niemądrze oczy chce za nim wypłakać.

A na to kuma:

— A mnie się widzi, że on do Kutnéj Hory zemknął. Obcy był i ciągnęło go do swoich, nie mało tu ludzi z cudzych ziem z podwodami bywa, ot i zabrali go jak swego.

— Kto wie, czy on nie przystał na pokoje Króla Jegomości—dorzuciła Zosia Ledniczanka, był chwacki w mowie i obrotny, to mu tam może złotolśniącą odzież dali i przeznaczyli do zamku, jak młodego Przesława, choć mu ojciec dotąd nie przebaczył, że kilofa po dziadach i pradziadach swoich się wstydzi.

Dobiegały Krysi te i owe domysły, a biédne dziewczę słuchało chciwie każdego słówka o Janku, aby potém w samotności żywić swą rozpacz, zwątpienie i miłość.

I tak mijały długie lata, zieleniły się drzewa, to znów zaścielały ziemię zżółkłemi liśćmi, i z wiosną nowe życie rozkwitało z całą rozrzutnością przyrody niewyczerpanéj w kwiaty i w pieśni.

Los Krysi płynął zwykłą drogą nieszczęść ludzkich. Zrazu rozpacz, daléj gorycz i smutek, daléj tęskne zamyślenie, wreszcie smętny wdzięk ukojonych wspomnień.

Pod przyzbą białéj chaty siedzi pomarszczona staruszka. Drobne dłonie splotła na kolanach i podniosła oczy jeszcze żywe i błyszczące, jak paciorki różańca.

Przed nią wznosi się smukła topola.

Boże, Boże, a toż to dopiéro ten pręt śmignął w górę od czasu, jak Janek zasadził go naprzeciw jéj okna lat temu pięćdziesiąt!

Już pięćdziesiąt!

Gdzież tu szukać w twarzy pomarszczonéj, jak zimowe jabłko, rysów załzawionego dziewczęcia, które z bólem i strachem patrzało w życie.

I dziś to życie już po za nią, a sądząc ze słodyczy spojrzenia, z ust pogodnych i miłego na nich uśmiéchu, widać, że upłynęło w ciszy.

Krysia niosła piérwsze chwile bolesnéj zadumy do stóp Chrystusa Ukrzyżowanego w farnym kościele.

Kładła rozpalone czoło na zimnym stopniu ołtarza i modliła się zdławionym szeptem: „Boże, nie wypuszczaj go z swéj opieki, gdzie kolwiek jest, niech go Twoja Opatrzność strzeże. Ty, Panie, widzisz

źdźbło trawy w ukryciu, komara pod jéj cieniem, liczysz włosy nasze! Jeżeli ja mu szczęścia nie dam, daj mu je znaleźć gdzieindziéj i daj mu inną żoną szczęsną dolę—bezemnie".

I powtarzała te słowa kilkakrotnie i przysłuchiwala się ich dźwiękowi, jakby je kto obcy wymawiał, bo cała jéj dusza wzdrygnęła się na ich treść.

Pomimo to, raz jeszcze powoli, szeptem, kornie pochylona u stóp Chrystusowych, powtarza: daj mu inną żonę, szczęsną dolę bezemnie. Ale był to wysiłek woli tak wielki, że dreszcz ją przebiegł po całym ciele.

Za każdą modlitwą wracała spokojniejsza, baczniejsza na potrzeby i przysługi, które oddać mogła około siebie, więcéj nieczula na własne nieszczęście.

Chrystus stał zawsze, jako drogowskaz w chwili zwątpienia. Z czasem, po kilku latach już nawet przestała pragnąć zmiany w swoim losie. Bóg nie miał kamienia, aby spokojnie złożyć głowę, a ona, biédna dziewczyna, zapomniana w tłumie, miałaby szemrać, że jéj Janek przepadł gdzieś bez wieści, a ona jego obrazu z serca wyrwać nie może.

Niejeden dzielny chłopiec kłaniał się ojcu Krysi, aby ją za żonę pojąć. Ojciec do córki zawsze się zwracał, nie nalegał jednak, gdy odmawiała.

Przeczuwał w niéj jakąś moc potężniejszą w cierpieniu i mawiał: „niech się stanie wola Boża nad nią".

I nie zważała Krysia, że ten i ów bogatszym był od Janka i znaczenie w gminie miał większe. Nie zastanawiała się nad tém, że nowi jéj zalotnicy są w stanie sprawić jéj korale od orzechów większe, piękne szale wzorzyste zza morza na krakowskie jarmarki sprowadzane, albo czepce od złota kapiące, w które ustrojona zasiędzie w kościele między najzamożniejszemi mieszczkami Wieliczki.

Miłowała Janka, jakim był, i jego być miała w szczęściu i niedoli, czy on bliski, czy w oddaleniu, i chciała mu pozostać wierną, czy on żyw, czy nie.

Raz tylko Krysia zachwiała się w postanowieniu. Łoś, bednarz żupny, wdowiec z dwojgiem dzieci, prosił, aby im była matką. Krysia z prostotą i słodyczą gładziła biédne sieroce główki i byłaby już może zgodziła się na śluby, ale podniósłszy oczy, spotkała spojrzenie Łosia, które zarówno gorąco prosiło o matkę dla dzieci, jak żonę dla siebie.

Zamajaczyła w jéj myśli łączka i cały ten niezapomniany wieczór Zielonych Świątek, kiedy wszyscy nazywali ją oblubienicą Janka, a on mówił do niéj głosem pewnym, spokojnym, serdecznym:

„Moja Krysiu, na zawsze moja,—pamiętaj!”

Nie, już gdziekolwiek on jest, dochowa mu wiary, usta nie skłamią, jak serce nie skłamie w przysiędze dla innego!

Cicha, dobra, codzień lepsza Krysia oddawała dzień za dniem prace swoje to sąsiadce choréj, to skaleczonym noszakom lub burtowym, to dzieciom ich, ucząc malców pacierza, dziewczęta prząść, pléć ogródki.

Nikt tak dobrze, jak ona, nie upinał wianków ślubnych na czole panien młodych: gdy smutek lub choroba dom nawiedziła, Krysi dawano znać najpierwéj, a jéj dłoń lekka, chód cichy, spokój i pogoda— pierwszy promyk słońca przynosiły do chaty. Wszyscy ją znali, przyjmowali jéj pomoc bezwiednie, jak się wdycha powietrze.

A jednak teraz poczciwa stara Krysta obchodzi złote wesele ze swém cierpieniem. Wspomnienia cisną się do niéj tłumnie.

Będąc młodą dziewczyną, raz tylko spuszczała się do salin, i z téj podziemnéj wędrówki wyniosła uczucie grozy na całe życie.

Przygniatał ją ten ogrom, bezkształt pieczar i strach nocy.

To téż, gdy została narzeczoną kruszaka, układała sobie cały plan przyszłego życia, aby mu wynagrodzić długie godziny pracy w podziemiach.

Jak to ona świetlicę będzie trzymać w porządku, a jak tam będzie wszystko błyszczało ładem, ile kwiatów nasadzi w ogródku, a w doniczki na zimę. Jak jéj chléb będzie biały, a nadewszystko, jak jéj serce Jankowi oddane, gdy po szychcie wróci do chaty do niéj, do swéj Krysi.

Teraz objęła smutnie topolę ramionami, przycisnęła zwiędłe czoło do chropowatéj kory pnia i myśli, myśli długo, o tém co być mogło, a co się nie ziściło...

Wtém gromadka dzieci nadbiega, otacza Krystę, a ta otrząsa wspomnienia swego losu i chwilę potém siedzi na białéj ławie pod chatą.

Dwuletni smyk, wnuk Kachny Gieraszowéj, wygodnie się usadowił na jéj kolanach, klaska w dłonie, a ona mu śpiéwa, zupełnie jakby to było własne jéj wnuczę:

„Koci, koci w łapki,
Pojedziem do babki,
Da ci babka kaszki,
A dziadek okraski!

— Jeszcze babciu, jeszcze,—wołają malcy, a Krysta dalėj:

Kosi, kosi w obie dłonie,
Lepsze lato, niźli łonie:
Latoś pono znikła hreczka,
Dziś urodziła pszeniczka!

Nadchodzi kilka niewiast i burtowych z kopalni i opowiadają Kryście dziwne rzeczy:

Od kilku miesięcy geometra i żupnik, pan Godfryd Borlach, zwiedza wszystkie zapomniane pola, bo Król Jegomość życzy sobie na karcie widziéć nasze saliny. Niedawno wrócili górnicy przez zawalony Boczaniec ku szybowi Regis; jak zaczęli ostukiwać ściany, tak znaleźli w miałkim ile ciało górnika, i wygląda, jakby wczoraj usnął, ale dziwno, bo go nikt jakoś poznać nie może, a już oddawna nie słyszano o tém, aby którego z Wieliczan w tych miejscach nieszczęście nawiedziło.

Wśród zielonych drzew snuje się pochód pogrzebowy. Ile ludzi w Wieliczce, tyle ich wyległo na drogę cmentarną.

Cech górniczy w odświętnych strojach, kapela salinarna gra marsza żałobnego, a na przemian ksiądz proboszcz śpiéwa modlitwy pogrzebne. Tuż za trumną postępuje Krysta, narzeczona zaginionego przed pięćdziesięciu laty kruszaka.

On, z pięknemi rysami twarzy, z czystemi liniami młodości, którym czas nadał jedynie nieruchomość i majestat posągu. Niby mumia egipska, zachowało się nienaruszenie ciało Janka kruszaka, ujęte przed pół wiekiem w szczelinę dwu odłamów skały solnéj; ił ziarnisty przysypywał je wolno i jakby ostrożnie, aby dziełu zniszczenia wyrwać choć cząstkę ofiary.

Gdyby tak kruszakowi dane było przez chwilę podnieść oczy i rozejrzéć się wokoło, czy poznałby w siwéj, zgarbionéj staruszce swoje dziewczę z przed pół wieku.

Za miłość, za wiarę, tak święcie dochowaną, przynosi jéj widmo przeszłości i to tak dokładne, że Krysta ani przez mgnienie oka nie zawahała się w rozpoznaniu jego rysów.

Odprowadziła go w otoczeniu licznego tłumu do grobu, gdzie już na zawsze miał spocząć, przez chwilę silniéj ją zabolało jéj dziwne wdowieństwo i powróciła do codziennego życia, smutniejsza, ale z wiarą, która umiała czekać; ale jéj tęskno i coraz cięższéj przebywać ten czas rozłąki, nieokreślony a długi,—oj, długi dla tych, co cierpią!

— Jak pani myśli — zapytał mnie ktoś z mego audytoryum,—czy żona pana Nansena czytała tę przygodę?

— To nie jest niemożliwe, wszakże Skandynawia czasem miała z nami stosunki.

— Tak, to prawda, nawet podczas wojen szwedzkich chciano bombardowaniem dusze powystraszać z biédnych Wieliczan, którzy byli pewni, że ziemia się z nimi zapadnie i zamarynuje ich wszystkich, jak naszego kruszaka. Wiem o tém pewnie, że rozbili kasę żupną i nałupili soli, co się dało, ale tego, czy archiwu i kroniki salinarne zabrali, to już niepamiętam dokładnie.

Marya Piechocka



ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

Jan Kasprowicz. „Krzak dzikiéj róży“, z portretem autora. Lwów, 1898 roku, str. 263.

Niedawno zawiązała się we Lwowie spółka wydawnicza, do któréj należą i autorowie prac przez nią drukowanych. Sympatyczna instytucya ta rozpoczęła działalność swoją ogłoszeniem powieści Zycha, p. t. „Prace syzyfowe”. Obecnie nakładem tego „Towarzystwa Wydawniczego” ukazał się nowy zbiór poezyi Jana Kasprowicza.

Zajmujący jedno z pierwszych miejsc w szeregu naszych młodych pieśniarzy, znakomity tłómacz Byrona, Shelley'a, Shakespeare'a oraz wielu innych poetów angielskich i niemieckich, wystąpił Jan Kasprowicz z pierwszym tomikiem swych utworów, przedmową Jeża poprzedzonym, w „Bibliotece Mrówki”, mniéj więcéj przed dziesięciu laty. Pojawienie się téj szaréj niepozornéj książczyny było ważnym wypadkiem w dziejach naszéj młodéj poezyi. Tetmajer, Miriam, Rydel, Nowicki, Niemojewski dopiéro stroili lutnie swoje, utwory Langego trwały w rozproszeniu po pismach, wierszyki Or-Ota nie zapowiadały późniejszego rozwoju jego twórczości, — poezya Kasprowicza tchnęła w niezdrową cieplarnianą atmosferę sentymentalnéj liryki ożywczy świeży powiew z naszych łąk i pól. Przyjęty z uznaniem przez całą krytykę, Kasprowicz nie zawiódł pokładanych w nim nadziei. W roku 1890 wydaje we Lwowie „Chrystusa”, poemat społeczno-religijny, napisany prześlicznemi tercynami. W następnym roku tamże ukazuje się

jego opowiadanie wierszem „Z chłopskiego zagonu". Rok 1894-ty przynosi zbiór poezyi „*Anima Lacrimans*", — a rok 1895-ty cztery poematy objęte jednym tytułem „Miłość". Jeżeli dołączymy jeszcze do tego dramat z życia ludu wielkopolskiego „Świat się kończy", oraz iczne przekłady—będzie to pokaźny dorobek, jak na zaprzężonego do taczki dziennikarskiéj poetę.

„Krzak dzikiéj róży" rozpada się na parę cyklów. Już pierwszy z nich „W ciemności schodzi moja dusza" rozpoczyna się znamienną strofą: „Wierzyłem zawsze w światła moc, władnącą nad mrokami, a przecież nieraz wiarę tę gorzkiemi zlewam łzami". Wiersz „Byłeś mi dawniéj bożyszczem, o tłumie", w cyklu tym zawarty, stał się powodem zarzutów, na które niepodobna się zgodzić. Mianowicie tu i owdzie poczęły się odzywać głosy, jakoby poeta stał się niespodzianie wrogiem ruchu, którego niegdyś był czcicielem. Wprawdzie z goryczą mówi on o tłumie, dawném swém „bożyszczu", wprawdzie przeklina go za zdeptaną wiarę i za bezskutecznie czynione dla niego poświęcenia —lecz nie jest to bynajmniéj odstępstwo od ideałów demokratycznych, a tylko bolesny jęk zawiedzionych uczuć człowieka, który niegdyś pokładał gorącą, bezwzględną wiarę w wartość tłumu. Nazywa go nienasyconym, nie dbającym o żadne idee „brzuchem", codziennie trawiącym „Myśli, uczucia, prorocze ekstazy, czystość poświęceń, rycerskie porywy, modły zachwytne, dyscyplinne razy, krwi stygmatycznéj święty strumień żywy; gwoździe, co sine przebijają ręce; ciernie, co kłują blado-żółte skronie". Nazywa go „płazem człowieczym, z odgniotem jarzma na schylonym grzbiecie"—„zwierzem brutalnym—Molochem, bożkiem miedzianym, — wrogiem ducha, depcącym ołowianemi stopami kwiaty zasiane przez dłoń bożego siewcy, a stawiającym na zwiędłém pustkowiu straszny dla duchów ogrom ciała. Na wielkim od złota błyszczącym ołtarzu rozpościera się jego ścierwo tłuste, pieszczące rozpustę na kolanach — oko ma błyszczące ogniem zawiści, a usta przez chciwość w wstrętną paszczę zmienione. W piersi jego wrą wulkaniczne ognie, ale stracony, kto się od nich zajmie! Serce swe spali, duszę swoją pognie, jak ćma tak spłonie w swym służalczym najmie." Poeta przepowiada krwawemu Molochowi, co mu pożarł serce i wyssał drogi szpik jego duszy, że „sługa jarzemny rozstrzygnie jego losy, a dzierżyciel pięści uderzy go w pierś i stopę mu na karku położy." We wszystkiém tém widzieć należy nie sprzeniewierzenie się ideałom demokratycznym, lecz, jak się słusznie jeden z krytyków wyraził, „zwyczajne w życiu poetów, szczere falowanie uczuć." Do najpiękniejszych strof pierwszego działu należy refleksyjny wiersz „O niezgłębiona duszy toni". Drugi z kolei cykl „Z wirchów i hal", zupełnie

nowy na strunach lutni Kasprowicza, rozpada się na dwie połowy: „z Alp” i „z Tatr”; znajdujemy tu rzeczy najlepsze, skrzące się przepychem barw, jakich poeta nie miał dotychczas na swéj palecie—obfituje w nie zwłaszcza dział drugi. Należałoby wyliczyć wszystko — poprzestajemy na „Krzaku dzikiéj róży”, cyklu złożonym z czterech sonetów. Jako śpiewak piękna tatrzańskiéj przyrody, staje tu Kasprowicz obok Asnyka, Tetmajera i Nowickiego. Trudno również przemilczéć o wierszu „Taniec zbójnicki”, napisanym z motywów pieśni ludu zakopańskiego, po części jego gwarą, a odznaczającym się siłą, plastyką i doskonale podchwyconym tych pieśni charakterem. W idącym z kolei dziale „Nad przepaściami” zasługuje na wyróżnienie parafraza jednego z hymnów Rigwedy. Dział przedostatni „Akordy jesienne” zawiéra piękny wiersz (str. 183), wymierzony przeciw tym, co powiadają, że w młodéj poezyi „niema tytanicznych tchnień, wstrząsających granitami”, że „jéj duch, nieświadomy swoich celów, błądzi dzisiaj, jak nikły cień bohatérów, co w martwotę wprowadzali życia ruch”. Czy „dąb zielony” mówi to? nie! „Odarty z liścia pień! Robaczywy tłum, co w wrzaskach kankanowych stracił słuch na melodye hymnów wiecznych — opasły leń, w którym nie mózg ludzki, lecz zwierzęcy myśli brzuch.” Poeta mówi, że „tak jak dawniéj, idzie przez świat z ogniem świętym śpiewny lud—tak jak dawniéj w harfach swoich więzi krwawy błysk i grom — tylko nie spotyka już Zewsów, a od promiennych wrót raju nie odgania go dziś anioł, lecz ścierw gnijących wstrętny wał — nie chce téż godzić weń piorunem bożym, stworzonym dla potężnych skał.” Zamyka książkę alegoryczno-fantastyczny dramacik „Na wzgórzu śmierci”, kreślący stosunek rozumu i serca do prawd objawionych. „Dusza wygnana z raju”, wahająca się pomiędzy Chrystusem i Lucyferem, skłania się ku drugiemu. Ostatni tom poezyi Kasprowicza pod wieloma względami różni się od pierwszego; co do treści—staraliśmy się to już powyżéj oświetlić... Pozostaje nam jeszcze forma. Szare, na bibule drukowane wydanie „Biblioteki Mrówki” tak różni się od welinu ostatnich tomików Kasprowicza, jak szorstkość pierwszych jego poezyi od śpiewności i melodyjności ostatnich. Nieuprzedzeni krytycy już przy pierwszym występie poety, nie zrażeni chropowatością jego wiersza, przepowiadali, że wyłoni się z niéj piękny, nieskalany kształt — i przepowiednia ta ziściła się, stwierdzając po raz nie wiem który słuszność zdania tych, co chętniéj widzą w poetyckich pierwiosnkach łamanie się z trudnościami formy, niż ową gładkość bez zarzutu, która z czasem w szablon i manierę przechodzi. Wiersz Kasprowicza z dawnych zalet nic nie uronił — jest to zawsze wiersz męski: giętki, silny i plastyczny, umiejący gdy potrzeba w śpiżowy dzwon uderzyć,—

a tak dla swego twórcy znamienny, że zdaje się wprost przeglądać zeń męskie surowe oblicze poety, którego wizerunek ozdabia książkę. Jaką zaś wiersz ten umie poić słodyczą, gdy się rozśpiéwa, niech powié „Cisza wieczorna”, któréj prześliczne tercyny z nieprzepartym urokiem opowiadają, jak to ona „od wieczornéj idzie zorzy zamykać Tatry w swe ramiona”.

Każdy prawdziwy miłośnik poezyi szczerze wdzięczny być powinien młodemu „Towarzystwu Wydawniczemu” za zebranie w tom tych utworów, które z serca płyną i do serca trafić muszą. *Ar. Les.*

Stefan Żeromski „Utwory powieściowe“ (Na pokładzie. — O żołnierzu tułaczu. —Tabu. — Cienie. — Kara. — Legenda o bracie leśnym. — Promień). Warszawa-Kraków, 1898 roku.

Utwory p. Żeromskiego cieszą się wśród naszéj publiczności zasłużoném uznaniem. Jednomyślnie prawie uważany jest on za jednego z najbardziéj utalentowanych przedstawicieli naszego młodego powieściopisarstwa. W rzeczy saméj, nie można mu odmówić wielkiego talentu, może nie talentu wyszukiwania niezwykłych sytuacyi, działających na wyobraźnię niewybrednych czytelników, nie talentu kréślenia typowych postaci, rzucających się w oczy plastycznością i życiem, ale talentu malowania stanów psychologicznych oraz scen z życia powszedniego z taką nieubłaganą dokładnością, z taką przeraźliwą prawdą życiową, że mimowolny dreszcz wywołują w czytelniku.

A że to życie powszednie, które z takiém mistrzostwem odtwarza p. Żeromski, tak mało obfituje w blaski promienne, że ta dusza ludzka, któréj wnętrze z chłodem anatoma odkrywa on przed nami, pomimo zwierzchniéj powłoki uczciwości konwenansowéj, jest w rzeczy saméj jaskinią, w któréj gnieżdżą się często najohydniejsze gady samolubstwa, zwierzęcości, okrucieństwa, — więc też w utworach p. Żeromskiego tak smutno, tak przeraźliwie smutno. Wieje z tych kart jakaś melancholia grobowa, jakiś zatruty powiew cmentarny...

Kilka zaledwie nowelek z niniejszego zbiorku nie da się podciągnąć pod tę ogólną regułę — i są to też rzeczy najsłabsze. „Na pokładzie” jest zaledwie szkicem do powieści, jedném wrażeniem podróżném, zapisaném do notatnika turysty: na pokładzie statku, dążącego z Brunnen do Fluelen, grono dzieci szwajcarskich śpiéwa pieśń, głęboko wzruszającą wszystkich obecnych. „Legenda o bracie leśnym” jest podaniem o starym pustelniku, baronie Recho von Speerbach, nawra-

cającym na drogę pokuty swego wnuka, dzikiego i okrutnego „*raubrittera*". Wreszcie „Kara" — to tylko wesoły żart studencki, który ze względu na swój nastrój, tak sprzeczny z tłem całego zbiorku, jak ze względu na pomysł niezbyt szczęśliwy, mógłby być bez szkody usunięty; jedyną zaletą nowelki jest humor i werwa, z jaką autor opowiada przykre przygody niefortunnego „kolejarza" Łaskawicza.

Jedna z dłuższych nowelek „O żołnierzu tułaczu" rozpada się na dwie części, dość luźno ze sobą spojone. W pierwszéj widzimy generała francuskiego, Gudina, zdobywającego podczas kampanii 1799 roku jakiś szczyt szwajcarski, obsadzony przez wojska arcyksięcia Karola. Prowadzony przez chłopa Fahnera, oddział jego wdziéra się po stromém lodowisku na wierzchołek góry i spada na głowę nic nie przeczuwających Austryaków. Tytułowy bohatér, legionista, Matus Puluti o tyle bierze udział w téj wyprawie, że ratuje od śmierci swego towarzysza Felka, którego osobistość pozostaje do końca niewyjaśnioną. W drugiéj części Pulut wraz ze swym kolegą wracają na rodzinną ziemię, ale u samego celu drogi spotyka ich nieszczęście: Krzysztof Opadzki, dziedzic Zimnéj, rozgniewany na starego wiarusa za buntowanie jego chłopów pańszczyźnianych i pobicie mu sługi, zwołuje „obywateli" podległego mu miasteczka i ci za jego podszeptem „wedle Saxonu" „gorącém prawem" skazują Puluta na ścięcie. Scena stracenia Matusa robi wstrząsające wrażenie. „Matus porwał się z miejsca, stanął obok pnia i zawołał ochrypłym głosem: Ludzie!... Kat szarpnął go za ramię i mocno wstrząsnął nim kilkakrotnie, Pulut znowu, jeszcze głośniéj, z krzykiem prawie wołał: słuchajcie mnie, ludzie, słuchajcie!. Oprawca trzasnął go w zęby wierzchem dłoni i rozkrwawił. Tłum zaszeptał i odstąpił nieco daléj. Wtedy Matus ukląkł sam na ziemi i prędkim ruchem położył łeb na pniaku. Ciekawi znowu ścisnęli się kołem i Felek ujrzał tylko nad głowami szybki błysk miecza." — Co skłoniło Opadzkiego do tak straszliwéj zemsty nad „żołnierzem-tułaczem", nienawiść czy obawa? tego nam autor nie wytłómaczył. Wogóle, jak tutaj, tak i gdzieindziéj charaktery osób zaledwie są zarysowane. Za to nowelka obfituje w sceny, odtworzone ze znakomitym realizmem i plastycznością: oprócz wyżéj przytoczonego ustępu wymienić można wdzieranie się oddziału generała Gudina po stromych skałach i lodach na szczyt góry i nocleg żołnierzy francuskich na nagim wierzchołku, bez jadła i bez ognia, wśród przeraźliwéj ciszy.

W „Cieniach" p. Żeromski odmalował z jednéj strony wątpliwośc, i niepokoje, dręczące młodego człowieka, zabierającego się, wedle urzędowego wyrażenia, do stanu małżeńskiego, z drugiéj zaś sprzeczność między wygłaszaną teoryą a wykonywaną praktyką, między sło-

wem a czynem. Pan Marek Józef Katerwa, nasłuchawszy się wykładów filozofii po uniwersytetach niemieckich, z krasomówczą swadą rozwija przed swą piękną narzeczoną, Lili, przeróżne teorye o duszy świata, o jego matematycznéj prawidłowości i t. d.; prelekcya kończy się tém, że pan Marek wpija drapieżne pocałunki w odkryte łono odurzonéj Lili. A po wieczerzy, znalazłszy się sam w swym pokoju, zaczyna rozmyślać nad sobą i przypominać sobie grzeszki młodości; wtedy powstają w jego duszy wątpliwości, czy naprawdę kocha swą narzeczoną i czy zdoła zapewnić jéj szczęście. Charakterów wykończonych, jak i w poprzednim obrazku, tu niema, ale stan psychiczny odmalowany wybornie.

Połowę tomu zajmuje szkic powieściowy, p. t. „Promień.” Nazwałem go szkicem, gdyż akcyi właściwéj niema tam wcale. Cała rzecz polega na tém, że Jan Raduski, bohatér opowiadania, po dłuższéj niebytności w kraju, powraca do rodzinnego miasta, Łżawca. Z rozczuleniem pogląda na domy i ulice, tak dobrze niegdyś znajome, a tak dawno niewidziane, ale wkrótce spostrzega, że dawny duch uleciał z tych miejsc bezpowrotnie. Mając 10,000 po stryju, chce się wziąć do jakiéj pracy społecznéj i wreszcie zakłada pismo, p. t. „Echo łżawieckie”, o szlachetnych, humanitarnych dążnościach. Zdawałoby się, że drugą połowę opowiadania powinny zająć szturmy nowego organu do niewzruszonéj opoki prowincyonalnych przesądów, tymczasem walka społeczna schodzi tu na ostatni plan. Autor jakby zapomina o niéj i pochłania go kréślenie nowych postaci—rodziny lekarza Poziemskiego, do któréj traf zbliżył Raduckiego. Poziemski, zarażony nosacizną od jakiegoś robotnika—to żyjący trup, cuchnący zgnilizną fizyczną i moralną; ona—anioł dobroci, łagodności i poświęcenia, nie opuszczająca ani na chwilę łoża umiérającego, pomimo jego krzyków i łajań brutalnych; ich córeczka, Elżbieta—to dziecko dobre i miłe, lecz rozpieszczone i kapryśne. Raduskiego zbliża do Poziemskich nietyle współczucie dla jego cierpień, ile jéj oczy, które rozniecił w nim iskry dawno wygasłych uczuć, tych uczuć, które stanowią lepszą połowę duszy ludzkiéj. Stosunek ten smutno się kończy, gdyż Poziemski wkrótce umiéra wśród strasznych cierpień, a niezadługo i żona jego, dotknięta tąż samą straszną chorobą, z rozpaczy odbiera sobie życie. Raduski, pogrzebawszy wraz z nią ostatni promień swego szczęścia, bierze na wychowanie Elżbietkę, przybrawszy jéj za towarzyszkę córeczkę tegoż robotnika, od którego zmarły doktór przejął śmiertelne zarazki.

Pozostaje do wyjaśnienia tylko tytuł: promień—to nietylko błysk sympatyi, którą wyczytał Raduski w pięknych oczach doktorowéj, promień—to idea, w imię któréj walczy Raduski w „Echu”; idea, dla

któréj on i jemu podobni poświęcili młodość i życie, to nić sympatyi, która wiąże go z dziecięciem ludu, biednym młodym kamieniarzem. „Co między mną i tym chłopcem się pali — to jest promień... To jest główny lewar istotnéj cywilizacyi...”

Figur nakreślonych wypukło i wyraziście nie widzimy tu, jak i w innych szkicach p. Żeromskiego. Sam bohatér opowiadania jakoś żadnym czynem nie może stwierdzić swych wzniosłych idei i aspiracyi, Poziemska — zbyt bierną jest w swéj dobroci i uległości, a postacie drugorzędne, jak stary antykwaryusz, zrujnowany kupiec, spełniający obecnie obowiązki portiera hotelowego, adwokat Koszczycki, nie przebierający w środkach dla zdobycia majątku—malują się, niestety, tylko w słowach, a nie w czynach. Jaka szkoda, że autor tak wybornych figur nie wprowadził w akcyę!

„Tabu” umyślnie pozostawiłem na koniec, gdyż ze wszystkich szkiców, pomieszczonych w zbiorku, ten zdaje mi się najdoskonalszym. Akcya, ale nie zewnętrzna, lecz wewnętrzna, psychiczna, ma za temat cierpienia kobiéty, związanéj przysięgą małżeńską z nieszczęśliwym waryatem, którego oto przyjechała odwiedzić do podmiejskiego zakładu. Ale zamiast jego uspokoić, uśmierzyć burzę, wrzącą pod jego czaszką, sama traci równowagę duchową, szczególniéj w chwili, gdy mąż „z wyrazem wstrętnéj lubieżności na twarzy” i „z ohydnym gestem błagalnym” zbliża się ku niéj... Nieszczęśliwa ucieka w pole i młoda jéj natura buntuje się przeciwko srogim koniecznościom losu, przeciwko owemu „tabu” nietykalnemu wiekowych praw, zwyczajów, konwenansów i przesądów, sprzęgających ją bezlitośnie z tym żyjącym trupem łańcuchem obowiązków, które zaprzysięga się duszy człowieka, ale nie jego ciału, wyzutemu z iskier świadomości. I ona mogłaby jeszcze zaznać szczęścia, wszak ma do tego prawo, jak każda istota żyjąca! „ten pan,” który ją obserwuje zdaleka od tak dawna, a teraz, w wagonie kolei ofiarowuje jéj bukiet przylaszczek, zapewne proch zdmuchiwałby z jéj drogi, gdyby miał do tego prawo,—ale ona zmuszoną jest wyrzec się przyszłości i słuchać straszliwych bredni waryata. „Po co mam cierpieć, com winna?—spytała się buntowniczo... Wszystek ziemski egoizm w niéj się obudził: po cóż cierpieć, po co walczyć z koniecznością, któréj nic na ziemi nie przemoże?..”

Ta bezsilna walka z koniecznościami—to jeden z główniejszych tematów, poruszanych przez p. Żeromskiego. Innym z jego motywów jest wydobywanie na jaw takich stron duszy ludzkiéj, co, jak nietoperze, kryją się po mrokach, a wyniesione na jaśnię, są tak brudne, ohydne, plugawe... Gdy filozof Katerwa w „Cieniach” rozmyślał nad cha-

rakterem swego uczucia względem narzeczonéj, przyszły mu na myśl wielkie, wyłupiaste ślepia krokodyla, widzianego w jakimś ogrodzie zoologicznym, i zaraz nasunęło mu się rozwiązanie dręczących go zagadek: „To są oczy powszechnéj natury stworzeń, mojéj i Lili"—myślał z bolesném złamaniem w sercu. Tak, na dnie duszy każdego człowieka kryje się taki krokodyl, zwierzę okrutne i bezrozumne. Gdy duch, trzymający je na wodzy, upada, zwierzę podnosi się i ukazuje pazury. W całéj bezwstydnéj nagości widzieliśmy takie zwierzę w ciele nieszczęśliwego waryata; doktór Poziemski, w paroksyzmie bólu lżący i łający swą żonę, jak ostatnią ulicznicę,—to drugi okaz tego zwierzęcia; Katerwa—to inny gatunek, mniéj drapieżny, ale nie mniéj szkodliwy. A owi żołnierze francuscy, zgłodniali, zmoczeni, zziębnięci, rzucający się, jak stado wilków, na wrogów, czy walczą w imię jakiegoś hasła, jakiejś idei? nie! rznąc bez litości bezbronnych Austryaków, nie wołają oni: *vive la France!* czy *vive la republique!* — lecz coś bardziéj zgodnego z naturą człowieka-zwierzęcia: „Żarliście tu! Grzaliście się! Spaliście tu w cieple!"

W tém leży smutna trafność obserwacyi psychologicznych p. Żeromskiego. A że umié obserwować, o tém przekonywa każda niemal stronnica jego książki; stany duchowe tak normalne, jak i patologiczne (waryat, chory), nakréślone są u niego z taką niezrównaną plastyką, świadczącą o wielkim talencie autora, że na długo pozostają w pamięci czytelnika. Więcéj tylko ruchu w jego utworach—a tworzyć będzie rzeczy wielkiéj wartości literackiéj. *Henryk Galle.*

„Anioł śmierci"—romans przez Kazimierza Przerwę—Tetmajera

Wydając „Anioła śmierci" w książce, poprzedził go Tetmajer własną krytyką, aby dowieść, że zna wady swego utworu, ocenia je sam trafnie i surowo, uwalnia zatém krytyków od niepotrzebnego trudu robienia mu uwag. Przedmowa ta odsłania zarazem przed publicznością warunki, w jakich „Anioł śmierci" powstawał, warunki dość przykre, motywujące poniekąd błędy budowy. Ktokolwiek zechce pisać o „Aniele śmierci," musi wziąć za punkt wyjścia tę samokrytykę autora i czy to powtórzyć ją w parafrazie, czy też z nią polemizować. Dużo stron słabych wytknął Tetmajer w swéj powieści, nie napisał tylko, co w tych dwóch tomach jest najsłabsze. Najsłabszą jest przedmowa. Jest to może najtrudniejsza rzecz pisać o sobie w sposób prosty, naturalny i szczery, są ludzie bardzo skromni w duchu, co to robić umieją bez najmniejszéj pozy, ale Tetmajer do nich nie należy, i stanowisko jego wobec „Anioła śmierci" albo jest nieszczere, albo

niesprawiedliwe. Wyrazić w sposób tak silny, że aż serca drgają, ból żywy, ogromny, prosty, odtworzyć zapasy mocnéj natury i genialnéj organizacyi artystycznéj z żywiołową potęgą-niszczycielką, tak zrozumiéć, tak wypowiedziéć miłość od najdelikatniejszych tonów, aż do wściekłego buntu rozpaczy, która podsuwa sposoby nizkiéj zemsty, tak odczuć, tak dać odczuć innym istotę nowożytnéj sztuki, psychologię twórcy i proces cały twórczości, a potém z ironiczno-pobłażliwym uśmiéchem wyrzec o treści swego dzieła, że błaha, marna — ot sobie „studencka miłość Rdzawicza, utalentowanego rzeźbiarza do p. Maryi Tyżwieckiéj, pięknéj królewianki"—*ça sonne faux*, w téj formie i na tém miejscu — trąci to poprostu frazesem. Sztuka i miłość to nie jest mało. Czyż Tetmajer potrzebuje uniewinniać się, że nie poszedł orać niwy, na któréj zbiera plony Orzeszkowa? Jeżeli wszakże zdania te głębsze mają znaczenie i podstawę w przekonaniu poety, to takie „*Obiit Gustavus*" dziwnie wygląda wobec książki, która nie jest jego wyrazem, choćby nawet z winy redakcyi „Czasu." Na inném miejscu w bardzo niegrzeczny a nawet mało wykwitny sposób dał Tetmajer odprawę tym krytykom, coby chcieli oceniać kwalifikacye jego społeczne i odczucie spraw ogólno ludzkich. Teraz jednak, wobec czytelników, robi wspaniały gest i oświadcza, że nie jest obojętny rzeczom, „od których gwiazdy bledną, a życie huczy aż w słońce." Zdaje się, że nikt nie powinien był, nikt nie miał prawa o tém wątpić. Gdyby nie przeszkody ze strony redakcyi „Czasu" i „Wieku" rzeczy owe znalazłyby się w ramach téj dwutomowéj powieści, którą autor oprzéć zamierzał na szerszéj podstawie społecznéj. Zatargi redakcyjne gorzkie musiały zostawić wspomnienie tak z powodu małomiasteczkowych plotek, jak i nakładanych autorowi więzów pruderyi, trudno wszakże wyobrazić sobie, aby redakcya tak stanowczo wpłynąć mogła na zmianę założenia i tonu: „Anioł śmierci" nie ma sam w sobie warunków na powieść o szerokim zakroju społecznym, ale „Anioł śmierci" mógł być arcydziełem w swoim rodzaju, gdyby w nim nie było nic więcéj nad to co „konieczne."

„Lubię sonetu trudną, misterną budowę,
Zda mi się, że mi kawał marmuru odkuto,
W którym swobodnie rzeźbić może moje dłuto
W rozmiarach wiecznie jednych, kształty coraz nowe.

Tak zaczyna Tetmajer przepyszne strofy, z których każda potężnie świadczy, jak wielkim lubownikiem a zarazem mistrzem formy jest ten, co tak pisze.

Taką formę skrystalizowaną, „jak bryłę marmuru odkutą,” stworzyła nowożytna sztuka z Flaubertem, Goncourtami, Maupassantem dla powieści. W téj formie klasycznie doskonałéj zmieściłaby się historya miłości, artyzmu, zemsty i obłąkania genialnego Rdzawicza i wypełniłaby ją tak szczelnie, jak bronz formę odlewu. Tetmajera stać było na to, gdyby nie traktował swéj prozy jako „*eine Nebensache*,” ale zechciał raczéj poświęcić wszystkie,—ale to wszystkie „*Nebensachen*” sztuce. A proza Tetmajera warta téj ofiary. Są w „Aniele śmierci” strony całe tak nieporównanéj siły i tak niepospolitéj piękności, jakie dać może jedynie pierwszorzędny talent z Bożéj łaski. Język tam śmiały, aż do zuchwalstwa, giętki w niespodziewanych zwrotach, jędrny i gromki, przy pozorach zaniedbania świetny, bardzo wybitnie indywidualny. Tetmajer rzuca słowa, jak Deukalion kamienie: słowa stają przed nami żywe, plastyczne, dotykalne niemal, dają wrażenie bezpośrednie bólu, czy roskoszy. Ale „Anioł śmierci” nie jest dziełem jednolitém, pisanie z dnia na dzień po rozpoczęciu druku wycisnęło na nim piętno przypadkowości. Wrażenie głównego motywu osłabiły komplikacye sztuczne, pomysły z ciekawego romansu dla niewybrednéj publiczności, jak cała historya miłości panny Tyżwieckiéj do Borzewskiego. W życiu takie rzeczy wyglądają inaczéj, nie bywają obmyślane i układane w panieńskich głowach, jak intryga w lichéj komedyi, a zresztą mniejsza o to: w życiu spotykamy sytuacye z farsy, z melodramatu, ze „złéj literatury”—nie powinno ich być w skończoném dziele sztuki. Marya nie kocha Rdzawicza, kocha innego, może zresztą nie kocha wcale, wychodzi za mąż jakkolwiek – fakt codzienny, prosty, „*doch wem es gerade passirt, dem bricht das Herz in zwei.*” Wszystkie po za tém efekty jaskrawe, umyślne, są już tylko robotą powieściową. I ta „robota” właśnie „Anioła śmierci” zabija. W przedmowie podkréśla Tetmajer zależność swą od Sienkiewicza, i to chyba zanadto, jakby z obawy, żeby jéj nie zaznaczył kto inny. Daje się ona uczuć poniekąd tylko w słabszych ustępach powieści, o których sam wspomina, że są tém, „co Francuzi nazywają, *des longueurs*” w ustępach „jak dla dorastających panien” (Miły Boże! co też to za panny dorastają!). Tam jednak, gdzie pisze ogniem, duszą, krwią serdeczną, jest zarówno w uczuciu, jak formie niepodzielnie i niezależnie sobą, z całą barwą, mocą i świeżością swéj gwałtownéj, sensualnéj organizacyi poetycznéj. „Książka, choćby miała 46 tomów, powinna zawierać tylko to, co w niéj jest konieczne, jeżeli autor ma materyału na 46 tomów *va bene*— jeżeli jednak ma materyał bez stempla „konieczny”, niech pisze tom jeden. A jest to prawdą nietylko dla studyów literackich.

Marya Krzymuska.

Kazimierz Gliński. „Wróci". (Powieść. Warszawa, nakładem G. Gebethnera i Wolffa.—Kraków, G. Gebethner i Spółka, 1898, str. 353).

Kazimierz Gliński, jako poeta, kocha marzenia i sny złote; budzi go wspomnienie dawnych, minionych lat; myślą przebiega przestrzenie wielkie i niezmierzone, a tęsknota i czar miłości w jego wierszach czynią wrażenie tych nici uroczych, jakiemi oplata u nas ziemię pogodna i cicha jesień.

Utwory poetyckie współczesnego romantyka wyrobiły imię ich autorowi i zasłużone uznanie.

Twórczość artystyczna Glińskiego próbowała form dramatu i powieści, nawet — farsy. Literaturze dramatycznéj wniósł „Almanzora", utwór cenniejszy, a powieść p. t. „Klęska" (wydana w r. 1896-ym) powszechną na siebie zwróciła uwagę.

Obecnie bibliografia notuje nowy utwór tegoż autora, pod tytułem „Wróci".

Przynosi on tę nić złotą zadumy, z łagodnym powiewem od stepów Ukrainy, gdzie tyle wspomnień się kryje. Gliński szybko porzuca tę widownię krwawych niegdyś dramatów, przenosząc bohatérów swéj powieści do miasta, by na têm tle pozwolić im działać. Biedni to rozbitkowie, których podtrzymują tylko drobne barki dwudziestokilkoletniéj Jadwigi, nie znającéj dotychczas walki o chléb i dach nad głową. Rodzinę tę składa czworo osób: rodzice, zmiażdżeni wypadkami i własnêm bankructwem, syn, Aleksander, i Jadwiga, bohatérka powieści. Aleksander, jak mniemają, pracą swą ocali od zagłady tych, dla których ma obowiązki. Tak sądzi i czytelnik, pomimo że autor postawił młodego Sośnickiego w świetle dla tegoż niekorzystnêm. Z początku pesymizm i szorstkość Aleksandra dadzą się usprawiedliwić okolicznościami: była to przed laty trzydziestu, kiedy młodzież, zniechęcona tragicznie zakończoną walką, radziła porzucić zmurszałe strzechy rodzinne, a imać się młota przemysłu, gdyż z nim tylko i zimnêm wyrachowaniem miały przyjść odrodzenie i dobrobyt, a warunki istnienia narodu całkowitéj uledz przemianie.

W tym duchu, choć gorzko, przemawia Aleksander:

— „Ty ojcze i tobie podobni mierzyli siły na zamiary, jakby zdrowy rozsądek nie mówił, że ze wszystkich głupstw najkapitalniejsze jest to właśnie. Zadanie nasze jest jasne, drogi zrozumiałe, cele wytknięte. Nasamprzód musimy zwrócić uwagę na stan ekonomiczny kraju. Początkiem wszystkiego jest materyalny dobrobyt, ten nerw życia. Wtedy dopiéro z zarzuconych rupieci będziemy wydobywali potargane

nici marzeń waszych i to idąc za wskazówkami nowych wymagań świata... Rozbrat stanowczy z ideałami pozytywna, praca i jeszcze raz praca. Zdobywszy środki, wtedy dopiéro powiemy narodowi: macie nas! Nowe źródła wiedzy otworzymy społeczeństwu, taranami ksiąg rozświetlających bić będziemy w zapleśniały mur ciemnoty..." i t. d.

Zdawałoby się, że i wypowiadający powyższe słowa pójdzie z zapałem przekonań swoich w świat, by powrócić po latach pracy, zatęskniwszy za grobami ojców. Niestety! z frazesem na ustach, bez jakiéjkolwiek miłości, samolubny i nieledwie wyrodny syn — tęsknoty żadnéj nie zazna. W pogoni za karyerą porzuci rodzinę, zdobywszy majątek przez poślubienie panny, z którą nie łączą go najlżejsze nawet nici sympatyi.

Rola jego w powieści prawie skończona; odezwie się jeszcze pod koniec, lecz słowa młodego samoluba przechodzą bez znaczenia.

Stary Sośnicki przez słabe zarysowanie postaci jest figurą zbyt bladą, aby go sądzić można było. Czytelnik zaledwie zdoła go sobie wyobrazić gnuśnym, wegetującym człeczyną, rzadko wychylającym się po za próg ciasnego domostwa.

O żonie jego, a matce Jadwigi, jeszcze mniéj powiedziéć można: słabe kontury ani razu nie pozwalają ujrzéć téj postaci, któréj, jako wychowawczyni dzielnéj Jadwigi, należało się więcéj plastyki.

Z wysuniętych na pierwszy plan figur — główne miejsce zajmuje Jadwiga.

Jest ona wcieleniem marzeń poety, jako typ idealnego dziewczęcia, o cudownéj woni warkoczach, koralowych ustach, błyszczącém oku, — uosobienie piękna i miłości. Pojęcia i przekonania jéj są (śmiem przypuszczać) przekonaniami samego autora, a które ośmiesza Aleksander. Jadwiga cierpi i kocha z wiarą w lepszą przyszłość, która, powracając dziewczynie ukochanego Gustawa, powróci z nim szczęście, a wtedy — gdy będzie miała... syna, przywiedzie go do portretów dziada i pradziada, by uczyć go tego, czego ją uczono, kazać ukochać to i tak, jak ona ukochała.

Tymczasem losy jéj zawisłe od jednego tylko słowa: wróci...

Pomni, gdy w noc kwietniową Gustaw żegnał ją po raz ostatni, kiedy „swoje usta do jéj ust przyłożył, w oczy się wpił, całował czoło, włosy — i w jakimś zachwycie uniesienia zawołał:

— Jak twoje warkocze pachną!...

Wtém dało się słyszéć lekkie stuknięcie w szybę okna, przy którém siedzieli, — ostatni uścisk rozstania — i straszna została pustka, cisza przerażająca, zakłócana tylko szumem drzew w ogrodzie i tłumionemi słowami paciérza jéj matki.

Postać ukochanego wryła się w pamięć opuszczonéj, jak ostatnie jego słowa, ostatni uścisk i — spojrzenie.

Lecz po latach rozłąki wyciągną się do niéj te same ramiona, a Gustaw, opromieniony w fantazyi Jadwigi aureolą męczeństwa, zastanie ukochaną taką, jaką zostawił żegnając.

Nim się skończy jéj i rodziców niedola, — musi ona pracować na chléb powszedni. Z otuchą tedy przystępuje do trudnéj pracy nauczania, by ze skromnych zarobków dać utrzymanie rodzinie.

...Minęły lata—Gustawa niema... Wątpliwości opanowują umysł dziewczęcia. A tymczasem zacny jéj sąsiad, Paweł Rzutkiewicz, który umiłował tę piękną i szlachetną istotę całą potęgą uczuć młodzieńczych, staje się Jadwidze coraz mniéj obojętnym. Jednak pragnie wytrwać, i choć prześladuje ją zwątpienie o stałości Gustawa, opiéra się budzącéj się sympatyi dla Pawła.

Znowu rok minął... Wszak tamten mógł — nie widząc — zapomniéć? może poznał inną, piękniejszą, a ją, Jadwigę, opuści? może i kochać przestał?

I jeszcze po roku walki zrezygnowana odda rękę Pawłowi, — gdy nagle list od Gustawa, jak grom, uderza w zbolałe serce dziewczęcia. Z błyskawicy wspomnień wyłania się postać Gustawa, którego usta zdają się szeptać: „Jak twoje warkocze pachną..."

Odżyła przeszłość — on wróci!...

— Zgrzeszyłam przypuszczeniami, nie przestając kochać ciebie. Ta nowa miłość — to było złudzenie... Powracaj — a Jadwigę wierną zastaniesz!...

I Gustaw powróci w dzień wigilijny — chybaby umarł...

Nadeszła wreszcie chwila trwożliwego oczekiwania. Gwiazdy błysnęły, na stole opłatek, — lecz niema Gustawa... Nie wrócił!...

I Jadwiga z nadmiaru cierpień zmysły straciła.

Zostały gruzy — ruina...

Taki jest przebieg akcyi w ostatniéj powieści Glińskiego.

Co do formy i budowy, ma powieść ta wad wiele. Opowiadaniu często brak plastyki. W dużéj liczbie powołanych do życia postaci — nie znajdziesz pogłębienia charakterów; to téż figury te przesuwają się bez wrażenia. Głównem staraniem autora było — bohatérce powieści nadać kształty najwspanialsze, a duchowo podniéść ją do ideału. W rzeczywistości, trud ten uwieńczony został skutkiem pomyślnym. Obok Jadwigi utrwaliła się w pamięci czytelnika sylwetka Heleny. Jest to typ „sawantki" (jak wtedy mówiono), nakréślony bardzo wyraźnie kilkoma zaledwie rysami. Ale Helena — to figura na drugim planie

zostająca. Postaci zaś pierwszoplanowe zaledwie z gruba cieniowane i bez wyrazu.

Jeżeli czynimy zarzut autorowi, że stronę opisową zaniedbał miejscami, uwydatnić winniśmy tę ważną zaletę, że tam gdzie poeta w strunę uczuć uderza—dobywa tony miękkie i rzewne, kołysząc niemi wyobraźnię czytelnika w ulubionym przez siebie świecie zadumy.

Z dyalogu Glińskiego przebija talent dramatyka; często błyśnie humorem komedyopisarza—a te dodatnie strony i cechy prawdziwego talentu autora sprawiają, że ostatni utwór jego w niejednych znajdzie się ręku. I choć nie zajmie we współczesnéj beletrystyce naszéj miejsca pierwszorzędnego, to jednak dzięki treści swéj ma powodzenie zapewnione, zwłaszcza wśród kobiet, do których bohatérka utworu przemawia dobrze znanemi im słowy: „Miéj serce i patrzaj w serce".

L. Rutkowski.

NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

= *Rosa Luxemburg* (Doktor der Staatswissenschaften). **Die industrielle Entwickelung Polens**. Leipzig, Duncker et Humblot, VI—95. Interesująca dla każdego historya stosunków ekonomicznych i rozwoju przemysłu w Królestwie Polskiem znalazła w autorce pracowitego referenta. Z prawdziwym uznaniem przegląda się szereg źródeł przytoczonych na końcu książki i podziwia szeregi cyfr statystycznych i faktów historycznych, jakie autorka w pracy swéj nagromadziła. Znać z nich pracę skrzętną lat wielu, staranne zbieranie faktów z prac naukowych, wydawnictw statystycznych, nawet pism peryodycznych, nagromadzenie i ugrupowanie ich z celem z góry powziętym, dla dowiedzenia pewnych tez ekonomicznych, o które z autorką spierać się nie możemy. Tezy te podejmuje ona nie po raz pierwszy: w swoim czasie—o ile pamiętamy—Kautzky tezy te zbijał i szkoda wielka, że autorki nie przekonał. Na sumieniu też autorki muszą pozostać niektóre twierdzenia, dotyczące psychologii polskiego mieszczaństwa (str. 77—78), wynikające zresztą z jéj poglądów ogólnych na ewolucyę społeczną, z jéj wiary w t. zw. „materyalizm historyczny", w teoryę modną przed laty—lecz jak dziś—tracącą z dniem każdym grunt naukowy. Wielka jednak szkoda, że masa nagromadzonego materyału nie została należycie oświecona krytyką i pozbawiona jest téj żywotnéj barwy, którą daje pracy naukowéj osobista znajomość kraju, ludzi, rzeczy i faktów. „Przedmieście Praga" jest dla autorki centrum wielkiego metalurgicz-

nego przemysłu (str. 19), chociaż po zamknięciu stalowni, nie wiem czy prócz fabryki "Wulkan" inna jakaś „wielka fabryka metalurgiczna" na Pradze istnieje. Królestwo Polskie w ciągu lat 25 ostatnich „zmieniło wygląd zewnętrzny" (str. 18); może to być prawdą dla tych, dla których Królestwo redukuje się do Warszawy, Łodzi i Sosnowca—lecz w odniesieniu do ogółu kraju jest całkiem fałszywém, kraj jest, jak był, przeważnie krajem rolniczym. Autorka wierzy np. twierdzeniu, że produkcya przemysłowa Królestwa ma wartość 23 rubli na głowę ludności — a produkcya rolna—11 rubli na głowę, i to przy więcéj niż 75% ludności zamieszkałéj na wsiach i mniéj niż 200.000 ludzi zatrudnionych w fabrykach. Brak krytycznego zmysłu jest miejscami zadziwiający. Zaznaczywszy (str. 6), że fabryki sukna, założone koło 1817 r., rosły tak prędko, że w r. 1829 produkcya ich miała wartość 5.752.000 r., na téj saméj stronicy na wiarę Łodyżeńskiego ("Historya ruskich taryf celnych) autorka twierdzi, że wartość wywozu towarów wełnianych z Królestwa do Cesarstwa stanowiła (str. 6)

w latach	1823	1825	1827	1829
rubli	1,865,000	5,058,000	7,218,000	8,418,000

i twierdzi, że niezgodność cyfry wywozu i produkcyi pochodzi stąd, że do Królestwa przemycano wielkie ilości niemieckiego sukna. Nie zwraca uwagi—choć sama to przytacza, że Rodecki ocenia wartość tegoż wywozu w 1827 r. na 13,2 milionów „złotych" (t. j. około 2.000.000 rubli), i ubolewa nad tém (str. 7), że po wypadkach 1830/1 r. produkcya tkanin wełnianych spadła z 5.752.000 rubli w 1829 roku do 1.917.000 rubli w 1832 i w r. 1850 stanowiła 2.564.000 r. Zdaniem pani Luxemburg po zaprowadzeniu zwrotu akcyzy od cukru przy wywozie w Rosyi w 1876, wywóz cukru wzrósł z 4 pudów w 1874—do 3.896.902 pudów w 1877. Obie cyfry są prawdziwe, ale bardzo niekrytycznie oświecone. Wywóz cukru z Rosyi stanowił;

w 1873/4	pudów	4	1876/7	3,891,897
„ 1874/5	„	20	1877/8	297,602
„ 1875/6	„	499,462	1878/79	159,934

a w latach 1879/80 i 1880/1 ustał zupełnie [1]). Niebywały wywóz w 1876/7 był wywołany nadprodukcyą, miał charakter zupełnie anormalny. Do kwestyi cukrowniczéj p. Luxemburg szczęścia nie ma. Na téj saméj stronicy zapewnia nas, że dzięki syndykatowi cukrowniczemu cena cukru w Kijowie wynosiła 4 pensy wtedy, kiedy koszty produkcyi cukru stanowiły 1⅚ pensa za funt. Pensy w Kijowie zjawiły się dla tego, że cyfry o Rosyi autorka czerpie często ze źródeł angielskich

[1]) „Cukrownictwo", podręcznik dla pracujących w cukrowniach i raffineryach. Warsz. 1894 tom I str. 33.

i przytém zapomina o akcyzie. Mylnie téż zupełnie podaje autorka, jakoby do 1867 roku w Królestwie cukier opodatkowanym był „od produktu. System opodatkowania cukru w Królestwie przed 1867 był ten sam i w reszcie państwa, oparty na normie przerobowéj i wydajności. [1]) Historya kraju nie jest téż gruntem, na którym by się autorka bezpiecznie poruszała. Historya przemysłu w Polscew XVIII wieku dla niéj nie istnieje a jednak od czasu pomnikowéj pracy Korzona [2]) niewolno jéj historykowi-ekonomiście ignorować. Tom II Rozdział V § 44 i następne dostarczyłyby autorce gotowego i już krytycznie obrobionego materyału. P. Luxemburg bardzo dokładnie zna szczegóły wojny Barchanowych-baronów Łódzkich z Perkalowemi królami Moskwy (sic), ale rzeczy poprzednie są jéj mniéj znane. Podług niéj szereg ukazów Cesarskich wpłynął na rozwój przemysłu w Królestwie w latach 1816 do 1824 (str. 3), a Bank Polski ustanowiony został ukazem z 1828 roku. Reforma włościańska 1863 r. dostarczyła włościanom wielką ilość gotówki, stworzyła proletaryat i wielką armię rezerwową robotników—t. j. masy ludzi pozbawionych pracy (str. 12). Byłoby to nie do pojęcia—gdyby się nie wiedziało, że według wyznania wiary „historycznego materyalizmu“, nim powstanie kapitalizm, musi powstać „*eine Reserve Armee*“ robotnicza—wszystko jedno w Anglii, czy w Rosyi i w ten sposób „*enclosure acts*“ angielskie i uwłaszczenie włościan w Rosyi, muszą nabrać charakteru analogicznych wydarzeń. Nie będziemy tu daléj poprawiać błędów autorki, jest ich zawiele; kończąc swą pracę, autorka wyraża żal, że gdy pracę pisała jako rozprawę doktorską, musiała więc używać i tonu akademickiego i dać przewagę części ekonomiczno-statystycznéj nad częścią polityczną. Co do nas sądzimy, że wszelkich socyalno-politycznych elukubracyi powinnaby autorka zaprzestać. Pracowitość jéj daje gwarancyę, że gdyby się zdobyła na większą dozę krytyki w obrabianiu materyału, mogłaby z pożytkiem dla nauki pracować, usiłowanie jednak budowania na bezkrytycznych podstawach teoryi i teoryjek socyalno-politycznych—jest zupełnie bezcelową robotą. Fakta nie mogą być ilustracyą zgóry ustanowionych teoryi, ale muszą być podstawą, na któréj opiera się teorya; a bez gruntownéj znajomości historyi — nie buduje się teoryi polityczno-socyalnych. *St. P.*

= **Władysław Orkan**. *Nowele*, z przedmową Kazimierza Tetmajera. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1898. — Z nazwiskiem p. Orkana po raz pierwszy spotykamy się w literaturze. Nic to dziwnego: ma on zaledwie lat dwadzieścia, a niniejszy zbiorek noweli—

[1]) „Cukrownictwo“ str. 39.

[2]) „Wewnętrzne dzieje Polski za Stanisława Augusta 1764—1794.

to pierwsze jego kroki w dziedzinie piśmiennictwa. P. Orkan, jak się dowiadujemy z przedmowy p. Tetmajera, którego staraniem „Nowele" ukazały się w druku, jest dziecięciem ludu góralskiego; ukochał on ten lud sercem całém i niedolę jego jął się opisywać:

Co mię wiąże z ludem jeszcze szczerzéj,
Powiem—choć mi wielu wiary nie da:
To niedola, która w nim się szerzy—
Oto wspólna towarzyszka—biéda...
(Przygrywka).

Jakiego zaś rodzaju jest jego stosunek do ludu, o tém poucza nowela, p. t.: „Krótki sen". Śniło mu się, iż „w czarowną noc księżyca" wyszedł z chaty ze swemi towarzyszkami: Miłością, Prawdą i Fantazyą. Zrazu dał się prowadzić przez tę ostatnią, i świat ukazywał mu się w barwach tęczowych; ale przystąpiła doń Prawda, i blaski różnobarwne zblakły i znikły mu z oczu, a natomiast ujrzał w całéj grozie smutną i nagą rzeczywistość: nędzę straszliwą, pracę krwawą, poniżenie—i „cienie przeraźliwe zaległy mu duszę i myśli." — O tych samych cieniach, które blady księżyc rzuca na doliny, mówi p. Orkan i w *Przygrywce:*

Po za światłem cienie widzę zawdy,
Łzy mię ciągną więcéj, niźli blaski...
Lecz do ludu nie schodzę, jak z łaski—
Ja w nim samym szukam tylko—prawdy.

Tłómacząc to wszystko na język prozy, powiedzieć można w kilku słowach, że w tych obrazkach p. Orkan chciał przedstawić dolę chłopską taką, jaką jest ona w rzeczywistości, nie przybierając jéj w blichtry i świecidełka fałszywe, któreby mu fantazya podsunąć mogła. Prawdy więc należy przedewszystkiém szukać w jego utworach, a ta prawda—to wiekuista nędza chłopska. Te nędzę odmalował p. Orkan w takich barwach, jakie mu prawda kładła na pędzel. Widzimy tu całe życie górala, od kolebki niemal do grobu. Widzimy dziecię, zamierające wśród zawiei śnieżnéj wraz z matką, biédną komornicą, wypędzoną z chaty, kiedy już pracować nie mogła („Bezdomni"); widzimy sierotę po drwalu, którą z litości biorą do domu, a przy dworze ot jak zwyczajnie, zmarnowała się dziewczyna! („Sierota na dochowku"). Widzimy daléj dziewczynę, próżno oczekującą latami całemi na ukochanego, co pojechał za morze, by dorobić się grosza („Na wydaniu") Ha! niech lepiéj nie wraca, bo możeby tak, jak ów Marcin młynarz, znalazł chatę pustą, pole chwastami zarosłe, dzieciaka—na łasce u dalekich krewnych, a żonę—u innego („Przeznaczenie"). Już to z żonami zawsze biéda: inną to opanuje „zły"—pod postacią arendarza-żyda

i sprzeda ją panu za marnych kilka „papierków" („Zły"). Ludzi przybywa, ale ziemi nie przyrasta, i chłopy muszą odjeżdżać ze stron rodzinnych do miast wielkich na zarobek, ale cóż! zamiast pieniędzy, przywożą z miasta obce obyczaje, ubierają się i mówią, jak „cudoki", a nie jak ludzie („Na zarobek"). Nic też dziwnego, że jedynym tematem rozmowy górali jest bieda, „wypełniająca treść ich życia": ona pokamienistém polu sunie się za gradobiciem, ona do stodół zagląda po nieudałych (!) prawie zawsze żniwach, ona wygląda z każdego kąta w chałupie, ona jest towarzyszką nieodstępną biednego gazdy... Ciemna przyszłości! — jaką karmę (!) gotujesz dla ludzi bez zagonów, których coraz więcéj?... ot, i z przyszłości towarzyszka biéda ręce do „swoich" wyciąga i z okropnym uśmiéchem przedstawia im swego syna. To godny matki płód!—a imię jego: Głód..." To téż, gdy lud ten odezwie się śpiewem, to takim smutnym, że serce rwie się w kawały, jak owe pienia pogrzebowe, przy których autor, „dzieckiem jeszcze, wypłakiwał duszę" („Pogrzeb"). A gdy który z chłopaków zagra czasem dla rozrywki gromady, to „skrzypki mówią za niego, za całą duszę... skarżą się żałośnie!" Mają się czego skarżyć: one grają, a ludowi temu „wiecznie biéda gra." („Skrzypki grają—biéda gra"). — Taką jest „prawda" w życiu górala, którą powoduje się nasz autor, ale idzie ona daléj jeszcze i doprowadza do scen wstrętnych, brutalnych, które mają malować cały upadek moralny ludu, zawsze idący w parze z nędzą, np. sceny pijaństwa zaraz w pierwszéj nowelce, p. t. Przeznaczenie, albo podobna scena w obrazku Dwie kartki z życia nauczyciela, gdzie nauczyciel wiejski, pijany aż do utraty przytomności, wyśpiewując ochrypłym głosem, tarza się po błocie małego miasteczka. Dla przykładu zacytuję jeszcze nowelę, p. t.: Zemsta trupa, któréj punktem kulminacyjnym jest chwila, gdy syn ściąga z ciepłego jeszcze trupa swego ojca koszulę, w którą przybrała zmarłego przywiązana synowa. Takie sceny nabiérają dostatecznéj wypukłości i robią wrażenie, jakie chciał wywołać autor, tylko pod bardzo wytrawném piórem. Pomimo, iż autorowi towarzyszy miłość do ludu, którego czuje się cząstką, nie może on natchnąć czytelnika sympatyą dla tych, których mu przedstawia. Może to dla tego, że za przewodniczkę przedewszystkiém wybrał sobie prawdę i nie szczędzi nam takich szczegółów, które nie mogą wywołać sympatyi, a często nawet współczucia. Z drugiéj strony, jest to wynikiem tego, iż autorowi brak jeszcze przemawiającéj do wyobraźni obrazowości i plastyczności. Nie mówię tu już o charakterach, gdyż o wycieniowanie ich trudno ostatecznie w drobnych obrazkach, ale nawet z szeregu scen, odtworzonych w nowelkach,

niewiele tylko, dzięki wyrazistości konturów, utkwić może w pamięci czytelnika, jak np. „namowiny”, t. j. swaty w nowelce Na wydaniu, lub pogrzeb w obrazku pod tymże tytułem. Opisy natomiast natury nużą jednolitością barw; tam nawet, gdzie autor ma pole do wykazania zdolności kolorystycznych, np. w nowelce Skrzypki grają—biéda gra, gdzie szerokiemi rzutami pędzla mógł nakreślić obraz nocnych tanów dziewczyn i parobczaków przy świetle księżyca, na tle bezmiernych łąk, zbył czytelnika zaledwie kilkoma wyrazami. Zewnętrznéj strony utworów p. Orkana niepodobna pochwalić. Usterek stylistycznych, jak np. rymujących się wyrazów, zwrotów niewłaściwych naszéj mowie, wyrazów opuszczonych i t. d., znaleźć tu można sporo. Ze zdziwieniem spotykamy tu również czasem błędy ortograficzne, które trzeba położyć na karb niestarannéj korekty, np. chuczy (str. 108), pociechy jakie (str. 104). Takiéj niedbałości nie można tolerować.

= *Marya Milkuszyc.* **Kwiaty i ciernie życia.** Nowele. Warszawa, nakładem A. G. Dubowskiego, 1899. — Kwiat i kobiéta — tyle razy czytaliśmy to porównanie u różnych powołanych i niepowołanych poetów. W niniejszych nowelkach spotykamy tę metaforę, przeprowadzoną na szeroką skalę. Czém woń u kwiatu, tém miłość u kobiéty; rzecz więc prosta, że miłość jest głównym motywem utworów p. Milkuszyc. Miłość szczęśliwa sypie kwiaty na drogę życia, nieszczęśliwa — potrząsa je cierniami — oto w najogólniejszych wyrazach treść wszystkich nowelek, pomieszczonych w niniejszym zbiorku, co naturalnie nie wpływa na urozmaicenie tematów i sytuacyi. Jeden tylko obrazek, p. t. „Konwalia”, poświęcony małéj dziewczynce arystokratycznego rodu, przybranéj na balu kostyumowym za konwalijkę, a w kilka dni późniéj umierającéj z przeziębienia na rękach zrozpaczonéj matki, wyodrębnia się od innych. Zresztą, wszystkie te „kwiaty i ciernie” — to kobiéty, kochające lub niekochające, zapominające lub przypominające sobie, szczęśliwe lub nieszczęśliwe. *Fiołki* np. to artystka, przy sławie i tryumfach nie zapominająca o swym pierwszym wielbicielu, ubogim studencie, i po kilku latach łącząca swój los z jego życiem. *Narcyz* — to piękna wdowa, którą wszyscy niesłusznie uważają za próżną i płochą, a która daje dowód rozsądku i prawdziwego uczucia, przenosząc poważnego Jana nad salonowca Alfreda. *Bez* jest znowu historyą miłosną babuni, opowiadaną wnuczętom; zaręczyła się ona, będąc jeszcze bardzo młodą, a gdy po 6 latach narzeczony powrócił i upomniał się o swoje prawa, — przyszła do przekonania, że go nie kocha i oddała rękę innemu. *Kamelia* wreszcie i *Chryzantema* (czy nie jest bardziéj prawidłową forma chryzantem) to bliźniacze siostry: obie

próżne, lekkomyślne, płoche, zamiłowane w zabawach, obie też łamią życie tych, którzy im poświęcili swe serce. Różnica polega tylko na tém, że jeden z nich, lekarz, wyjeżdża na prowincyę, gdzie staje się ojcem prawdziwym i opiekunem całéj okolicy i wkrótce, zaraziwszy się tyfusem umiéra; drugi zaś dla zdobycia majątku udaje się aż na Madagaskar i tam staje się ofiarą żółtéj febry. — Dwie nowelki z czterech, nie opatrzonych tytułami botanicznemi, mają tak pokrewne tematy, że możnaby je zupełnie wygodnie zlać w jedną całość. Mówię tu o obrazkach: „Drewniane dziecko" i „Ani pani, ani sługa". Bohatérkami i tu i tam są dziewczynki z ludu, wzięte na wychowanie przez zamożne rodziny, Marynia czy Kasia, które naprzekór wszelkim teoryom dziedziczności i atawizmu, stają się aniołami opiekuńczymi przybranych rodzin. Bardziéj dramatycznego napięcia dosięga akcya w „Drewnianém dziecku": Marynia pada ofiarą przewrotności przybranego brata, Augusta, a przekonawszy się, że ją oszukuje, dostaje pomięszania zmysłów. — Aniołem również, choć w brzydkiéj skorupie, jest Zuzanna z nowelki „Tylko dla sztuki", żona artysty-muzyka; choć ułomną ma postać i na kuli się wspiéra, uwielbia ją mąż, a po jéj śmierci wpada w nieuleczalną melancholię. — By wyczerpać wszystkie tematy p. Milkuszyc, wspomnę jeszcze obrazek, p. t. „Po dwudziestu latach": pan Karol dwadzieścia lat temu kochał się w pannie Tereni; rozpaczał i chorował podobno, gdy Terenia poszła za innego, a teraz, dowiedziawszy się, że została wdową, postanawia zbliżyć się do niéj. Chochlik miłości nasuwa mu jednak zamiast matki — 19-letnią córkę, łudząco podobną do jego dawnego ideału, z którą téż prędko dochodzi do porozumienia. — Z tego krótkiego przeglądu widzimy, jak szczupłym jest zakres tematów, zatrąconych przez p. Milkuszyc, jak jednostajne wywołują one wrażenia. Być może, iż to leżało nawet w intencyi autorki. Rzecz prosta, iż siły i męskiéj potęgi słowa napróżnobyśmy tu szukali. Z pierwszego zaraz wejrzenia poznać możemy, że książka ta pisana jest przez kobiétę: siłę zastępuje w niéj pewna miękkość i łagodność barw, głęboką refleksyę — kobiéca tkliwość i uczuciowość, plastyczność — delikatność i subtelność w unikaniu drastycznych szczegółów. Naturalnie, nie może być już mowy o głębokiéj psychologii, lub o wszechstronném oświetleniu charakterów; wszystkie owe kwiaty-kobiéty zaledwie się zarysowują w wyobraźni czytelnika niewyraźnemi konturami i, jak widzieliśmy, niektóre z nich łudząco są do siebie podobne; jedna tylko Helunia-konwalijka i Zuzanna z nowelki „Tylko dla sztuki" wyróżniają się chociaż zewnętrzną charakterystyką z tego jednobarwnego bukietu. — Styl p. Milkuszyc jest dość zaniedbany; już

to w obecnych czasach gorączkowego tworzenia romansów, powieści i nowel trudno o książkę, któraby pod tym względem mogła zadość uczynić wybredniejszym wymaganiom. O ile w poezyi silimy się na wytworną i wyszukaną formę, o tyle w prozie zaniedbujemy ją zupełnie. Smutnym to jest objawem obniżenia poziomu wymagań estetycznych tak ze względu na autorów, jak i czytelników. *H. Galle.*

Wydawcy: *Wł. Spasowicz* i *St. Łaguna.*
Redaktorowie: *W. Spasowicz* i *Stanisław Wydżga.*

SPROSTOWANIE.

W zeszycie sierpniowym r. b. na stronie 291 w podpisie autorki artykułu „O życiu bez powietrza” zaszła omyłka. Zamiast *Dr. Zofia Joteyko*, czytać należy: *Dr. Józefa Joteyko.*

Дозволено Цензурою. _ Варшава, 30 Сентября 1898 г.

Nowe książki nadesłane do Redakcyi „Ateneum".

1. Dr. *J. Dallemagne.* **Człowiek zwyrodniały.** Przełożyła z francusk. Dr. med. *Józefa Joteyko.* Dodatek do „Prawdy". Warsz. 1898, 8-o, str. 742.
2. *Adam Krechowiecki.* **O tron.** Powieść historyczna z XVII wieku. Część I: Ostatni dynasta, str. 350; część II: Piast, str. 387. Petersb. nakł. K. Grendyszyńskiego 1898, 8-o.
3. *Gerhart Hauptmann.* **Dzwon zatopiony.** Baśń dramatyczna. Przełożył *Jan Kasprowicz.* Warsz. nakł. Władysława Okręta, 1899, str. 151.
4. **Ziemia i niebo.** Wykład popularny astronomii napisał *Stanisław Kramsztyk.* Część I Ziemia jako bryła niebieska. Warszawa, nakł. Michała Arcta, 1898, 8-o, str. 219 i II z 75 figurami.
5. **Co się dzieje w ulach?** Życie i obyczaje pszczoły zwyczajnej. Opisała *Michalina Stefanowska.* Warsz. skład gł. w Księgarni tanich wydawnictw, 1898, 8-o, str. 82 z rysunkami.
6. **Krótka gramatyka polska** i ćwiczenia językowe (kurs pierwszy) napisała *Marya Dzierżanowska.* Warsz. nakł. księgarni Jana Fiszera, 1899, 8-o, str. 64.
7. **Ognisko domowe.** Kalendarz popularny illustrowany na rok 1899. Warsz. nakład księg. Dubowskiego, 8-o, str. 160+48 i ogłoszenia.
8. *Klemens Junosza.* **Za mgłą.** Obraz życia wiejskiego. Warsz. nakł. księg. Dubowskiego, 1899, 8-o, str. 307.
9. **Proza i poezya** w przykładach z najcelniejszych autorów i mówców dla użytku młodzieży zebrane i ułożone przez *D. W.* i *W.* Warsz. nakł. Maur. Orgelbranda, 1899 8-o, str. 686.
10. **Rocznik krakowski** (wydawnictwo Towarzzstwa miłośników historyi i zabytków Krakowa). Tom I, str. 371 z 83 rycinami i 2 tablicami światłodrukowemi. Kraków, 1899, 4-o.
11. **Życiorysy sławnych Polaków:** № 1. Mikołaj Kopernik, Życie i działalność naukowa. Napisał *Henryk Merczyng* (str. 67). № 2. Adam Mickiewicz. Przez *Stanisława Tarnowskiego* (str. 98). — № 5. Jan Zamojski. Przez *Władysława Nowodworskiego* (str 98). — № 6. Jan Śniadecki. Przez *Leona Świeżawskiego* (str. 82). — № 7. Fryderyk Chopin. Przez *Ferdynanda Hoesicka* (str. 107). — № 10. Tadeusz Czacki. Przez *Piotra Chmielowskiego* (str. 119); każdy tomik z portretem, cena 30 kop. Petersburg. nakł. księg. Grendyszyńskiego, 1898, 8-o.
12. **Podręczna biblioteczka ogrodnicza:** I. Niepłodność drzew owocowych, przez *K. Jakimionka.* Warsz. skład gł. w księg. W. Wodzyńskiego, 1898, str. 55 (cena kop. 25).
13. *Alfred Konar.* **Jesień**, powieść. Warsz. nakł. S. Lewentala (1898), 8-o, str. 269.
14. **O wykładzie psychologii** jako nauki doświadczalnej. Przez *J. Wł. Dawida.* Warsz. 1898. str. 24.
15. **Zasady ogólne ekonomii** społecznej przez *Jana Steckiego.* (Wydawnictwo popularne). Warsz. nakł. Gebethnera i Wolffa, 1898, str. 252.
16. **Książeczka** dla tych, którzy chcą się nauczyć lepiej mówić i pisać po polsku. (Mała gramatyka). Ułożył *Bronisław Brzozowski.* Warsz. nakł. „Arkonii", skład główny u Gebethnera i Wolffa, 8-o, str. 29 (cena 10 kop.).
17. *Ludwika Godlewska (Exterus).* **Kato.** Powieść współczesna w 2 tomach. Warsz. nakł. Redakcyi „Głosu", 1899, 8-o. str. 318 i 236.
18. *Józef Tretiak.* **Młodość Mickiewicza** (1798—1824). Życie i poezya. Petersb. 1898, 8-o, str. 395 i 309 z 3-ma portretami.
19. *Dr. Antoni Złotnicki.* **Człowiek**, istota jego i przyszłość. Studyum psychologiczne. Warsz. nakł. „Arkonii", skład główny u Gebethnera i Wolffa, 1898, str. 205 (cena rub. 1, kop. 30).
20. *Józef Stanisław Wierzbicki.* **O brzasku.** (Poezye). Mińsk gub. nakł. księg. Filipowicz-Dubowika; Warsz. Gebethner i Wolff, 1898, 8-o, str. 252.
21. **Krótka składnia języka** polskiego łącznie z zasadami użycia znaków pisarskich. Ułożył *Wł. Kokowski.* Łódź, nakł. L. Fiszera, 1898, 8-o, str. 50.

Uprasza się PP. Wydawców o nadsyłanie świeżo ogłoszonych książek do redakcyi. O każdej z nich będzie bezzwłocznie podana krótsza lub dłuższa wzmianka.